

Władysław Stanisław
Reymont



— **NA ZAGONIE** —

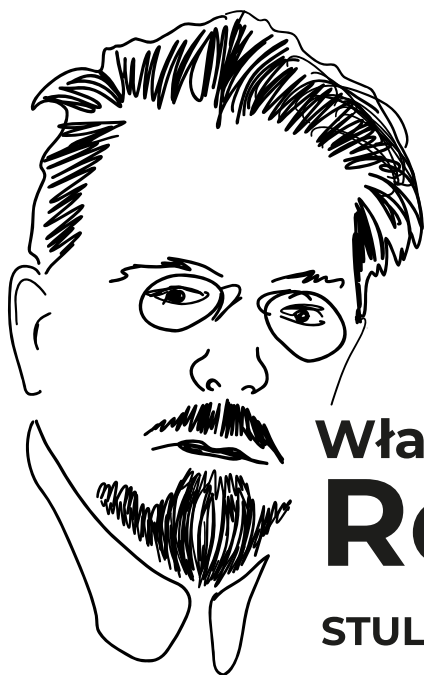
WŁ. ST. REYMONT

NA ZAGONIE

W JESIENNĄ NOC — W PORĘBIE — SĄD
SUKA — ŚMIERĆ — ZAWIERUCHA
TOMEK BARAN — LEGENDA WIGILIJNA
SZCZĘŚLIWI — PEWNEGO DNIA



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE
KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA i SPÓŁKI.



Władysław Stanisław
Reymont

STULECIE NAGRODY NOBLA

Redakcja jubileuszowej serii wydawniczej

Tadeusz Skoczek, Janusz Gmitruk

Komitet organizacyjny jubileuszu:

Krzysztof Bąkała, Janusz Gmitruk, Beata Michalec,

Tadeusz Samborski, Tadeusz Skoczek,

Bożena Żelazowska

MAZOWIECKIE CZYTANIE UTWORÓW W. S. REYMONTA

(listopad 2024)

Patronat honorowy

Adam Struzik



Marszałek
Województwa
Mazowieckiego



Fundacja im.
Władysława Orkana

Władysław Stanisław
Reymont

— **NA ZAGONIE** —

Redaktor tomu oraz posłowie

Tadeusz Skoczek

Warszawa, 2024

ISBN 978-83-67398-58-9

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości

(identyfikator wydawnictwa naukowego 42 700)

Al. Solidarności 62; 00-522 Warszawa

wydawnictwo@muzn.pl

— SPIS TREŚCI —

s. 9

— W JESIENNĄ NOC —

s. 19

— W PORĘBIE —

s. 29

— SĄD —

s. 47

— SUKA —

s. 65

— ŚMIERĆ —

s. 87

— ZAWIERUCHA —

s. 103

— TOMEK BARAN —

s. 153

— LEGENDA WIGILIJNA —

s. 159

— SZCZĘŚLIWI —

s. 175

— PEWNEGO DNIA... —

s. 207

— POSŁOWIE —

— W JESIENNĄ NOC —

Drogą rozmięłą, podobną do błotnistej, grząskiej rzeki, płynącej wskroś pustych, czarnych pól, szedł pijany chłop.

Wieczór już był zapadł; zimny, rozdeszczony, brudny wieczór listopadowy.

Oślepy świat płakał nieustannym, przenikliwym deszczem, obdarte pola szkiły się nabrzmiałe wilgocią, rowy i bruzdy pełne były wody, a bezlistne drzewa pochylały się nad drogą bezwładnie i drżały z zimna i wilgoci.

Martwa cisza leżała na rozmiękłych polach.

Chłop szedł prędko, zataczał się potężnie, potykał, klął, ale szedł; naraz przystanął i pijanym, ochrypłym głosem zaśpiewał:

Oj! dyna, moja dyna,
Oj! cały świat rodzina;
A jak cię śmierć ułapi,
Oj! poratunku nima!
Oj!!!

Ale śpiew nie rozległ się echem, rozmiękł w wilgotnym powietrzu i przepadł w ciemnościach; usłyszał go jednak jakiś cień ludzki, co się włókł o kilkadziesiąt kroków za nim, bo przystanął na mgnienie i trwożnie zsunął się na bok, w cień jeszcze głębszy drzew przydrożnych.

Chłop szedł znowu śpiesznie, ale o jakiś kamień czy korzeń drzewa potknął się i runął jak kloc w błoto.

Długo nic nie było słyhać, prócz monotonnego nieustannego plusku deszczu i drżącego, nerwowego szmeru drzew.

Aż ów cień przysunął się bliżej i pochylił nad pijakiem.

— Gospodarzu! Gospodarzu! — zaszemrał cichy głos.

Chłop ocknął się; próbował powstać, ale bezwładne nogi i ręce ślizgały mu się po błocie, nie mogąc znaleźć punktu oparcia, a że był nieprzytomny, nie myślał już i o powstaniu, tylko układał się jak najwygodniej i mruczał przez sen.

— Miętko ci tu jest, ciepło ci tu jest, leż se gospodarzu, leż...

— A wstańcie no, toć was tutaj woda zaleje...

— Psiachmać, kiej cię gdryknę kijaszkiem, to obaczysz!...
— krzyknął srogo.

— Gospodarzu!

— Nie budź kobieto — mówię ci po dobremu!

— Spiliście się, i jak ten wieprzak leżycie w błocie!

— Pijany! A mówiłem ci żydzie, daj okowitki, nie śprytu, a mówiłem; obedre ci, jucho, pejsy obaczysz... Cicho bądź, kobieto... kiej gospodarz leży, to mu tak trzeba i tyła, a tobie do tego nic, boś ino kobieta... cicho, kobieto... Leż se gospodarzu... parobki za cię robią... bydłatka za cię robią... leż se gospodarzu... odpoczywaj...

Ale kobieta nie dała mu odpoczywać w błocie, dotąd nim trzęsła, dotąd go podnosiła, aż oprzytomniał nieco i przy jej pomocy powstał.

— Marcycha! — szepnął, zajrzawszy jej w twarz — Marcycha!

— powtórzył już bezwiednie, nacisnął czapkę na czoło i zataczając się potężnie, ruszył żwawo naprzód, jakby uciekał i wkrótce nawet odgłos jego kroków rozwiął się w plusku deszczu.

Marcycha pozostała daleko za nim, szła wolno, bo drewniane trepy ślizgały się po błocie i nabierały ciągle wody, że co trochę musiała ją wylewać; szła ciężko, bo jej przemoczone szmaty utrudniały chód. Przyciskała do piersi zawinięte w chustkę dziecko, które popłakiwało z cicha i zapatrzona w noc coraz to głębszą, wlokła się napół zmartwiała i nieprzytomna.

— Jezu! mój Jezu miłosierny! — wyrwało się jej z piersi i gryząca, straszna żałość wycisnęła z jej oczów strumień gorzkich łez.

Wyplakała już ona tych łez, wyplakała.

Wyplakiwała na ludzi, na świat, na dolę swoją nieszczęsną, na sieroctwo swoje. Sierota była bezdomna, sierota; szła w cały świat, jak te bure chmury, co się ciężko wlokły po niebie, jak ten wilgotny wiatr, co się podnosił z pól i przewiewał bez śladu, jak ta straszna noc listopadowa...

Ani zmiłowania znikąd, ani poratunku od kogo, ani pożalenia...

Wygnała ją dola i rzuciła na zatracenie, a ona za całą obronę łązy miała tylko i ból i jęk, tak właśnie, jak kiedy psiaka ślepego odewrną od suki i porzucą w dół, a on od śmierci broni się żalosnem skomleniem.

— O Jezu! Jezu! — jęczała chwilami.

Ta noc zaczęła ją przejmować trwogą, napróżno upatrywała świateł jakich — nic nigdzie, ciemność niezgłębiona, wsie jakby wymarły, takie ciemne i ciche, nawet psy nie zaszczekały nigdzie, żaden wóz nie zaturkotał, żaden głos ludzki się nie rozległ — grobowa cisza pełna monotonnego szmeru deszczu.

Dziecko zaczęło chlipać żałośnie.

— Cicho, robaku... cicho... — przysiadła pod drzewem, wsadziła dziecku w usta chudą i pustą pierś i zasłuchiwała się w jakiś daleki, ledwie dosłyszalny szum, jakby wody spadającej.

— Młyn! juści że to młyn! — szepnęła, nasłuchując jeszcze.

Jakaś nadzieja poderwała ją z miejsca, bo się podniosła i szła rażniej, zaczęła dygotać w oczekiwaniu i niepewności.

— Pietruś! Pietruś! — poruszyła ustami. — Nie wypędzi mnie przecie, nie, jakżeby! Myślała i z czułością nagłą przycisnęła dziecko jeszcze silniej do piersi. — Pietruchna!

I zwolna jej zdziczałą od cierpień duszę ogarnęło głębokie rozczulenie; wstawały w niej wiosenne przypomnienia, wyłaniały się zza łez niedoli jasne obrazy przeszłości, a w każdym główną osobą był on, Pietruchna!...

Dziecko przeziębione i głodne zaczęło znowu płakać!

— Cicho! ty!... — zawarczała, podnosząc rękę do uderzenia.

— Jakżeby? Przecież to jego — myślała z niepokojem i zaczęła namiętnie całować mokrą twarz dziecka.

Szum był wyraźny, bo już z niego wyłaniał się głuchy turkot koła młyńskiego.

Deszcz wolniał nieco, wiatr się poruszał górą w gałęziach topoli, co jak szkielety stały z obu stron drogi, chwiały się ciężko i szemrały groźnie, a z lasu co stał czarną ponurą ścianą, zaraz za drogą, rozlegał się smutny, cichy głos, jakby jęk drzew w ciemnościach, jakby płacz dławiony przez noc i przez deszcz. Ogromne chmury, skłębione i pomieszane, zaczęły szybko lecieć po niskim niebie.

Strach jakiś przeleciał nad ziemią, strach mocny i zły, aż się zatrzęsła z przerażenia dusza Marcychy. Obrzuciła nieśmiało spojrzeniem dokoła, nasunęła chustkę głębiej na czoło i z całych sił biegła ku tym coraz bliższym turkotom młynna.

A wiatr się wzmagął, gonił ją to uderzał w plecy, aż się pochylała ku ziemi, to zabiegał drogę i rzucał w twarz wodę z kałuż, to strząsał

na nią drobne gałązki, to tak świstał przeraźliwie koło uszów, że przystanęła na chwilę, aby złapać nieco tchu.

Ale biegła dalej, bo się bała strasznie, bo te rzędy topoli tak się kołysały nad jej głową, tak coś szemrały do niej, tak czuła nad sobą ich pnie potężne, ich gałęzie strzępiaste, nagie, podobne do szponów, które wyciągały się do niej, chwytaly ją za ramiona, zdzierały jej chustkę z głowy, kaleczyły twarz, że leciała w przerażeniu.

Uspokoila się dopiero na grobli, prowadzącej do młyna!

Młyn stał tak nisko, że jego dachy były na poziomie grobli i stawów, połyskujących ponuro w ciemnościach, gąszcz czarnych olch otaczał go dokoła; gąszcz nieprzebyty, w którym huczała i bełkotała woda spadająca z kół.

Ogromny czarny budynek trząsł się cały i turkotał.

Zsunęła się ostrożnie z grobli po spadzistej drodze i weszła do młynicy.

Przypadła zaraz za progiem na jakiś worek z mąką, by wytchnąć nieco.

Olbrzymia młynica była pogrążona w tumanie bielma, oślepla... Wiszący u sufitu kaganek rozkręcał nieco czerwonego światła, w którym słabo się rysowały rzędy ganków i kontury maszyn.

Wszystko się trzęsło, dygotało, poruszało owiane mączną kurząwą, goniło i pracowało; trzęsła się podłoga oślizgła, trzęsły się białe ściany; trząsł się pułap, od którego zwieszały się omączzone nici pajęczyn, trzęsły się długie białe skrzynie — a poza nimi, w głębszrej, poruszały się automatycznie olbrzymie, czarne koła, przez które z krzykiem przepływał gruby, zielonawy strumień wody i rozwichrzoną, spienioną głową spadał na dół, na ostre pale, aż fundamenta dygotały i ziemia jęczała.

Nic słyhać nie było, prócz hałaśliwej pracy kamieni młyńskich; czasem tylko z pierwszego piętra rozlegał się przeraźliwy ostry dźwięk dzwonka, na którego głos wybiegano śpiesznie z izdebki młynarczyka, która stała w jednym kącie młynicy.

Marcycha przysunęła się do niej, usiadła za młynkiem do czyszczenia zboża i czekała cierpliwie.

Bała się wejść do środka, chociaż wyraźnie słyszała głos Pietrusia i głosy jakichś ludzi.

Opuściła ją odwaga — przywarła do cienkiej ściany i słuchała; co chwila ktoś wybiegał z izdebki, a za nim fala śmiechów, światła i ciepła biła na młynicę.

W izdebce małej i niskiej gorąco było jak w piecu; na dużym kominie tlił się torf niebieskim płomieniem.

Gromada chłopów siedziała dokoła ognia.

Zapach machorki, torfu i ryb przypiekanych na węglach napelniał izbę.

Pietruś leżał na łóżku na stosie kozuchów i kpił z pijanego chłopca, który na środku izby kołysał się sennie.

— Idźcie do domu, Mateuszu, bo was baba spierze, jak nic...

— Spierze, mnie spierze? gospodarza? nie... Pod pierzynę puści, wódki z tłustością da, albo i czego lepszego...

— Do chliwa to was puści, kiejżeście się tak spili!

— Pijanym to! A mówiłem żydowi — daj okowitki — i dała ju cha spritu... zedrę za łeb, że niech ręka Boska broni... zedrę... Gospodarz kazał postawić okowitki — to słyhać, a nie, to za te pej sy żółte i do wody.

— Michał! z kosza schodzi — zawołał młynarczyk, usłyszawszy dzwonek.

Młody chłopak podniósł się od ognia i wybiegł, pozostawiając drzwi otworem.

Marcycha wsunęła się nimi i stanęła u progu.

— Niech będzie pochwalony... — szepnęła cicho.

Młynarczyk zerwał się z łóżka i krzyknął wściekły:

— Czego? Poszła won ty... suko!

Dziewczyna zachwiała się, obrzuciła nieprzytomnym spojrzeniem chłopów, rzuciła dziecko na łóżko młynarczyka i uciekła...

— Podarunek dla was, Pietrze — szepnęła złośliwie któryś.

— Ładne skrzypki — dorzucił drugi, bo dziecko płakać zaczęło.

— Kto na zwieszne za czym bryka, od tego zimą umyka...

— Weźno który robaka, bo się tam zadusi...

— A juści, ssać mu dacie, abo co!

Ale któryś wziął i przysunął do ognia, oglądali je wszyscy...

— Ze dwa miesiące ma robak, więcej nie...

— Podobne do was, Pietrze, rychtyk nos kiej kartofel...

— Cię... pomocnika se zrobicie z niego i tyła...

— Abo do służby oddacie, zawsze grosz jaki kapnie...

— Od każdego worka weźmiecie, Pietrze, z kwartę mąki więcej i chłopak się wyżywi, że i cielakowi nie potraza lepiej.

— Tęgo beczy, organistę możecie z niego zrobić, Pietrze, to i honor i grosz niezły za wypominki albo i pochowki.

— Jedliście, Pietrze, miód, spróbujcie teraz wosczyn...

— A i matka galanta, co to... trepy prawie nowe, ze sześć czeskich wartują, kiecka, że i za półtora złotego nie kupisz, a gębę... to i w szaflik nie zmieścić... frontowa kobita...

— A umyć ino, a wycesać, to w sam raz byłaby do palenia w piecach u żydów.

Drwili z niego niemiłosiernie, a on siedział na łóżku i nie wiedział, co począć, dławiała go wściekłość, dławił go wstyd, a nie mógł się ruszyć, bo oczy jego przykuwała biała twarz dziecka, które chłopcy rozpowili i położyli na trzonie komina i ogrzewali, aż para buchała ze zmoczonych szmatek.

Naraz skoczył na równe nogi i pobiegł do młynicy...

Wkrótce też rozległy się krzyki dzikie i uderzenia.

— O kochaniu se gadają — zauważył chłop któryś.

— Która to?

— A Marcycha Jantkowa z Woli. Wygnały ją ze służby, wygnały ją z domu... gdzież miała iść?...

— Ho! ho! Pietrek, to kat na dziewczuchy...

— I... kat... juźci, ale i hycel on też jest i lajdus ostatni...

— Cichoście no — zawołał któryś.

— Pietruś! Pietruś! Adyc mnie nie bij! — błagała Marcycha, tarzając mu się u nóg. — Adyc to twoje... wygnały mnie ze służby... wygnały mnie z chałupy... gdzież pójde sierota... gdzie? Pietruchna! O Jezus miłosierny, o Jezus! ludzie ratujta, ludzie... Jezus Maryja! — ryczała strasznym głosem, bo kopnął ją w piersi, że padła na podłogę ciężko, jakby kto worek mąki rzucił.

Wnet przycichło wszystko, słychać było otwieranie drzwi na dwór, szamotanie się jakieś i potem już nic prócz turkotów młyńskich.

— Zabije ją jeszcze...

— Nic jej nie będzie, dzieciaka się pozbyła i tyła!

— Suka, ostawiła dziecko i poszła...

A że płakało coraz mocniej, któryś z chłopów znalazł kawałek cukru na stole młynarczyka, owinał go w szmatkę, zgniótł obcasem, umaczał w wodzie i wsadził dziecku w usta; ssało chciwie.

A Mateusz, który drzemał na łóżku, ocknął się i rzekł:

— Dzieciaka wezmę. Sierota ono, sierota!

— A weźcie, nie macie przecież swoich, że baba was spierze za to, to spierze...

— Spierze?... Nie spierze. Pojazgocze, pohandryczy... dobra kobieta... chodź sieroto... do gospodarza pójdiesz... chodź sieroto... — i z nagłym postanowieniem pijaka, powstał, obciągnął obłocony kozuch, nacisnął mokrą baranicę na głowę i pochylił się nad dzieckiem.

— Chodź roboku, chodź... Matki nie masz, ojca nie masz, to już ja ci zrobię gospodarskie opiekuństwo. Chłopak, co?

— Jużci że chłopak...

— Do pasionki się przyda... parobka se będziesz miał gospodarzu...

— Ino mu pierwej mamkę sprowadź, albo krowę od cielęcia odstaw, żeby go podkarmiła.

Nie słuchał pokpiwań, okręcił dziecko w przeschnięte szmaty, obwinął w połę kozucha i mocnym, dosyć równym krokiem ruszył z izdebki i tylko trochę szukał wyjścia, ale na powietrzu odrazu się zorientował i laź na groblę z trudem, bo wiatr, który się na dobre rozhulał, ciął go po twarzy i spychał po oślizgłej drodze.

Ale się wydostał do stawów, skręcił na lewo i ruszył do wsi...

Człapał po wodzie, bo wiatr wychlustywał wodę ze stawów, że się przelewała przez groblę i biła po nogach grubymi falami...

— Nie piskaj, robaku, nie... mleka dostaniesz, kołyskę ci splecę... dobrze ci u mnie będzie, sieroto, dobrze... i zasługi miał będziesz... i szmatki... i koziczek ci kupię na jarmarku... za bydłatkim se chodził będziesz... albo i za gąskami... nie piskaj, robaku... — mruczał i troskliwie jak tylko mógł grabiejącymi z zimna rękami, przytrzymywał połę kozucha...

Zamilkł, bo go czkawka dusiła, i ostry, zimny wiatr wpychał mu słowa do gardła.

Za groblą droga szła przez torfowiska i bajory okrutne; stare, obdarte brzozy chyliły się na drogę i krzyczały żałośnie, smagane przez wichurę. Błoto było po kolana. Deszcz już ustał zupełnie, tylko wiatr prześwistywał zimny i hulał po błotach.

Mateusz szedł coraz wolniej, z trudem wyciągał nogi z błota; tak go rozmarzyło, że spał prawie, był nieprzytomny... budziło go tylko zimno i wiatr czasami...

Wieś już była niedaleko.

Zataczał się mniej, ale że był sennym, nie wiedział, gdzie idzie, szedł jak automat, czasem macał machinalnie kozuch... dziecko... nogi mu się plątały, zimno go przenikało do kości, bo rozwany na piersiach kozuch i przemoczony, nie osłaniał od wiatru... puścił poję, zabił potężnie ręce o ramiona i pijanym, sennym głosem zaśpiewał:

Oj, dyna, moja dyna,
Oj! cały świat rodzina,
A jak cię śmierć ułapi...
Oj! poratunku nima.
Oj!

Odpowiedział mu z błota cichy, przerywany, dławiony krzyk dziecka — i jakieś niedalekie... śpieszne kroki...

Nie słyszał nic i szedł sennie dalej.

— W PORĘBIE —

— Wawrzon! a wstań ino, to nachlałeś się i będziesz się wylegiwać, kiej dziedzic, a ja sobie rady dać nie mogę. Rafał przecież zaraz mają przyjechać, ino go patrzeć, no!

Zaczęła energicznie potrząsać mężem, leżącym w kącie izby na kupie słomy, powyrzucanej z łózek.

— Kobito, mówię ci, odyńdź — mruknął Wawrzon gniewnie i odwrócił się twarzą do ściany.

— Trza wszystko powynosić przed dom, to przecież później będzie lepiej pakować na wóz. Zboże jeszcze nie zesute do worka, kartofle trzeba znieść ze stodółki, laboga! tyle roboty, a mnie już kulasy odpadają, a tu chłop coby pomagać, to se śpi. Wawrzon — zawołała, ze złością przyskakując do niego — jak nie wstaniesz, to cię tak ździele, że obaczysz!

— Kobito, mówię po dobremu: odyńdź — odrzekł miękko, położył się na brzuchu, głowę wsadził w słomę i tak leżał nieruchomie, nie zważając na krzyki i lamentowania żony!

— O bidna ja sirota, bidna! To tyle dobroci użyłam za chłopem, tyle, że teraz trza się wynosić na kumorne, kiej dziadaki jakie, w taki czas, co i psa wygnąć szkoda! Gospodarska córka pójdzie do ludzi, na wyrobek, kiej jaki łachmytek abo obieżyświat! — narzekała Wawrzonowa, zdejmując obrazy ze ścian, okrywała je zapaskami i wносиła przed dom pod okap. Przystawała przed progiem i patrzyła na lśniącą, rozmokniętą drogę, biegnącą wskrós

świeżej poręby, rozciągającej się szeroko dookoła chałupy, zarzuconej kupami gałęzi i stosami pościnanego drzewa. Wyglądała, czy nie jedzie Rafał, który miał przewieźć ich ruchomości do wsi, ale nic nie było widać na drodze, prócz mgieł sinych, wiszących nisko, i wielkich kałuż wody. Drobnym, przenikającym zimnem deszcz padał bezustannie. Westchnęła ciężko, utarła nos z hałasem, żałośliwym wzrokiem powiodła po chałupie, z której się musieli wyprowadzić, i poszła na drugą stronę domu do krowy, stojącej na środku, bo już żłób i drabina były wyniesione przed dom, gdzie już stała żółta, w kwiaty ponsowe, serwantka oszklona, z wymalowanymi na niebiesko półkami i krzeselka drewniane, ławki, stolik, na którym stała pasyjka czarna, opleciona w różaniec, — wiaderka, worki z kartoflami, pęki siana, przewiązane trokiem, łóżka dwa, półki i masa różnych rupieci, zwalonych bezładnie na kupę. Wielka, w czarne łaty maciora leżała na ziemi, uwiązana za nogę do młodego dąbka, rosnącego wprost okna; stękała ciężko, bo ją ssały i tłukły łbami prosięta różowe.

— Siwula! o siwula! — szeptała Wawrzonowa, głaszcząc pieszczotliwie krowę po obwiśniętem gardle. Siwula wyciągnęła łeb i szerokim, ostrym językiem lizała ją po obnażonych do ramion rękach. Wawrzonowej lzy zaćmiły oczy, oderwała się od krowy i poszła do sieni.

— Kucusiu! Ku cu, ku cu! — zaczęła zwoływać kury, siedzące rzędem na płocie. Sypnęła im garść ziarna na przynętę, a potem łapała, związywała im skrzydła i układała w wielkiej kobiałce. Znowu wyjrzała na świat. Ścieżką, od wsi dalekiej, którą widać było zaledwie przez mgły i zadeszczony świat, za porębą, szła dziewczyna jakaś.

— Marysia! a śpiesz no się! — krzyknęła, wygrażając biegnącej ręką.

Marysia boso, w zapasce na głowie, że tylko było widać kawałek zesiniałej od zimna twarzy, przybiegła i z pod fartucha wyjęła flaszkę z wódką, trzy rządki bułek i kawał czerwonej kiełbasy.

— Gdzieś siedziała tak długo! po chałupach się włóczyłaś, co?

— A juści długo, a juści! po chałupach! Taki stuk drogi, że zgoniłam się, kiej pies, a matula mówią, że długo! Trza było samy iść, abo niechby ociec poszli — odpowiada żałośliwie dziewczyna, trąc nogą o nogę i chuchając w posiniałe ręce.

— Hale! będziesz mi się tu odszczekiwać, ty kołtunie jeden — grzmotnęła ją pięścią w plecy.

Marysia przykucnęła przed kominem, w którym tliły się resztki ognia i zaczęła płakać, rozgrzewając sobie ręce nad węglami, a Wawrzonowa wynosiła resztę sprzętów, patrzyła na drogę wciąż pustą, trzaskała drzwiami, to znowu kopnęła ze złością starego, podobnego do wilka, burego psa, który obwąchiwał wszystkie kąty i ze spuszczonego ogonem, osowiały, łąził po izbie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

Cisza zapanowała w izbie, tylko w szybki bębnił deszcz, i z poręby dochodziły słabe odgłosy siekier, rąbiących drzewo. Mętny szaro-żółty zmrok zalewał izbę, ogołoconą ze sprzętów, zlewał się z czarnym okopconym sufitem; poszarzały jeszcze bardziej odrapanne z wapna ściany.

Porozlewana woda tworzyła na glinianym toku, położonym w miejsce podłogi, śliskie, grzęzkie błoto, w którym dwie kaczki bobrowały dzióbami, szukając pożywienia. Przez wybite szybki małego w szczycie okna wpadał wiatr razem z deszczem, szeleścił,

zamiatał słomę porozrzucaną i trząśł zwieszającymi się od sufitu pasami czerwonego papieru, wystrzyżonego w kółka i ząbki, jakie ubierały belki.

Wawrzonowa poszła na małe podwórko, puste i zaśmiecone gnijącymi liśćmi wisień, rosnących przy ogrodzeniu, które leciały, jak krwawe płatki, na wielką gnojówkę i na dranicowy dach pogięty rozwalającego się chlewka. Poszła za stodołkę, stojącą nieco dalej, w środku małego pola, rozkopanego po kartoflach i pełnego suchych łącin i zgniłych kartofli. Wyrwała jakiś zielony jeszcze chwast dla krowy, obejrzała się smutnie i powróciła, obcierając sobie ustawicznie oczy z łez, których nic powstrzymać nie mogło. To stawała w progu, chwytając się za głowę i ogłupiałym mętным wzrokiem tonęła w szarej przestrzeni. — Laboga! Laboga! — jęczała cicho i żałośliwie i znowu się gorączkowo brała do wynoszenia i szykowania nędznych sprzętów. Serce się jej tłukło w wielkim niepokoju i bólu rozstania z tą chałupą, w której tyle lat mieszkała, i tak ją ten ból ścisnął chwilami jakimś kurczem, że aż przysiadła na progu i pozwalając swobodnie płynąć łzom i tylko cicho i głęboko jęczała.

Wawrzon wciąż leżał, przewracał się z boku na bok, przetarł pięścią zaczerwienione oczy i tak wzdychał, aż Burek przysunął się do niego, skomlał cicho, drapał go łapą po kożuchu i kręcił ogonem; widząc, że gospodarz nie zwraca uwagi, szedł do komina, siadał obok Marysi i drzemał, patrząc się sennie w dogasające węgielki.

Wreszcie przed samym wieczorem nadjechał Rafał dwiema chudymi szkapinami, zaprzężniętymi do drabiniastego wozu.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł, wchodząc z batem w rękę do izby.

— Na wieki — powiedział Wawrzon, podnosząc się z barłogu.
— Witajcie, kumie, a Bóg wam zapłać, żeście o nas nie zabaczyli.

— I... ino plusk taki, że ślipie jaże zalewa, na drogach błoto po sę-
kle i taki ziąb, że gorzej praży, kiej w mrozy.

— No to trzeba pakować, aby przed nocą zdążyć do wsi.

— A bogać że nie inaczej — rzekł Rafał, biczysko postawił w ką-
cie, ręce ugrzał nad blachą i, wyjąwszy garścią z ognia węgielek
czerwony, wsadził go do zgasłej fajki, przysiadł nieco na skrzynce,
jeszcze nie wyniesionej, pod oknem i pykał dymem na izbę.

Wawrzonowa postawiła na oknie wódkę, kielbasę i bułki.

— Wawrzon! napij się do Rafała.

— O!... po co się macie szkodować! — wymawiał się chłop, a chci-
wie wciągał nozdrzami zapach czosnku, jaki się rozchodził od kiel-
basy, którą Wawrzonowa rozdzielala kozikiem.

— W wasze ręce, Rafale.

— Niech wam będzie na zdrowie.

Wypił, splunął w bok, obtarł rękawem usta i nalewał.

— Jagna naści i ty, co tam, napij się krzynkę.

Jagna odwróciła się nieco i wolno sączyła wódkę, a chłopci łamali
czerstwe bułki i jedli, przegryzając kielbasą.

— No, jeszcze po jednym, żeby nam się dobrze jechało.

— Pijcie z Bogiem.

— Dziedzic sprzedał las na siampańskie, to my se choć z tej ucie-
chy wypijmy okowitki! Ażeby ci, ciarachu zapowietrzony, smoły
w piekle nie żałowali! — szepnął nienawistnie, spoglądając przez
okno ku sinym, zaledwie mającącym konturom dworu.

— Co prawda, to prawda, a dyć teraz to nawet biczysko albo
i kozicę trza będzie kupić — westchnął markotnie. Kiej był las, to,
choć się ta i człek bojał ździebko, chociażście i wy pilnowali

nie zgorzy, ale zawždy czy chrustu, czy jaki grabik albo sosenkę na porządek albo żerdkę do płotu, to się ta uścibnęło. I grzybek jaki człowiek zjadł, i jagodów dzieci uzbierały na barszcz, a kiej niekiej jakiego zajączka się grzecznie przetrąciło, abo i drugiego ptaszka, a teraz co! Żle jest, widzi mi się, źle.

— No, jeszcze po jednym, po ostatnim! Burek, masz i ty kielbasy, używaj i ty, kiej twój gospodarz po dwudziestu latach musi iść w świat, na kumorne, używaj, siroto! — Pies zawył głucho, jakby zrozumiał, a Jagna wybuchnęła płaczem, oparła się głową o okap komina i płakała spazmatycznie.

— I... raz kozie śmierć, z czyjego woza, tak zsiadaj i na pół morza. Powiedział wolno Rafał, wytrząsnął popiół, fajkę schował za pazuchę i wyszedł.

Zaczęli się zaraz pakować śpiesznie, wynosili wszystko, co mieli, przestępując progi chałupy pustej z głębokim smutkiem, nie patrząc na siebie, nie rozmawiając. Kiedy już wszystko było gotowe i Rafał poprzewiązywał wóz powrósłami, aby się nic nie stoczyło na ziemię, Wawrzon wyprowadził krowę i założył jej nowy postronek na rogi.

— Masz, Marysiu, prowadź! — Dziewczyna otuliła się zapaską i poszła, ciągnąc za postronek, bo krowa się opierała i, zwracając swój wielki łeb ku chałupie, ryczała, jakby przeczuwając, że ją prowadzą na tułaczkę.

— No, to jedziemy! — zawołał Rafał.

— Zaraz, zaraz! — powiedział Wawrzon i wszedł po raz ostatni do izby, a za nim wsunęła się Jagna; popatrzyli smutnie, chodzili po kątach, rozgrzebywali słomę, oglądali się po ścianach, a wyjść im się jakoś nie chciało, przeciągali bezwiednie chwilę rozstania się z tymi ścianami.

— Wawrzon, jedziemy, bo już mroczeje — zawołał przez okno.

— Jagna, chodź już, chodź. Co tam, pan Jezus nas nie opuści.

Wyprowadził żonę i zatrzasnął drzwi za sobą.

— A to w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego jedziemy! — rzekł ponuro, zacisnął mocniej pas na kozuchu, zaciął zęby i ruszyli. Jagna wiodła na postronku maciorę i prawie ryczała, płacząc. Wawrzon szedł na ostatku, patrzył ponuro na stopy drzew, poobdzieranych z kory, niby na trupy nagie, zaścielające pobojowisko, na kupy żółknących już gałęzi, na tysiące pieńków, co niby trzony kolumn zwalonych bieliły się tysiącami po obu stronach drogi, na głębokie doły pełne wody i rdzawych igieł sosnowych, na ścieżynki widoczne teraz, wijące się we wszystkich kierunkach, pozawalane drzewami. Znał on to wszystko dobrze, znał, jak znał każdy rów, każdą suszkę, każde prawie grubsze drzewo, każdy dukt, co niby ulice przecinały las w kilku kierunkach. Dwadzieścia lat był gajowym w tym lesie. Tutaj pasał bydło za młodu, tutaj tylko żył, zrósł się niejako z tymi drzewami, czuł nieświadomie jakieś powinowactwo z tymi olbrzymami, co teraz leżały martwe, bez koron, bez gałęzi, bez życia, niby smutne kadłuby, po których deptano. Nie zmożyły lasu burze, nie zmożyły pioruny, które nieraz biły w niego, nie zmożyły mrozy, od których nieraz drzewa pękały. Siekiera przyszła — i las padł trupem. Co on miał tutaj robić? U Żydów za parobka do pilnowania sągów służyć nie chciał, woli iść w świat, szukać służby, niżli patrzeć. Ogarniał rozpalonym wzrokiem cały obszar poręby, po której kręciły się gromadki ludzi z piłami i siekierami, toczyły się wozy, już naładowane kłocami, i leciał niewyraźny, tonący w oddaleniu i mgle gwar głosów, turkot wozów, huk siekier i rzenie koni.

Człapał wolno po błocie, czasem wóz wspierał ramieniem na wybojach, czasem nogą odgarnął psa, gdy się przysunął za blisko

i szedł coraz chmurniejszy. W piersiach tak go coś paliło, jakby się zachłysnął spirytusem. Ten trzask łupanych kłoców i głuchy huk siekier, jaki go dochodził, bił jakby w niego i odrąbywał mu po kawale duszy. Zacinał coraz silniej zęby, bo chciało mu się rzucić na ziemię i krzyczeć ze wszystkich sił, z tej żalości bezmiernej, jaka go przenikała, ale szedł ciągle. Deszcz padał coraz gęstszy i jakby zimniejszy, marne, ostatnie brzozy, niedocięte jeszcze nad rowem, zrzucały żółte, ostatnie liście, które leciały z wiatrem niby łyzy i niby łyzy ciężkie padały na drogę błotnistą, na pieńki, na gałęzie, na niskie krzaki jeżyn, na nędzne leszczyny, na karłowate sosenki, które trzęsły się, jakby z zimna, i szemrały smutnie. Na kilku nagich, uschniętych świerkach trzepotało się całe stado wron i krakało żalosną pieśń, że nie ma już gdzie słać gniazd, że nie ma się już gdzie schronić.

Rudawe, podeptane trawy i paprocie wały się w błocie i w żółtych trocinach, które rozlewały się wielkimi plamami, niby strugi krwi, wytoczonej z lasu. Stado krów szczypało na polance nędzną trawę i co chwila porykiwało głucho, a kilkoro dzieci siedziało przy ognisku, przez deszcz zalewanym; wydobywał się z niego brudny czarny dym i rozwłóczył postrzępionymi pasmami po porębie, niby z kadzielnicy, jaką okadzają umarłych.

Smutek i wielka melancholia, pełna jęków drzew umierających, przepelniała zamglony świat i przenikała Wawrzonową duszę coraz głębszą żalością i takim gniewem, że byłby gryzł te kamienie, o które się potykał; zaciskał pięści, zgrzytał zębami, przymykał oczy, aby nic nie widzieć, i szedł coraz prędzej.

— Raz kozie śmierć! — powtarzał twardo i ze złością kopał to pieńki, to gałęzie, to zeschłe muchary, które jak kapelusze przekrzywiały się nad rowem przydrożnym.

Pod dębem wielkim i rozłożystym, rosnącym na skraju lasu, który sam jeden ocalał, bo miał na sobie obrazek Matki Boskiej, ukryty pod firankami z muślinu, Wawrzon usiadł, aby nieco odpocząć. Dąb był kilkusetletni, pokręcony, podarty przez pioruny, pusty wewnątrz, wyciągał dziwacznie pokręcone gałęzie pełne guzów i sęków, niby potężne pięście ku niebu i szumiał suchymi liśćmi. Był to punkt, do którego Wawrzon za czasów swojej służby dochodził tylko, bo zaraz zaczynały się orne pola, i stąd zawracał z powrotem, a teraz... teraz przestępował te święte lasu progi i nie powróci więcej — idzie na tułaczkę...

— Ażebyście!... ażebyście!... — i taki straszny ból skręcił mu wewnątrzności, że aż się ujął za brzuch i jęczał.

— Wawrzon! a chodźże prędzej, Rafał nie będą czekali, i noc się robi.

— Pudziesz ty, suko, bo cię zakatrupię — mruknął wściekły.

— Hale! schlała się świnia gorzałczyskiem i będzie tu po drogach breweryje robić!

— Mówię ci, kobito, odyńdź, bo pożałujesz.

— A juści, ostawie cie tu, a doma będę graty znosić do chałupy.

— No chodź, Wawrzon — dodała czulej, pochylając nad nim czerwoną, zapłakaną twarz, i zaczęła go ciągnąć za rękaw.

— Mówię ci, psiaścirwo, idź, to idź, bo spiorę, kiej bydlaka.

Jagna szarpnęła go silniej, Wawrzon się zerwał z ziemi, jakąś gałęzią uderzył ją przez głowę, rzucił o ziemię, kopnął parę razy, złapał postronek od świni, która się podczas tego szamotania wyrwała Jagnie z ręki, i poszedł naprzód wielkimi krokami. Wawrzonowa z lamentem głośnym zwlekła się z ziemi i poszła za nim. Wkrótce zginęli w mgle i zmroku zapadającym. Tylko wrony wielkiem stadem krążyły nad dębem i krzyczały żałośnie, a na drodze z poręby

ukazywały się krowy, brzęcząc dzwonekami, i jakiś głos krzykliwy śpiewał.

Bydło przeszło i zniknęło w mgle i zmroku, z oddali śpiew coraz słabiej dochodził.

Ostatnie dźwięki utonęły w przestrzeni i spływały z pluskiem deszczu. Pociemniało nagle, świat zalał szary, wilgotny ton nocy listopadowej, że wszystko się zlało w jedną brudną masę ociemniałą i oślepiłą. Stary dąb tylko szemrał sennie, strącał liście na pola i od poręby, od suchych świerków, od brzoź, od gałęzi, płynął jakiś głęboki jęk, jakiś śpiew rozpaczliwy brzmiał ponurymi rytmami: Umarł las! umarł! umarł!



— SĄD —

Naraz drzwi się z hukiem ozwały, i wiatery buchnął na izbę, a z ciemnej sieni jęli się cisnąć chłopcy jakąś groźną, milczącą kupą, nie rzekłszy nawet pochwalony, że młynarz jaże łyżkę puścił na stół i przytrzymał lampę, rozbujaną od pędu, wodził po nich zdziwionymi oczami.

— Coś was sporo! — mruknął.

— A jeszcze więcej czeka na dworze — rzekł Jędrzej, wysuwając się naprzód.

— Sprawę to jaką macie?

— Juści, co nie na pogwarę przyślیم — ozwał się któryś, drzwi przywierając.

— To siadajcie, migiem skończę kolację.

— Niech wam pójdzie na zdrowie. Poczekamy ździebko...

Młynarz jął pojadać śpiesznie, chlupający, a chłopcy usadzili się po ławach, to plecy nagrzewali pod piecem, pilnie jeno spozierając na Jędrzeja, którego zasiadł podle stołu i, sparty o niego łokciami, srodze się zadeliberował.

— Psi czas, co? — zagadnął młynarz.

— W marcu, jak w garncu!

— Jak zawždy przed zwiesną.

I na tym się urwało, że w cichości jeno młynarzowa łyżka skrzybotała po wrębach, zaś na dworze ktosik o przyciesie

buciary objął z błota, i czasami wiatr ciepłał się z szumem o ściany, aż pojękiwały, a deszcz bębnił w zapotniałe szyby.

— Jadwiś! — krzyknął młynarz, ocierając garścią wąsiska.

Z bocznej izby jawiła się tęga pannica, wielce urodna i przybrana z miejska, przejrzała bystro chłopów i, zebrawszy miski na naręcze, wyszła, kolebiąc szerokimi biodrami.

— Cóż to za sprawa? — zaczął młynarz, przytkając w tabakierę.

Ale ni jedna ręka nie wyciągnęła się do tabaki, bowiem twarze się nagle zmroczyły, jaki taki chrząkał i drapał się frasobliwie, a wszyscy patrzyli w Jędrzeja któren się wyprostował i, wparłszy blade, nieustępliwe oczy w młynarza, powiedział wolno:

— Przyślím, abyście nam wydali złodziejów...

Młynarz rzucił się w tył, oczy wytrzeszczył, ręce rozwiódł i zabelkotał:

— W imię Ojca i Syna! A skądże to ja wiem?...

— Miarkujemy, że wy jedni wiedzieć o nich musicie! — rzekł ciszzej Jędrzej i powstał, chłopci się też z ław dźwignęli, a stając kołem, kiej ścianą twardą, wbili w niego chciwe i ostre ślepie, niby te pazury jastrzębie, aże poczerwieniał.

— Przyślím do was po prawdę! — szepnął z mocą Jędrzej.

— I musicie nam powiedzieć, musicie! — przywtórzili głucho a srogo.

— Jaką prawdę? We łbach wam się troi! Skądże to ja mam wiedzieć? Spółkę trzymam ze złodziejami, czy co? — gadał prędko, przykręcając światło roztrzęsionymi rękami.

— Wiadomo, żeście poczciwy, ale złodziejów znacie. Jakże? Ukradli wam jesienią konie, a wy nic, ukradli wam niedawno pieniądze, złapaliście złodzieja pono nawet w komorze, a wy znowu nic, ani do sądu żeście nie podali, ni nawet strażnikowi nie powiedzieli.

— A po co? żeby jeszcze dołożyć? Cóż mi pomoże sąd albo strażniki? Złapią pewnie ten wiater w polu i na postronku mi go przywiedą. Niech im ta na sądzie ostatecznym zapłacą za moją krzywdę.

— Z tego jeno to widać, że się boicie wydać złodziejów.

— Bym wiedział, to darowałbym straty i nie wydał? Darmo mi pewnie...

— A wy ciągiem jedno w kółko — przerwał mu ostro Jędrzej.

— Nie na sprzeciwy z wami przyślim, jeno po prawdę, a że nam pilno, bo tam cały naród czeka na dworze i po chałupach, to po przyjacielsku prosimy, powiedzcie, kto wam ukradł pieniądze.

— Żeby wiedział, to jużby o tym sądy wiedziały i cała wieś — tłumaczył się żarliwie, z trwogą patrząc na zacięte, podejrzliwe twarze, ale Jędrzej rzucił się niecierpliwie, błysnął groźnie oczami, a przytrzymując go niechcący za orzydle, rzekł krótko i twardo:

— Coście rzekli, nieprawda! Ale jak na to przysięgniecie w kościele, wiarę damy i ostawimy was w spokoju.

Młynarz aż przysiadł i gadał niby to ze śmiechem:

— He! he! żarty, widzę, się was trzymają, jakby w zapusty... pewnie, jak do kogo przyjdziecie hurmą, a zniewolicie kijami, to gotów wam przysięgać na wszystko, co jeno zechcecie... Prawdę wam mówię, nie wiem nic i żadnych złodziejów nie znam. Chcecie, to wierzcie, a nie, to nie, ale do przysięgania mnie nie zmusicie, boście nie sąd... — podniósł się, hardo tocząc oczami.

— A właśnie, sądem tu przyślim, sprawiedliwie karzącym! — powiedział Jędrzej tak mocno, że młynarz porwał się zestraszony, nie mogąc nawet słowa wykrztusić.

Chłopi stali w ponurej cichości, wpatrzeni w niego rozgorzałymi ślepiami, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, a tak groźni, tak pełni jakiejś srogiej powagi, że nie wiedział, co począć, jeno

rzęsisty pot ścierał z łysiny i latał przerażonemi oczami po ich twarzach zaciętych i nieustępliwych, zrozumiał bowiem, że to nie przelewki, że to się coś straszego zaczyna.

Przysiadł wreszcie na ławie i, zażywając raz po raz tabaki, skrzepiał się, by coś postanowić, gdy Jędrzej przystąpił do niego i rzekł uroczyście:

— I prawdy wyznać nie chcecie, i przysięganie wam straszne. Z tego prosto wychodzi, żeście ze złodziejami w zмовie!

Kieby piorun pobok trzasnął, zerwał się tak gwałtownie, jaże ławka rymnęła na podłogę.

— Jezus, Maryja! Ja w spółce ze złodziejami! Mnie to powiadacie!

— Rzekłem i jeszcze przywtórzę!

— I my przywtórzym to samo! — huknęli spółem, i wszystkie ręce groźnie wychlusnęły ku niemu, a srogie twarze pochyliły się, kiej te ostre, sępie dzioby, gotowe do darcia.

Ale na hałas wpadła Jadwiś i stanęła, jak wryta.

— Co się tu wyprawia? — pytała zalekniona.

Opadły pięści, zaczęli chrząkać, a ktosik powiedział gniewnie:

— Nic tu po babach, podsłucha i z ozorem poleci.

— Niech sobie idzie, skąd przyszła.

— Gęsi macać, a nie w chłopskie sprawy nos wtykać! — wrzeli coraz głośniej, że Jadwiś srodze rozgniewana, wybiegła, trzasnąwszy drzwiami.

Zaś Jędrzej, wytrząchając ręką, znowu rzekł:

— To mówię wam, młynarzu, co przyszła już pora sądzić i karać!

— I robić porządek na świecie!

— I złe wypleniać, a zaprowadzać sprawiedliwość — padały groźne, ciężkie słowa, i zaciśnięte pięści trzęsły się przed jego twarzą posiniałą.

— Bójcie się Boga! Ludzie, czego wy chcecie? Cóżem to winien?
— jękał wystraszony, obzierając się na wszystkie strony, ale Jędrzej,
nie bacząc na niego, jął mówić prędko, cicho i tak twardo, jaże
mróz przechodził:

— Kiej wyznać nie chce, winien, i na sąd go bierzta, chłopcy,
pod kościół... Na sąd pójda wszyscy, którzy naród krzywdzili,
na sąd sprawiedliwy i na ciężką karę. Bierzta go, chłopcy!

— Jezus, Maryja! Ludzie!... — bełkotał w trwodze śmiertelnej,
rozglądając się nieprzytomnie, gdyż chłopcy ruszyli ławą ku niemu.
— Ludzie... jakże to powiem?... Przysiągłem. Spalą mnie albo zabiją,
jak wydam... Jezus miłosierny! Puśćcie mnie! Powiem wszystko! po-
wiem! — charczał, bo go już chyliło kilkanaście rąk wlekło do drzwi.

Długo nie mógł przemówić, zwałił się na stół i dyszał, otoczyli
go, ktosik mu wody dał się napić, a drudzy mówili przyjaźnie:

— Nie bójcie się niczego, kto z narodem idzie, temu włos z głowy
nie spadnie.

— Jeno całą prawdę wyznajcie.

— Wiedzielim, żeście poczciwy i zbójów nazwiecie.

Młynarz wił się w sobie, kiej ten piskorz przydeptany, ogień
go przejmowały i mrozy lute, bladł bowiem i czerwieniał naprze-
mian, naraz wyprostował się, gotowy już na wszystko, ale nim
rzekł, zajrzał do sąsiedniej izby.

Jadwiś mignęła we drzwiach, jakby odskakując z podsłuchów,
a potem wyrżał oknem na świat i dopiero, stanąwszy przed gro-
madą, przeżegnał się i szepnął:

— Jak na świętej spowiedzi mówię prawdę, że oba Gajdy i Starszy.

Cichość padła, stanęli, kiej wryci, przezierając po sobie w zdu-
mieniu, że jeno wznosiły się sapania i przydechy chrzypiące,
aż pierwszy Jędrzej się ozwał:

— Takeśmy i miarkowali, jeno pewności nie było. Ale teraz wiemy już, co nam potrzeba. Wiemy, psiachmać! A, zbóje piekielne — gruchnął pięścią w stół. — Trza chwasty wyrwać z korzeniami, by się nie rozpleniły. Oba Gajdy! ociec ze synaczkim, a na trzeciego Starszy? Ano, to w imię boże pójdziemy do nich, a wy, panie młynarzu, z nami, byście im z prawdą stanęli do oczów...

— A pójde i rzeknę! Jakby mi kamień spadł z piersi. A stanę i powiem, jako są zbóje i złodzieje.

Boże, wiedziałem, co wyprawiają, a bałem się pisnąć słówka. Ażeby was kołem łamali za mój grzech, toć w oczy wstydzilem się ludziom patrzeć, jak wyrzekali za złodziejstwa... Szelmy, konie mi wyprowadzili, okup dałem przez Starszego... nie oddali... A potem zdybałem ich w komorze... wyłuskali mnie co do grosza... nożem zagrozili... jeszcze musiałem przysięgać, że ich nie wydam! O zbóje!

— Cała okolica cierpiała przez nich.

— Wielu to koni wzięli ludziom, wiela krów, wiela dobra!

— Mogli wszystko, bo Starszy patrzył przez palce i dzielił się...

— Balowali se naszym kosztem, niechże teraz zapłacą...

— Kiej wszyscy mówią, to i ja rzeknę — wyrwał się któryś — oto wiem, że księdza, za te śluby, co je dawał Podlasiakom, Gajdy wydały naczelnikowi...

— Cie... księdza nawet zdradzili...

— To i panny z poczty, co dzieci nauczały, też oni wydać musieli?

— A oni! oni! wiadomo — przytwierdzał młynarz zajadle.

To i tych żydów w lesie nie kto inszy oporządził.

A juści, że Gajdy! A oni!... Ścierwy! Zdrajce! Zbóje! — jęli wymyślać, kłać, tupać, a trzaskać kijami, gniew srożył się w sercach i ponosił, ślepie gorzały, a zaciśnięte pięści trzęsły się nad głowami.

— Skończyć z nimi! pokarać psubratów! Na sąd ich! na sąd...

— To chodźmy prędzej, by nam nie uciekli — wołał Jędrzej.

— Pasy drzeć z takich.

— I kołami, jak psów wściekłych, zakatrupić! — pokrzykiwali, tłocząc się we drzwiach.

Młynarz zgasił światło i poszedł z drugimi.

A skoro się jeno wysypali przed dom, Jadwiś wybiegła przycajona pod ścianą, patrzyła wylękle, kaj się to wleką w taką noc i po co?

Bo noc była prawdziwie marcowa, zimna, wietrzna i mokra. Skołtunione ciemnice oblatwały cały świat, deszcz ze śniegiem zacinał w twarze, aż dech zapierało, wiater przewalał się po sadach i podwiewał ze wszystkich stron, a z pół przemiękłych, kaj się jeno z czarniawy bielily grzbiety zagonów ośnieżonych, ciągnął wilgotny zamróz i przejmował ziąbem do szpiku, ale chłopci nie bacząc na porę przygnała, szli ostro i mocno, jaże się błoto roztwierało pod nogami. Ciągnęli chyłkiem, gęsiego, pobok niskich chałup, co kiej kumy utrudzone, przysiadły nade drogą, kuląc się w sadach, że jeno dachy ośnieżone, niby te czepce białe, widniały skroś drzewin rozkołysanych.

Jędrzej szedł na przodzie i z cicha zarządzał, że co trochę ktosik wrywał się z rzędu, leciał do okien, bił pięścią i wołał:

— Wychodź! Pora!

Wnet gasły światła, i drzwi skrzypiały, a czarne cienie sunęły spod chałup i, macając kijami drogę, łączyły się z gromadą w cichości.

Szli coraz gęściej i ostrożniej, pilnie bacząc na wszystkie strony.

Naraz Jędrzej obejrzał się lękliwie, bowiem wyraźnie dosłyszał chlapanie błota, jakby ktoś leciał za nimi, a jakiś cień przesuwał się chyłkiem pod płotami, lecz skoro przystanęli, wszystko ucichło

i przepadło, wiaterek jeno szumiał, i psy kajś nie kaj z pod przyźb naszczekiwały zajadle.

Ruszyli jeszcze wolniej, ale niejedni już się żegnał trwożliwie, niejedni wzdychał, a niejednemu mróz przechodził kości, mimo to nikt nie wyrzekł ani słowa, ni też się cofnął, parli się jednakowo naprzód, niby ta niepowstrzymana, groźna chmura, co to, ciągnąc zwolna, rośnie w cichości, nim raptem trzaśnie piorunem lub gradem ziemię stratuje.

Ale gdy wymijali karczmę, rzęsiście oświetloną, jaki taki pociągał nosem wiatru lubego i chciał wstąpić na rozgrzewkę, jeno Jędrzej nie popuścił nikogo, zgarnął wszystkich w kupę i wywiódł na środek drogi, bo prawie pobok stał ano dom strażnikowy. Już z daleka białe jego ściany, a przez okna rozjarzone huczała skoczna nuta harmonijki.

Wstrzymali się naprzeciw, prawie dech tając, zaś Jędrzej szeptał parobkom:

— Pilnujcie dobrze, a jak jeno uderzą dzwony, to kupą do izby i zaraz go z miejsca za łeb i w postronki. Jeno niech się wam nie wypnie, narobiłby biedy... A cicho, by się nie spłoszył.

Kilkunastu parobków rozpełzło się milczkiem w ciemnościach.

Gromada zaś ruszyła już prosto i prędzej, na wielki plac, leżący w końcu wsi, kaj jeno błyszczało parę światełek, a we wyrwie między nimi, na tle pól ośnieżonych, wynosiły się mury kościoła wraz z gąszczem drzew, niby góra ciemniejsza i ździebko rozkolebana od wiatru.

Dom Gajdów stał pobok kościoła, jeno nieco ode drogi i przysłonięty sporym sadem, że światła okien wierciły się skroś gęstych krzy i gałęzi, kiej wilcze ślepie; nawrócili już prosto ku niemu, ale że błoto było miejscami po kolana, że kałuże rozlewały się, kiej

stawy, i kępy zlodowaciałego śniegu zagradzały drogę, to szli noga za nogą, wymijając przeszkody, kołując i jakby z rozmysłem nakładając drogi, ale mimo to w jakieś Zdrowaś przystanęli pod płotem. Jędrzej zalecił cichotę i sam, chyłkiem, bokami, podsunął się pod okna i zajrzał.

W białej, a sporej izbie, obwieszonej obrazami, świeciła się lampa, zwieszona od pułapu, a pod nią, przy stole, siedziało kilkoro ludzi, jedząc kolację i pogwarzając z cicha. Na kominie buzował się tęgi ogień, że pół izby tonęło w czerwonych blaskach, a jakaś dziewczyna chodziła, huśtając na ręku dziecko rozkrzyżowane...

— Są w domu, są — szeptał Jędrzej, wróciwszy do gromady, trząśnięty cały i ledwie zapał, ledwie poradził mówić, by połowa ludzi poszła, strzegąc dom od strony pól i podwórza.

Ale wnet, ochłonawszy, ruszył śmiało w opłotki; już podchodzili do ganku, gdy gdzieś w podwórzu psy zaskowyczały tak żałośnie, iż jęli przystawać.

— To nasi sprawiają się z nimi. Chodźmy! A jakby się bronili, kijami hyclów, nie żałować! — szepnął Jędrzej, pociągnął młynarza, przeżegnał się i wszedł ostro do sieni, chłopci parli się tuż za nim, ramię przy ramieniu.

Weszli do izby hurmą, mocno a posepnie.

Rumor się uczynił, Gajdy porwali się od stołu z rozdziawionymi gębami, lecz w mig stary pierwszy się opamiętał, opadł na stołek, pociągnął syna i zawołał, niby to z prześmiechem przyjaźni:

— Witajcie! Ho! ho! jakie goście! i młynarz! i Jędrzej! Cała kompania.

— Siadajcie, gospodarze! — dorzucił Gajdziak, obiegając wystrachanymi ślepiami chłopów, a bezwolnie sięgając łyżką po jedzenie.

Ale nikt nie przysiadł, ni rękę wyciągał do powitania, stanęli, kiej słupy, bez ruchu, tylko Jędrzej się wysunął i rzekł surowo:

- Ostawcie jadło, mamy pilniejsze sprawy.
- Sprawy? Nam pilniejsza kolacja! — warknął hardo stary.
- Mówię ci, ostaw, to ostaw! — zagrział Jędrzej.
- Cie... jaki naczelnik... w cudzej chałupie rozkazuje...
- A rozkazuję, i posłuchać musisz, hyclu jeden!

Gajdy skoczyły na równe nogi, strach ich obleciał, poblekli, łby się im trzęsły, ale szczyrzyli ostre kły, kiej wilki, gotowe na wszystko.

— Czego chcecie? — spytał młodszy zduszonym, syczącym głosem.

— Sądu na was zbóje, i kary! — krzyknął strasznie Jędrzej. Te słowa zwały się na nich, kiej pułap, że pochylili się ździebko.

Luta cichość wionęła tchem śmierci, że na mgnienie zamarły nawet oddechy, dzieciak jeno płakał coraz głośniejsze, ale naraz, raptem, Gajdy rzuciły się ku drzwiom, młodszy błysnął nożem, a stary porwał siekiere, lecz nim zdążyli uderzyć, chłopcy runęły na nich, kiej burza, kije spadły z głuchym trzaskiem, kilkadziesiąt rąk chyciło za łby, za orzydła, za szpondry a karki i wyrwało ich z miejsca, kiej te krze nikłe.

Wichura się zakręciła po izbie, krzyk się zerwał i rumor, stolki, ławy, a sprzęty poleciały na wszystkie strony, kobiety uderzyły w płacz, zwił się kłęb i wśród przekleństw, szamotań i ryków zwał się na podłogę, zakotłował, przetoczył, raz i drugi ciepnął się o ściany i rozprysnął.

Gajdy leżały na ziemi, skrępowani w powrozy, niby barany, ry czeli z całych sił, szarpiąc się a klnąc straszliwie.

- Pod kościół z nimi, tam ich osądzim — rozkazał Jędrzej.

Wyciągnęli ich z chałupy i prawie wlekli przez plac, gęsto popędzając kijami, bo się opierali, krzycząc w niebogłoso, kobiety leciały po bokach, lamentując i skamłając o zmiłowanie, że odpędzali je nogami kiej suki.

— We dzwon bić, niech się cała wieś zbierze! — krzyknął młynarz. Śnieg jął sypać gęsty, iż na świecie widniej się stało.

Dzwon zahuczał głucho, jak na pożar, i już bił bez ustanku, posępnie i strasznie, i aże wrony porwały się z dzwonnicy z krakaniem, kołując nad kościołem, a od wsi leciały z krzykiem całą gromadą kobiety i dzieci.

— Ludzie, zmiłujcie się! Ratunku! Loboga! — ryczały Gajdy, szarpiąc się rozpaczliwie, ale nikt im nie odpowiadał, cała gromada szła w głębokiem milczeniu. W cichości tej weszli na cmentarz i rzucili powiązanych przed próg kościelny.

— Cośmy winni? Za co? Ratunku! — znowu zakrzyczeli, usiłując powstać, ale czyjeś nogi spadły na nich, że się zwalili, kiej kłody, przeklinając i grożąc zemstą straszną wsi całej.

Zaś Jędrzej stanął na progu kościoła, wsparł się grzbietem o drzwi, zdjął czapę i zawołał wielkim głosem:

— Braty rodzone, Polaki!

Umilkły babie wrzaski, naród się zwarł kołem, a przychylając głowy, gdyż śnieg bił gęsty i mokry, słuchał uważnie.

— To wam powiem, bracia: jako na wiosnę gospodarz wychodzi z broną ostrą na podorówkę jesienną, by ją z chwastów oczyścić przódzi, nim dorodne ziarno rzuci na plon, tako i na świecie pora teraz nastaje, by złe wyplenić... Już się do tego przykładają po drugich gminach i parafiach: już wypędzili pisarza w Olszy, zabili złodziejów we Woli, a wygnali z Grabicy. I sami se to robią, sami, bo już takie złe urządzenie jest na świecie, że ty, chłopie, pracuj,

gnaty wyciągaj, podatki płać, rekruta dawaj, a jak ci się krzywda dzieje, to ci jeno ten Bóg ostaje albo to próżne skamłanie.

— Oj prawda! prawda! — przytwierdzili wzdychając.

— To wam mówię, jako już przyszedł czas, co naród nie ma się oglądać na nikogo, jeno sam na siebie! Sam se radzić musi, sam się bronić przed krzywdą i sam se brać sprawiedliwość! Czekalim długie lata i cierpielim od wszelkiego złego, a nikto nas nie poratował i nie wspomógł! Jakże, sądy nie la sprawiedliwych, urzędy nie la chłopów, opieka nie la pokrzywdzonych! To kaźden wie, kōren rozum ma. Kieć już rady jenszej nie ma, jeno robić tak, jako drugie wsie robią.

— Zabić ścierwy! Zakatrupić! Koniami rozedrzyć! — jęli zaraz wykrzykiwać zapamiętane, rzucając się z kijami na Gajdów.

— Cichocie! Stójcież, psiekrwie! — ryknął Jędrzej, osłaniając ich sobą. Poczekajcie! Wiadomo, że zbóje to, złodzieje i zdrajce, których trzeba pokarać, ale przódzi kōren co ma do nich, niechaj oblicznie wystąpi, a powie im do oczów. Sąd tu bowiem robimy, a nie zbójectwo. Nie na pomstę ich wzielim, jeno na karę sprawiedliwą.

Skłębił się naród, bo jakoś nieraźno było kaźdemu wysuwać się na pierwszego, gwar huknął, wszyscy naraz mówić zaczęli, wypoминаć swoje krzywdy, a cisnąć się groźnie do powiązanych; dopiero młynarz wystąpił naprzód, rękę podniósł i rzekł uroczyście:

— Świadcę przed Bogiem i ludźmi, jako ukradli mi konie i czterysta rubli. Złapałem ich... Nożem zmusili mnie przysięgać, że ich nie wydam! Pomstą zagrozili. Zbóje to są najgorsze!

— A ja świadcę, co Gajdy ukradli mi krowę — rzekł drugi.

— A mnie wzięli maciorę.

— A mnie kobyłę ze źrebięciem — świadczyli podobnie.

Naród słuchał w groźnej cichości.

Śnieg zagnała ustał, natomiast wiaterek rozbił się o kościół i targał drzewami, jaże się przyginały z jękiem, po niebie leciały wielkie, bure chmury, zaś głosy oskarżeń, mocne a ciężkie, padały nieustannie, że już chwilami zrywał się z tłumy pomruk złowieszczy i trzask kijów, lub Gajdy krzyczały:

— Nieprawda. Przez złość świadczy! To wżieni złodzieje z Woli! Nie wiercie!

Ale stawali coraz nowi, a coraz cięższe rzeczy powiadali.

A na ostatku wspomnieli im żydów pozabijanych, wypomnieli te panny wydane, i księdza zdradzonego, i podpalenia jakiegoś, i pijatyki ze strażnikami, i niechodzenie do kościoła; jakie kto wiedział grzechy, zbierał skwapnie, a walił z wściekłością na ich głowy skowyczące, że już straszny wrzask się uczynił, gdyż jeden przez drugiego krzyczeli, a każdego pomstował i kłął, każdy się srożył i każdy darł się do bicia, jaże Jędrzej, nie mogąc ich powstrzymać, wrzasnął rozgniewany:

— A zawrzyjcież pyski, bym swoje powiedział.

Jakoż przycichło ździebko, baby jeno po swojemu jazgotały swarliwie.

— Czy się przyznajecie? — zapytał, pochylając się nad nimi.

— Nie! Myśma nie winowaci! Nieprawdę mówią, przez złość! Przysięgniemy! — zakrzyczeli rozpaczliwie.

— Przyznajcie się, to mniejsza kara was spotka — namawiał łagodnie.

— Zabić psubratów! Kijami zatłuc! Zbóje są, złodzieje, zdrajce! Śmierć hyclom — zawrzeszczeli naraz wszyscy, podnosząc drągi i pięście, że Gajdy zawyły ze strachu, jęli się rzucać i, chwytając

zębami za buty, to całując nogi, skamleli oszalonemi głosami o zmiłowanie.

Ośłaniał ich jeszcze młynarz, Jędrzej i paru spokojniejszych, usiłując powstrzymać rozjuszonych, którzy parli się, kiej burza, krzycząc a kołami wymachując, zaś baby najzajadłej doskakiwały z pazurami.

Robiło się już strasznie, zakotłowało się pod kościołem, rozwścieklony krzyk miotał się i huczał ponuro, jak ten dzwon, bijący nieustannie.

— Księdza trzeba przed śmiercią! Księdza! — zakrzyczał naraz młynarz.

Wstrzymali się. Ktoś poleciał po proboszcza.

— Albo i do jutra poczekajmy z pokaraniem — proponował młynarz.

Zakrzyczeli, trzaskając drągami:

— Skończyć z nimi! Nie potrzeba zbójom księdza! Niech zdychają, jak psy. Nie czekać! a to uciekną jeszcze i kozuniów sprowadzą! Zakatrupić!

Ale Gajdy, poczuwszy, skąd może przyjść ratunek, jęli błagać rozpaczliwie:

— Miłosierdzia, ludzie! Spowiadać się chcemy! Księdza dajcie... Księdza!...

Na ich nieszczęście księdza nie było w domu — wyjechał jeszcze na odwieczerzu.

— To niech się spowiadają przed całym narodem! — ktosik rzucił.

— Dobra! Tak! Niech się wyznają. Niech prawdę powiedzą — przytwierdzali.

Któryś rozciął im postronki na rękach i podniósł na kolana przed progiem.

— Otworzyć kościół! Spowiadać się będą! Otworzyć! — rwały się głosy gęste, ale Jędrzej zawołał:

— Nie potrzeba! Grzech wprowadzać do domu bożego takich zbójów, dosyć la nich, iż pozwalamy im na poświęcanem miejscu. Cicho tam! — krzyknął na babie mamroty i, przechylając się ku Gajdom, rzekł

— To się wyznajcie, a jeno szczerą prawdę! Naród mocen darować wam przewiny! — przyklęknął pobok, a za nim zrobili toż samo wszyscy z westchnieniami, a żegnaniem.

Gajdy zabełkotały coś niewyraźnie, rozglądając się na strony.

— Wyraźnie mówta! Głośno! Pana Boga chcą oszukiwać! — zawrzeli na nich.

Stary Gajda, jakby mu dusza stajała ze strachu zaczął się trząść, buchnął płaczem i wśród ciężkich łkań wyznawał swoje grzechy.

Grobowe milczenie się rozsiało, nawet dech powstrzymywali, nawet kaszle ustały, że jeno ten głos płaczliwy brzmiał w ciemności, rozplływając się, kiejby strugą krwi, a górą huczał dzwon, i szumiały rozkolebane drzewa.

Zgroza padła na dusze, włosy powstawały, ludzie bili się w piersi z przerażenia, kajś niekajś jęk się rwał żalorny, jakiś strach okropny przejmował serca lodowatym zębem, bo Gajda, choć spędzając ciągiem winy na syna i strażnika, przyznawał się nie tylko do tego, co mu wypomnieli, ale i do wielu jeszcze gorszych rzeczy...

A gdy skończył, padł rozkrzyżowany i, bijąc łbem o próg, tak jęczał o zmiłowanie, jaże wiele zawtórowało mu płaczem, ale chłopci zawrzeszczeli:

— Kacper niech teraz wyznaje! Kacper! Prędziej, zbóju! A nuże! — i jęli go macać kijami po bokach a kopać, że uniósł się rozwścieklony:

— Samiśta zbóje! Niewinowatych mordować chceta! Samiśta złodzieje i zdrajce... Wszarze! Ścierwy! Paroby! — kłął i wygrażał strasznie, aż go stary zabłagał:

— Ukorz się, synu! Wyznaj się, to może ci darują! Ukorz się!...

— Nie chcę! Łaski u zbójów prosił nie będę! Psy wściekle! Paroby! Nie potrzeba mi spowiedzi! Niech mnie zabiją! Niech się ważą, psubraty! Wojsko tu jutro odpłaci im za mnie! Niech mnie jeno tkną! — ryczał jak zwierz, i naraz porwał się na nogi, rypnął pięściami najbliższych i rzucił się oszalały na wszystkich, stary rymnął tuż za nim, przedzierając się milczkiem, jak wilk.

Podniósł się straszny wrzask, ale zmogli ich w mig i rzucili, kiej kupę łachmanów, na dawne miejsce, a Jędrzej zakrzyczał gniewnie:

— Uciekać chciały! Pomstą grożą! Zbóje są i złodzieje najgorsze! Pokarżcie ich, ludzie! Zatłuczcie, kiej psów wściekłych! A wszystkie bijta. Wszystkie! Bij, kto w Boga wierzy! — wrzeszczał rozszokony.

Naród się zakołysał, kiej bór, i runął na zbójów, sto drągów się podniosło i spadło z głuchym łomotem, ryk buchnął niebosiężny, jakby się wszystek świat zawalił, zakotłowało się straszną wichurą i z nagłą przycichło, że jeno słychać było w ciemnicy łomotanie kijów, tupoty, babie piski, charczenia, klątwy, a niekiedy dzikie, okropne, wstrząsające krzyki zabijanych.

Zaś po chwili pod progiem kościelnym jeno czerniała bezkształtna masa, wbita w śnieg i błoto, rozchodził się mdły zapach krwi... Dzwon umilkł, ale ludzie jeszcze nie odzipnęli, gdy od wsi zaczęły się roznosić krzyki, że strażnik uciekł.

Parobcy nadlatywali jeden przez drugiego, rozprowadając i wrzeszcząc:

— Strażnik uciekł! Jak dzwon zabił, weszlim do izby, a jego już nie było...

— Przez komorę uciekł! Młynarzówna go ostrzegła!...
— Juści, widzielim, jak wchodziła! Ona go przestrzegła! Ona!
— Nieprawda! — zaryczał młynarz, przyskakując z pięściami.
— Wszyscy wiedzieli, że była strażnikową kochanicą, wszyscy!
— wrzeszczały baby, i kaźden, co wiedział, też powiadał swoje,
gdy Jędrzej znowu się odezwał:

— Ludzie, słuchajcie! Braty! Pokaralim jednych ale najgorszy nam uciekł! Zgonić go trzeba... Pokarzem tak samo kaźdego, któren naród krzywdził będzie, któren kradł będzie, a zdradzał! Na konie siadać i gonić! Na konie, chłopaki! Do miasta uciekł! Gonić go — i, żywego czy umarłego, trza dostać! Prędzej, ludzie! By nam psoty nie wyrządził! Prędzej!...

Wywalili się i w dyrdy pobiegli ku wsi, a w jakiś pacierz kilkadziesiąt chłopów już gnało różnymi drogami ku miastu, jaże koniom grały wątroby i błoto się otwierało pod kopytami.

Wieś prawie całkiem opustoszała.

Jeno na cmentarzu kobiety jakieś lamentowały żałośnie.

A środkiem drogi, nie bacząc na deszcz ze śniegiem, trzepiący po twarzy, włókł się ku domowi młynarz, przystawał często, z trudem łapał powietrze, wzdychał ciężko, niekiedy się potaczał, niekiedy stawał, kiej martwy, a niekiedy szeptał cicho, boleśnie, z głębi umęczonego serca:

— Takaś to, córko! Taka! Strażnikowa kochanica! — powtarzał bezwolnie.

I kij srogo zaciskał w garści, jeno się trząsł, jak we febrze, i lży gęstym gradem sypały mu się po twarzy.



— SUKA —

— Witek! Mój złoty Witek!

Chłopak się obejrzał, źrebaka, na którym jechał, powstrzymał i mruknął:

— Cegój! A gdzie!... To psinorody dopiro, zaro w skodę, kiej śwynie!

Pchnął swego konia, obegnał rozpraszające się po drodze i zbożu stado źrebiąt, spędził w kupę i podjechał znowu pod parkan, okalający ogród, gdzie stała dziesięcioletnia może dziewczyna.

— Mój drogi Witek, pomóż mi zejść, mój złociutki, ja się tak boję, jeszcze spadnę — szczebiotała, przytrzymując się silnie ostro zakończonych sztachet.

— A juści — dostanę ta!...

I obojętnie zsuwał ściągnięte aż do kolan spodnie.

— To podjedź.

— Bez rów?

— Prawda — i spojrzała z przykrością w głęboki rów, idący równolegle z parkanem.

— Niech paninka chyci się słupka okrakiem i tak zjedzie na ziemię.

— Jak to okrakiem?

— Loboga z tymi kobitami?... To zawdy nic nie rozumi. Dyć kolanami i tyła.

— Acha! Już wiem, wiem.

Przypomniała sobie Ewkę, zjeżdżającą z brogu po słupie.

— Tylko nie patrz, jak będę schodziła.

— Przez co?

— No, nie patrz! — zawołała energicznie, rozczzerwieniona i zła, że nie rozumiał dlaczego.

Chłopak drwiąco się roześmiał i odwrócił, a ona książkę trzymaną w ręku rzuciła na drogę, i tak, jak radził, zsunęła się po słupku. Przez rów przeszła i wesoło zawołała:

— Dawaj tu konia, pojedziemy trochę.

Chłopak zaczął się kłopotliwie drapać w głowę.

— Dajże rękę, siądę z tobą, i pojedziemy.

— A już ci, a jak kto obacy i powi jaśnie pani, to co? — mruknął markotnie.

— Nikt nie będzie widział, pojedziemy na łąki, albo do lasu — no, mój Witeczku.

— Kiej się bojem. Jaśnie ociec paninki powiedzieli, że kiej jesce raz zobacą, co z paninką jezdze, to mi taką frycówkę sprawią...

— Nie będzie wiedział, dajże rękę, już ci podaruję wstążkę czerwoną do koszuli.

Chłopak zmiękł. Ledwie bosą nogę wyprężył poziomo jak strzemię i rękę podał, już dziewczyna siedziała przed nim, chwyciła się grzywy i biła bosemi, w pantofelkach tylko nogami po bokach żrebca. Witek jedną ręką przycisnął ją do siebie, drugą klepnął w kark konia, zawrócił, gwizdnął, uderzył piętami — i polecieli, jak wiatr, drogą ku łąkom leżącym niżej, pomiędzy parkiem a lasem.

Dziewczynie oczy i usta aż się śmiały z radości ogromnej, przenikał ją prąd jakiejś dzikiej energii, i porywała szalona żądza ruchu, powietrza, krzyków; unosiła się na koniu i rwała naprzód. Twarz jej pałała, włosy się trzęsły zwichrzone, przed oczyma tylko migiała przestrzeń. Nie mogła złapać tchu, chwilami kołowało się

jej tak w głowie, że prawie traciła przytomność, ale pobudzała żrebca do wciąż szybszego biegu, pokrzykując zuchowato: Hop! hop! I lecieli. Witek trzymał ją mocno, bił żrebca piętami coraz częściej i rozpalony jazdą krzyczał głośno! — Hop! hop!...

— Hop! hop! — odkrzykiwała wesoło i, jak przyrośnięta do konia, rozwichrzona jazdą, szczęśliwa, z przymkniętymi oczyma, rzucała się w przestrzeń. Przelecieli łąki, nie widząc ludzi, koszących trawę, przepłynęli w bród rzekę i znowu lecieli polami, na których zboża stały w kłosach, ugorami, pełnymi stad i wesołych nawoływań pastuchów — lecieli bez tchu i pamięci, aż im ściana olbrzymiego lasu zagrodziła drogę, a zmęczony żrebiec zaczął zwalniać biegu i rozpierać się. Na skraju lasu Witek konia wstrzymał i zeskoczył na ziemię, dziewczyna zrobiła to samo; wzięła go za rękę, on konia za grzywę i poszli w głąb lasu. Cisza mroczna ich ogarnęła i majestat jakiś potężny. Wybrali sobie niewielką, pokrytą mchami polankę, i siedli odpoczywać. Dziewczyna spotniałą twarz wycierała fartuszkiem, a Witek położył się na brzuchu i sapał. Przysunęła się bliżej do niego, bo las tak zaszumił, że ją przeniknął niepokój. Żółtawe pnie sosen, niby tysiące kolumn, podpierających zielone sklepienia, stały bez ruchu, dołem mchy złotawe, miękkie jak jedwab, rozścielały się niby kobierce, a gdzieś niedziedzie wachlarze paproci drżały, poruszane nieznanym powiewem. Słońce słabe przeświecało przez gałęzie i kładło nikielne, złotawe plamy arabesek na mchy i jasno-zielone liście leszczyn. Żywiczna woń lasu wypełniała im piersi, a ten spokój, panujący dokoła, onieśmielał tak, że długo siedzieli w milczeniu, nasłuchując, bo w dali gdzieś kuł dzięcioł zawzięcie, przyczepiony do sosny, to znów wrona z krakaniem przeleciała nad lasem, to śpiew kosiarzy doleciał słabym echem z łąk, to jakieś pokrzyki wesołe leciały po lesie. Taka była

chwilami cisza, że słyszą szelest spływających na ziemię długich, złotawych szpilek sosnowych. To znowu stado srok nadleci ze skrzekiem, kłóć się, aż las kipi wrzawą, i odlatują; to żuk przeciał z brzękiem lub pszczoła za kwiatem; to wiewiórka zachrupocze zeszlórocznymi szyszkami, to wiatr zaszemrze w koronach, skłóci harmonię, aż się pochwieją przez chwilę olbrzymy w poważnym rozhoworze. I znowu cisza. Świetlane pęta wsiąkają w zieleń i niby złoty haft plamią bursztynowe pnie sosen. Potem przychodzi coś jak cień, wsącza się zwolna w las, mroczeje, robi się czarniawo, wszystko zdaje się zapadać w jakieś głębie, i szmer się rozlega podobny do jęku smutnego, chłodny oddech idzie z leśnych głębin i uderza w dzieci przejmującą falą zimną. Żrebak szczypiący młode listki jagodzin zarżał niespokojnie. Wróciła im wesołość, i nie czuli zmęczenia. Witek zobaczył wronie gniazdo na sośnie i chciał wejść na nią, ale nie mógł, próbowała tego i dziewczyna, ale poszarpawszy sobie sukienkę i podrapawszy skórę na nogach, zaniechała. Zaczęli się gonić, chować za pnie drzew, przewracać. Chciała się koniecznie nauczyć stawać »suchego dęba«, ale za każdą próbą, choć ją Witek przytrzymał za nogi, padała wśród ogromnego śmiechu obojga. Witek uciął dwa leszczynowe kije i uczył ją gry w świnkę. Śmiali się tak, że aż się rozlegało po lesie, żrebak im wtórował rżeniem i biegał za nimi jak pies. Dziewczyna czuła się tak ogromnie szczęśliwa i rozradowana, że zapomniała o całym świecie. Wreszcie, syci zabawy, zabrali się do powrotu. Jechali wolno, Witkowi tylko zaczęło coś dolegać, bo się kręcił niespokojnie i wybiegał wzrokiem ku drodze, gdzie pozostawił stado.

— Pić mi się chce — powiedziała, gdy wjechali w rzekę, i koń przystanął sączyć przez zęby mętną wodę. Witek się nachylił, w swój słomiany kapelusz wody nabrał i podał — piła chciwie.

— Czemu taka mętna?

— W Kotlinach wodę puścili, o — jak przybiro!

Rzeka toczyła się z szumem, pokryta żółtawą pianą, i występowała z brzegów.

— A gdzie Finka? — spytała.

— Bo ja wiem? Gdziesik pociekła, bo już i wczoraj nie była ze mną.

— Ma już małe pieski?

— Jesce nie.

— Jednego mi dasz — co? Ja tak lubię pieski! Będzie z lalką sypiał.

— Bedzie ta sipiał! Jaśnie ociec paninki kaza go utopić w chrapie. Tak, paninko, trza prędzty — dodał, przypomniawszy sobie panią.

— Jeszcze trochę pojedziemy tak wolno. O, patrz, jak tu ładnie!

— Zruboki ostawiłem na drodze... Jak nie posły w ogrodzenie, ino w zyto, to dopiro bedzie piekło — i uderzył nogą żrebca, nagłąc do pośpiechu.

— O, jak tu ładnie. Patrz, Witek — i wskazała ręką zachodzące słońce.

— Prowda — cerwuno.

Dziewczyna wpatrzyła się w przestrzeń, a Witek raz po raz znał bieg konia i ze strachem myślał o żrebackach.

Cały zachód pokrył się jakby łuską z purpury, przesiąkłej złotem na tle szaro-błękitnej głębi; niżej, tuż nad słońcem rozciągał się płat nieba wielki, długi, porwany w kawały, koloru miedzi, powleczonej czerwonawymi odbłaskami słońca, którego kula tuż nad ziemią, niby bezrzesne oko, świeciła jaskrawo. W ogniach zachodu wąsate kłosa jęczmienia, przesycone światłem, mieniły się głęboką, zielonawo-złotą barwą. Żyta miały odcień stalowy. Koniczyny rozkwitłe tworzyły kobierzec o krwawym odbłasku, pocentkowane kępami

liljowych jaskrów, ostro się odcinały od popielatych pól owsa. Drzewa stojące wprost słońca przedłużone cieniami, miały pozór olbrzymów: z jednej strony zieleń ich była złota, z drugiej czarna. Słońce lało strumieniami światło po przez liście i gałęzie, rysując na przydrożnym trawniku, jak bizantyjski malarz, złote tło do obrazu o konturach z cieni.

Zmrok wylaźił z jakichś nor przestrzennych i słaniając się, zataczał coraz szersze kręgi. Słońce przygasało, w brózdach, po rowach, pod rozłożystemi gruszami ciemniało, łąki zaczęły siwieć rosą i okręcać się fioletowymi mgłami. Cichość jakaś wlewała się w świat i brała wszystko w moc swoją.

Witek tego wszystkiego nie widział, tylko co chwila mówił:

— Paninko, loboga prędy!

— Nie bój się, ja poproszę papy, to cię nie wybije. Mnie tak dobrze jeździć z tobą. Nie wiem, dlaczego mamusia mi nie daje?

— Juścić, bo to nie pasuje.

— Dlaczego Witku?

— Bo paninka jest dzidzicowa córka, a jo se żruboki pase.

— No, to co? Kiedy ja wolę z tobą jeździć, niż się uczyć głupich rozmówek.

— Ja ta nie wim co, ino to, ze paninka je ślachecko, a jo chłopski.

— Madam mówiła, że przecież to wszystko jedno.

— Jedno to pewnikiem i nie jest, bo ślachta ma grontu więcy, kieć chłopy, i uczone są, i ubier mają insy, i całkiem inacj zyją.

— Witek, a czemu ciebie twoja mama nie posłała do szkoły?

— A bo matula pinindzy ni mają, i bez to głupim chłopem ostanę.

— A jakbyś miał pieniądze, Witku?

— Jakbym miał, paninko, tobym się wszyckiego, co się ślachta ucy, nauczył, ubier se sprawił ślachetny, grontu bym kupił od Kłęba,

abo i od Gulbosa, jakby chwaciło, kunie miołbym, krowy miołbym i taki gospodoz byłbym, coby me gromada obrała na pana wójta, i kiedyby było potrza, to baldach niósłbym se w kościele nad do-brodziejem — i uśmiechał się słodko.

— Ta madam, to mi każe zawsze siodłać kuca Władkowego, a on tak lizie, lizie jak cielę — co, nieprawda, Witek?

— Juścić, że prowda, paninko.

— Jak już dorosnę, to będę jeździć tatkowemi końmi — co, nie-prawda, Witek?

— Hale! ogiery, paninka nie poradzi.

— To ty będziesz jeździć ze mną — co, nieprawda, Witek?

— Juści, że tak może być, ino formanem ostanę.

— Ubierzemy konie po krakowsku, ze wstążkami i tym no-wym tatusia brekiem będziemy jeździć, a tak prędko, tak prędko — co, nieprawda, Witek?

— Prawda, paninko.

— Witek, a gdzie moja książka?

— A jo wim! Cy to ta sama, co z obrazikami?

— Nie, nie ta. To jest gramatyka francuska. Wzięłam ją do parku, żeby się lekcji nauczyć. Mój Boże, gdzie ja ją podziałam. Och, jakby się mama gniewała, jedź prędzej, może tam została, gdzie przecho-dziłam przez parkan.

Dojechali galopem, zsunęła się na ziemię i zaraz prawie ją znala-zała, tylko, że książka leżała rozplaszczona, stratowana przez żreb-ca; oglądała ją ze strachem, wycierała sukienką, ale napróżno.

— Podsadź mnie.

Witek się nachylił, skoczyła mu na ramiona i dosięgnąwszy szczy-tu parkanu, wciągnęła się na wierzch, zeskoczyła zaraz na drugą stronę i znikła w parku.

Witek pojechał, rozglądając się markotnie za żrebakami.

Ona zaś otworzyła książkę i śpiesznie, głośno zaczęła recytować lekcję. »J'aime, il aime. Tu aimes, vous aimez. Nous aimons, ils aiment«, powtarzała, uporczywie wbijając sobie w pamięć, że nawet nie słyszała wołania.

— Tosiu! Tosiu!

Drgnęła, zaczęła odmieniać jeszcze prędeej i biegła do domu. Strach ją ogarniał. Dojrzała pomimo pośpiechu nauczycielkę, stojącą na ganku od ogrodu, więc jeszcze spieszniej obiegła dwór i wpadła na podwórze, zdążając do frontowego wejścia i powtarzając sobie bezustannie.

»J'aime, il aime. Tu aimes, vous aimez. Nous aimons« i t. d. Nie mogła spa pamiętać i zamilkła, bo zobaczyła matkę, stojącą na ganku i przypatrującą się jej uważnie.

Od razu poznała, że jeździła, bo Tosia miała włosy potargane, sukienkę zmiętą, podartą — żółte pantofelki zawalane torfiastym gruntem rowu, więc tylko krótko spytała:

— Gdzie Madam?

— Nie wiem, mamusiu. Ja... byłam w parku... uczyłam się lekcji... nie widziałam... — tłumaczyła się, drżąc ze strachu i niespokojne, bojaźliwe, a pełne prośby o przebaczenie oczy zwracała na matkę.

— Pokaż książkę.

Dziewczyna zbladła i zaczęła odruchowo znowu odmieniać przypadki.

— Co miałas zadane?

Tosia wskazała.

— Mów. Tylko pamiętaj!...

Wystraszona surowością głosu matki, zaczęła coś bełkotać.

— Mów wolno, wyraźnie! — syknęła matka, z trudem powstrzymując gniew.

— »J'aime, il aime. J'aime, j'aime« — trzepała zgorączkowana, nie wiedząc, co mówi.

— Jeszcze raz powtórz! — i ścisnęła mocniej trzymaną za plecami dyscyplinę.

Tosia dojrzała ten ruch, zapowiedź czegoś gorszego, i ścierpła, rozszerzonymi, ogłupiałymi ze strachu i przygnębienia oczyma patrzyła, nie mogąc słowa wykrztusić.

— To tak się uczyłaś! To ja na to trzymam nauczycielkę, żebyś ty nic nie umiała! W parku się uczyłaś?

— Tak, mamusiu — szepnęła cichutko, przez łyzy.

— Nie kłam, nie prawda! — i uderzyła ją przez plecy rzemieniami.

Dziewczyna zdenerwowana do ostatka, z ogromnym płaczem, trzęsąc się z bólu i rozżalenia, rzuciła się na kolana przed matką.

— Mamusiu! mamusiu! — błagała nieprzytomnie.

— Ty szelmo, będziesz się z pastuchami bawiła, ja ci dam chamów, ja z ciebie wytłukę tę przyjaźń! Masz dziesięć lat i jednej rozmówki francuskiej nie umiesz, dwa lata grasz gamy. Ty wyrodku obrzydły, z dziewczkami się bratać, z chamstwem się bawić, z Witkiem jeździć! Ja ci dam, ty potworze. Ty! — i okładała ją coraz silniej ze wszystkich sił.

Dziewczyna wiła się z bólu, chwyciła matkę za rękę, za nogi, za suknię, to znów zasłaniała się rękoma od bolesnych uderzeń i jęczała:

— Mamusiu! mamusiu!

A mamusia biła coraz zapamiętałej.

Dopiero nauczycielka położyła koniec znęcaniu się, wrywając z rąk matki nieprzytomne prawie z bólu dziecko.

Dziedziczka bić przestała i upadła na ławeczkę ganku, sina z tego paroksyzmu wściekłości. Darła na sobie stanik i ledwie wykrztusiła do przechodzącego parobka:

— Przyrowadź tu Witka!

Potrzebowała jeszcze krzycheć i bić, nim jej nerwy mogły wrócić do równowagi.

— Skaranie boskie z tą dziewczyną! — zaczęła po długiej chwili, a jej chuda, kańciasta twarz rozbłysła nowym wyrazem złości. — Pracuj, staraj się, płąć, a ta nic. Przyjeżdża pani Zielińska i ze złośliwością mi mówi, że widziała Tosię, jadącą z Witkiem przez łąki. Myślałam, że się uduszę z upokorzenia, bo te dwie jej dziewczyny — jak laleczki, dobrze ułożone, mówią po francusku, potrafią zagrać przy gościach — a ten obrzydliwiec wstyd mi tylko robi. Każę ją wołać i mówię, że się uczy w parku, a ta wstrętna baba upewnia mnie raz jeszcze, że widziała ją jadącą na oklep, i że Witek trzymał ją wpół. Co za wstyd! Co to z tego wyrośnie! Będzie jeździć z tymi oberwańcami i nic więcej. Ale cóż, kiedy jej nic nie mówią i pozwalają na wszystko.

— Ja nie mam żadnej nad nią władzy, przecież to miałam zastrzeżone, a zresztą dziewczyna tak źle od początku prowadzona, bez zdolności, zahukana, wystraszona ciągłym łajaniem...

— Jak pani śmiesz tak mówić! Moja córka źle wychowana! Bez zdolności! Ja jestem złą matką! ja — matka, źle postępuję z własnym dzieckiem! To niesłychane! Płacę pannie — to powinna coś umieć, od czegoż tu panna jesteś? Panna się tylko mizdrzysz do wszystkich i Darwinów czytasz. Po chłopskich chałupach się włóczysz — dobrodziejka jakaś, reformatorka! Psami się opiekuje, a dziewczyna, samopas puszczona, robi co chce! Mając zaś takie przykłady...

— Nie odpowiadam nawet na obelgi, bo jesteś pani niepoczytalną. Jutro mogę odjechać, dosyć mam tego obywatelskiego chleba — dosyć!

Trzasnąwszy drzwiami, wyszła. Dziedziczka zaczęła biegać po ganku, sycząc przez zaciśnięte złością zęby.

— Żmija, flądra warszawska, niegodziwiec! Zostań! — krzyknęła na Tosię, chcąc się wymknąć po cichu.

Dziewczyna przysiadła na ławeczce i ukrywszy rozczzerwioną, zapłakaną twarz w rękach, napróżno starała się powstrzymać spazmatyczne łkanie.

— Sto dwadzieścia rubli płać, obchodź się, jak z równą — i tak się wywdzięczy. Szewcówna, ty! Fochy będzie mi tu pokazywać, morały prawić! A jedź na złamanie karku! Dwadzieścia na twoje miejsce dostanę — tylko gwizdnę! Dajno go bliżej! — krzyknęła na parobka, który siłą ciągnął wydzierającego się Witka.

— Puść me Kuba! Puść me, ty zapowietrzuny! Loboga, puść!

— A jużci, a sam po łbie wezme.

Krótko go za kołnierz spencerka wziął i postawił na ganku. Dziedziczka skoczyła do niego, uchwyciła za włosy i na początek zaczęła mu pięścią gładzić puciołowatą twarz.

Chłopak krzyczał w niebogłosy i wydzierał się, ale na próżno — trzymała go żelazną ręką.

— Ty bękarcie, mówiłam ci, żebyś z panienką nie jeździł? Mówiłam, co? Tak słuchasz, psi synu! Śmiesz moje dziecko obejmować swojemi podłemi łapami! Jeździć z nią, psie? Tak słuchasz, chamie!

I z siłą, na jaką ją tylko było stać, biła go dyscypliną, gdzie trafiła.

— Nie bede, jaśnie pani, nie bede! Loboga! Matulu! O Jezu! Matulu! nie bede, matulu!

— Mamusiu złota! mamusieczku, to ja chciałam, Witek nie winien — wołała Tosia, osłaniając sobą Witka i chwytając matkę za nogi. Dostawszy dyscypliną przez ręce, puściła go i z płaczem, trzepocząc rękoma, uciekła w głąb domu.

Jasna pani miała już dosyć na uspokojenie swoich nerwów, a Witek też ledwie charczał od krzyku. Pchnęła go z ganku i poszła.

Chłopak w koziołkach zleciał po schodach i utknął twarzą w wyżwirowanem podjeździe.

— Zabiła me, matulu, zabiła! — ryczał, ale prędko powstał i chwytając się twarzy, pleców, głowy, powłókł się ku kuchni dworskiej, okropnie krzycząc:

— Zabili me, matulu, zabili!

— Witek, chodź ino, chodź!

Chłopak przypadł do matki, tłukącej przed kuchnią dworską kartofle.

— Matulu, loboga, boli me.

Przestała tłuc, odgarnęła mu włosy, fartuchem obtarła twarz, posinioną w długie pręgi.

— O piekielnica! Ażebyś skapiała, jak tyn pies. Tak dziecioka spoinwierać. Ażeby cię marności ścisnęły, ty psio piastunko!

Poszła do kuchni i wyniosła stamtąd kawałek chleba i maślanki w półkwartku.

— Zidz se ano, nie płac. Nie bój się. Pan Bóg nie tkliwy, ale sprawiedliwy. Zeby cie zło godzina nie minyła... Nie buc!

Chłopak się uspokajał, gryzł chleb, popijał maślanką i od czasu do czasu obcierał rękawem łzy, cisnące się do oczu. Matka stała nad nim, pieściotliwie gładziła go po głowie, a gdy zjadł, rzekła:

— Idź spać. Jo tam przyńde, przyniese ci štucke z obiadu, idź, bo jesce ta morówka przyjdzie i dołoży ci co.

— Przyniešta matulu i lo suki.

Poszedł, gwizdząc i nawołując cicho:

— Finka! Finka!

Obszedł wszystkie kąty podwórza, a suki nie znalazł, ale usłyszał od strony młyńna jakiś szum i krzyki, więc tam pobiegł.

Droga z przed dworca szła bokiem zabudowań gospodarczych i minawszy je, obiegała po nasypie, w półkole zatoczonym, ogromny staw, trzymany groblami wysoko, przechodziła obok młyńna, stojącego już w łąkach, przerzucała się przez upust i szła ku wsi, wyciągniętej w długą, porozrywaną linię. Młyn stał nisko, szczyty jego dachów były na poziomie wody.

Choć mrok był coraz gęstszy, Witek dostrzegł na grobli wprost młyńna gromadę ludzi, rozbiegających się na wszystkie strony i czepiających się to drzew, to płotów, i jakieś krzyki trwożne, pomieszane, przecinały powietrze. Upust był otwarty i stawidłami woda z szumem rzucała się na dół z jakiejś dziesięciołokciowej wysokości, biła w brzegi olbrzymimi, płaskimi falami, obryzgując pianą drogę. Nie mogąc się pomieścić w łożysku rzeczki, wystąpiła z brzegów, szeroko rozlewając się w niziny. Chłopak się rozglądał i zobaczywszy sukę, biegnącą naprzeciw, krzyknął:

— Finka! Pódź tu!

Krzyczeli coś do niego z drzew i płotów, ale nie mógł usłyszeć w szumie wody i gwizdał najspokojniej. Suka się na chwilę zatrzymała i w szalonych susach rzuciła się ku niemu. Przypadła mu do nóg i krótko, żałośnie skowyczała; piana toczyła się jej z pyska, a ślepie błyskały krwawo.

— Finka! — zawołał.

Skoczyła mu do piersi jakoś dziko, chwyciła za zgrzebne spodnie, szczykała zębami, tarzała się przed nim w piasku, odbiegała trochę i powracała znowu, skomląc okropnie.

Witkowi zrobiło się jakoś straszno: nie umiał sobie wytłumaczyć jej wycia, ani rzucania się, więc zaczął pędzić do młyna. Suka go wyprzedziła, zbiegła z wału i chlusnęła do wody: płynęła chwilę w kierunku wysepki, leżącej w końcu trójkąta, jaki tworzyły wody spadające spod kół i spod upustu, a łączące się o kilkanaście prętów dalej w jeden strumień wrzący. Upłynęła kilka kroków, ale gwałtowny prąd zaniósł ją w bok i wyrzucił na łąki. Miotła się kilka razy nadaremnie. Przyleciała znowu na nasyp, obiegła młyn i położyła się nad brzegiem spienionych wód, wyjął okropnie.

Witek wlaź na wysoki płot, bo dosłyszał wołania, że suka się wściekła. Dziedzic, siedzący także w strachu na jakimś drzewie, wysłał jednego z parobków po dubeltówkę. Chłopaka markotność rozbierała i taki żal, że gwizdnął na nią pieszczotliwie. Przybiegła, zaczęła gryźć żerdzie, wyrzucać piasek nogami, kręcić się wkółko i wyć... To podbiegła ku drzewom, na których siedzieli ludzie, skomliła, odrapywała pazurami korę, tarzała się w piasku, biegła co chwila nad wodę i dysząca, okryta błotem, zmęczona, wlokła się na brzuchu nad sam brzeg i krwią zalanymi ślepiami tonęła w mgłach, podnoszących się ze spienionej wody. Skowyt jakiś, podobny do spazmu, bólu nadmiernego, chwycił ją; powracała do ludzi jeszcze bardziej szalejąca, nieprzytomna. Kurcz ją jakiś łamał, bo były chwile, że leżała już martwa, skręcona w kłębek. Już sił nie miała do wycia, bo tylko jakiś charkot rozlegał się głucho w szumie spadających fal. Woda podnosiła się coraz wyżej, już tylko sam środek wysepki w trójkącie, najwyżej położony, bielił

się jeszcze piaskami. Nad łąkami rozlegał się pisk czajek, opuszczających gniazda i gęste opary.

Broń przyniesiono. Dziedzic długo mierzył w sam łeb i strzelił. Suka tylko się zwinęła i z grobli wpadła do wody, walczyła z falami, ale się jeszcze wydostała na brzeg i charcząc ciężko, uciekła w łąki.

Witek zlął na ziemię i żałośnie patrzył w mrok.

— Tak obganiała żruboki albo i śwynie, skoda! — mówił, skłopotany utratą pomocnicy. — Co jej się stało? żeby sie choć przódy osceniła! — medytował i łzy poczuł w oczach. Przerwali mu te myśli, wołając do pomagania przy zasuwaniu stawideł, bo przybór ustawał.

Gdy już odchodził, noc była zupełna, i księżyc świecił. Cisza i mgły rozpościerały się nad siwiejącymi rozlaną wodą łąkami. Młyn tylko turkotał, a od dworu szły odgłosy skrzypienia wrót, czasem końskie rzenie nadbiegło z koniczyn, lub ode wsi przejmujące tony piszczałek, albo jakieś splątane gwary. Witek popatrzył na łąki raz jeszcze, ale nic dojrzeć nie mógł, tylko jeszcze większa żałość zaczęła go gniesć i płacz go chwycił, więc poszedł na swoje legowisko do szopy, gdzie stały stare bryczki i różne niepotrzebne narzędzia gospodarskie. W starym, przegniłym wasagu sypiał razem z Finką.

Matka też wkrótce przyszła, przynosząc mu trochę zupy i kawałek mięsa.

— Mos tu, pochlipej se, jest ta i štucka, zidz se.

— Matulu, Finka się ano zepsuła. Dziadziec ją zastrzelili tero.

— Skoda sucyska. W połednie ją wołałam, nie przyszła.

— Hale, i wcoraj nie była na paśniku ze mną.

— Moze się kaj osceniła i przy psiokach warowała.

— A kiej się zepsuła.

— Boli cie jesce?

— Przecie, ze boli.

— Ta suka piekło zrobiła w domu. Jewkę wyprała, gubernantkę odprawiła. Jantka jak zwała przycirkim w łeb, to mu jojko nade ślepiem ano wysadziło — i pomstowała, jak nieboskie stworzynie. Loboga z taką przeklętnicą, gorse to lo ludzi, kiej tyn pies paskudny.

Gdy zjadł, okryła go starym szynelem i poszła.

Chłopak usnął, ale często się budził i krzyczał przez sen: to na sukę, to na źrebaki, to gdzieś się rwał uciekać z płaczem, to pokrzykiwał wesoło i szeptał: Paninko — i cmokał ustami na konia — i znowu zasypiał cicho.

Już nad ranem, gdy szaro zrobiło się na świecie, i kontury rzeczy zaczęły się w przedświcie wyraźniej odznaczać, a koguty piałły donośnie, przebudziło go ciche skomlenie i lizanie po twarzy.

— Leżyć! — mruknął odruchowo i wyciągnął rękę, aby odgarnąć sukę od siebie; ale cofnął dłoń prędko, bo trafił na mokrą szerść. Rozbudził się zaraz i uniósł na pościeli.

— Finka! — szepnął ze strachem. — Loboga, Finka!

Suka leżała wyciągnięta i jęczała cicho, liżąc go po twarzy, szyi, piersiach. Dwa pstrokate szczenięta, zwinięte w kłębki, wisiały przy jej piersiach, całe zamazane krwią i błotem.

— Ona pewno do scynioków chciała się dostać, a pedzieli, ze sie zepsuła — szepnął głęboko rozrzewniony, gładząc ją po mokrym łbie, który mu kładła na piersiach i wyciągała coraz wyżej, dysząc.

— Finka! psisko moje, sucysko bidne, Finka! — szeptał przez łyzy i obcierał nadołkiem koszuli jej bok krwawiący i obtulał jak mógł szynelem. Suka zamglonymi, zamkniętymi żółtawo oczyma patrzyła w niego i rzęzała ciężko — coraz ciężej. Wyprężyła się w jakimś przedzgonnym dreszczu, potem zaczęła drzeć cała i nogami

drapać, bezsilną gębą chwytła to szczeniaki, to Witka, skomlała cicho — polizała chłopca i dzieci, zawarczała przeciągle i skurczona skonała.

Witek już nie usnął, i ogrzewając własnym ciepłem skostniałe psiaki, szeptał:

— Bidoki, siroty! Przeniesła waju bez rzyke do mnie, to lepsze, kiej drugi człowiek.

Rano, gdy wyganiał źrebaki na pastwisko, wsadził szczenięta sobie za pazuchę, ostrożnie je ułożył i z jakimś ojcowskim akcentem w głosie powiedział:

— Nie bójta się, jo wos wymamcę, bedzieta i wy jescce obganiać żruboki albo i śwynie...



— ŚMIERĆ —

— Ociec! ociec! wstańta, słysta? no, wstańta troche.

— Laboga! Maryjo! eh! — jęczał, potrząsany energicznie. Tylko twarz mu było widać spod kożucha, twarz zapadłą, a zmiętą i poraną w brózdę, szarą, jak ta ziemia, którą tyle lat uprawiał, porośniętą siwym włosem jak podorywki późnej jesieni. Oczy miał zwarte, a z wpeł otwartych, sinych, popękanych warg wywiesił język, dysząc ciężko.

— Wstańta! no! — krzyczała córka.

— Dziaduś! — zapiszczała niewielka, w koszuli tylko i zapasce, zaścięgniętej na piersiach, dziewczyna, wspinając się, aby choremu w twarz popatrzeć.

— Dziaduś! — i lzy miała w oczach niebieskich, a żalność w umorusanej twarzy. — Dziaduś! — ozwała się raz jeszcze, ciągnąc za poduszkę.

— Pudzi stąd! — krzyknęła matka, i chwyciwszy ją za kark, pchnęła pod piec.

— Suka, na dwór! — zakrzyczała, potykając się o stare, napół ślepe psisko, obwąchujące łóżko. — Na dwór! nie puńdziesz mi ty! — i kopnęła swoim drewnianym trepem tak silnie, że suchysko przewróciło się, lecz natychmiast ze skowytem przypadło do drzwi zamkniętych. Mała chlipała pod piecem, rozcierając sobie pięściami nos i oczy.

— Ociec, wstańta, póki mówię po dobroci!

Chory milczał, głowa przekręciła mu się w bok i charczał coraz ciężej. Niewiele pozostawało mu do życia.

— Wstańta, co to, tu u mnie chceta zdychać? Niedoczekanie wase. Do Juliny idź, stary psie, ty! Daliśta i grunt, to niech wos trzymo... No, póki prose...

— O Jezusiecku! O Maryjo!...

— Twarz zroszoną potem męki kurcz mu wykrzywiał. Córka naraz gwałtownym ruchem ściągnęła z niego pierzynę, potem podjąwszy w pasie, rzuciła go w połowie na ziemię, bo tylko głową i plecami leżał na łóżku, jak drewno bezwładny i jak drewno sztywny i wyschnięty.

— Ksindza! Ojca! — wyszeptał poprzez rżenie.

— Dom ja wama ksindza, dom! — W chliwie ano zdychać, ukrzywdzicielu, jak pies — i wzięła go silnie pod pachy, ale w tej chwili puściła i spiesznie całego przyrzuciła pierzyną, bo cień jakiś mignął przez okno. Ktoś szedł do chałupy.

Zdażyła zaledwie nogi starego wrzucić do łóżka. Posiniała ze złości i z pasją otrzepywała pierzynę, ogarniając łóżko.

Weszła Dyziakowa.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki! — mruknęła patrząc spode łba na przybyłą.

— Witojta, jak się mota? zdrowiśta?...

— Bóg zapłać... nicegój...

Cóż stary? zdrowy?

I tupiała, otrząsając śnieg z trepów.

— E! gdzie zaś, ino zipi.

Kumie! kumie! — pochyliła się nad starym.

— Ksindza! — jęknął chory.

— Widzita-wy moi ludzie! Nie poznał me. Ksindza nieboroczek kce. Zamrze się starymu, pewnikiem się zamrze, ani chybi, skończy. O ludzie, ludzie... No cóż, posłałiście po ojca duchownygo?

— A bogać, mom-ta kogo.

— Przecie krześcijański dusy nie ostawita bez świntego wspomóżynio.

— Samygo nie ostawie i nie polece, a może jesce wydobrzeją.

— A juści!, nie słysyta ano, jak to gra w piersiach chudzioczkowi? To nic, ino pewnikiem wątpia tak pisca, albo mu się macico kurcy. Przecie łońskiego roku, jak ano Walek mój chorzał...

— Moiściewy, skoknijcie po probosca, ino duchem, bo patrzta...

— Prowda, prawda, wygląda chudziak jak w ostatniej mizeryi, trza bieryć, trza, — i obciskała zapaskę lepiej koło głowy.

— Panu Bogu oddaje.

— Idźta z Bogiem!

Dyziakowa wyszła, Antkowa zaś zabrała się do porządków, zeskrobała z podłogi błoto, wymiotła, wysypała popiołem, a potem wzięła się do ustawiania i mycia garnków. Co chwila obrzucała nienawistnym wzrokiem łóżko, spluwała, zaciskała pięście, to znów z jękiem chwytła się za głowę w rozpaczliwej bezsilności.

— Pietnaście morgów, śwynioki, troje bydła, statki, smaty, tak na pół, ani chybi, ze sześć tysięcy! Loboga!

I jakby podrażniona jeszcze więcej przypomnieniem takiej wielkiej sumy, szorowała, aż huczało, a potem z hałasem ustawiała miski na policy.

— Ażebyście! ażebyście! — i myślała dalej głośno: — Kuraki, gęsi, cielaki, tyle dobra, tyle dobra! i to wszystko zapisał ty lakudrze! Ażeby cie marnotki, ażeby cie roboki roztoczyły gdzie pod płótem za moje ukrzywdzynie, za moje siroctwo!

Przyskoczyła do łóżka w pasji cała i z krzykiem ogromnym.

— Wstać! — a widząc, że chory się nie porusza, nuż nad nim pięściami wytrząsać i wygadywać:

— Zdychać, tośta do mnie przyśli, może woma pochówek mam zrobić? nową sukmanę kupić? a juści! Niedoczekanie wase, będzie ta brać. Kiej Julina tako dobro, to wynośta się du ni. Cy to ja warna miałam wycug dać? Una lepsa, kiejśta...

Nie skończyła, bo dzwonek zadźwiewał, i ksiądz wszedł z sakramentami.

Antkowa skłoniła mu się do nóg, ocierając załzawione złością oczy, i naszykowawszy na wyszczerbionym talerzu święconą wodę i kropidło, wyszła do sieni, gdzie już kilkoro ludzi stało, przyszedłszy za księdzem.

— Pochwalony.

— Na wieki.

— Cóż ta?

A nic; zdychać przesed do ukrzywdzuny i nie zdycho. O bidno jo, bidno! — zaczęła płakać.

— Prowdo, prowdo, jemu do gnicio, a woma do życie — odpowiedzieli jednogłośnie, kiwając głowami.

— To ociec rodzuny tak robi?... — podjęła. — Tośma z Antkiem nie zabiegali, nie charowali, jak te woły? Nie sprzedałam ani jednego jojka, ani pukwaterka masła, ino mu podtykałam, te kapechne mlika tom ano dzieuse spod gymby wydziarała, a dowalam jemu, bo przecie stary i ociec, a un Tumkowi zapisał wszyćko! Pietnaście morgów, chałupa, krowy, prosiaki, cielok, a wozy, a statki, to nic! O jo niesczęśliwa! już nima sprawiedliwości na świecie, nimo, o! o!

Oparła się o ścianę i płakała głośno.

— Nie płacta kumo, nie płacta. Pan Bóg miłosierny, ale i przebieorny, jesteście wam wynagrodzi — powiedziała jedna z bab.

— Głupiość, nie scekałabyś po próżnicy. Co krzywda, to krzywda. Starymu się zamrze, a bida ostatecznie — odpowiedział mąż.

— Trudno wołu wodzić, kiej nie chce chodzić! dorzucił inny sentencjonalnie.

— I!... jak się kto przyłoży, to mu w piekle niezgorzy! — szepnęła któryś, strzykając śliną przez zęby.

Milczenie zaległo gromadkę. Wiatr targał zamkniętymi drzwiami i przez szczeliny sypał śnieg do sieni. Chłopi z odkrytymi głowami, zamyśleni, stali, potupując z zimna. Baby, zbite w kupkę, z rękoma pod zapaskami, spoglądały cierpliwie na drzwi do izby, skąd od czasu do czasu dolatywał głos księdza, lub cichy, chrapliwy chrzęst chorego.

Wreszcie ksiądz zadzwonił — weszli, tłocząc się. Chory leżał wznak, z głową wciśniętą w poduszkę; spod rozpiętej koszuli żółciły się piersi, obrośnięte siwym włosem. Ksiądz pochylił się nad nim i na wysunięty język kładł komunikant. Poklękali wszyscy, bijąc się ciężko w piersi, wznosząc oczy w górę, z głóśnem sapaniem i westchnieniami. Kobiety nachylały się aż do ziemi, trzepiąc: »Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata«.

Pies, zaniepokojony ciąglem dzwonieniem, warczał w kącie.

Nareszcie ksiądz skończył ceremonię namaszczenia i przywołał córkę.

— Gdzie wasz, Antoniewa?

— A gdzieżby ta była, ojcie duchowny, jak nie na wyrobku.

Ksiądz powstał, pomedytował, popatrzył się na zebranych, otulił się szczelnie wytwornym futrem, ale nic mu na język nie przyszło, więc kiwnąwszy tylko głową na pożegnanie, wyszedł, wysuwając

białą, delikatną, prawdziwie kastową rękę — do całowania chylącej się do kolan gromadzie.

Rozeszli się też zaraz wszyscy. Krótki dzień grudniowy już miał się ku schyłkowi. Wiatr ustawał, natomiast śnieg grubymi płatami opadał.

W chałupie robiło się szaro. Antkowa siedziała przed kominem, machinalnie obłamując gałęzie i podrzucając je na ogień...

Ważyla coś w głowie, bo co chwila spoglądała to w okno, to na łóżko. Chory chwilę już długą leżał cicho zupełnie. Była ogromnie zniecierpliwiona, podrywała się z siedzenia, stała chwilę, nasłuchując i patrząc... i, znów siadała.

Noc szybko zapadała. W izbie prawie ciemno było.

Mała drzemała skulona, przyciskając się do pieca. Ogień migotał zaledwie, oświetlając blade-czerwonym światłem kolana siedzącej i szmat brudnej podłogi.

Pies zaczął skomleć i drapać do drzwi wchodowych. Kury, usadowione w sieni na grzędzie, krzekorzyły cicho i przeciągle.

Cisza była ogromna w izbie, chłód pełen wilgoci wstawał z mokrej podłogi.

Antkowa zerwała się z siedzenia, podeszła do okna wyrzeć na drogę: pusta była, śnieg sypał gęsty, na kilka kroków nie było nic widać. Przystanęła przy łóżku, jakby się wahając — chwilę to trwało, bo naraz z energią, szorstko, ściągnęła z chorego pierzynę, rzuciła ją na drugie łóżko, a jego samego chwyciła silnie pod pachy i uniosła.

— Magda! otwórz drzwi.

Mała skoczyła otwierać.

— Pudzi tu, weź za nogi.

Magda objęta stopy dziadkowe swymi małymi rękami i czekała.

— No, chodź! poniesiemy! Nie ślipiaj, ino nieś! dodała ostro.

Stary ciężki był, bezwładny i jakby nieprzytomny, bo nie pojmował, co się z nim dzieje. Trzymała go mocno, niosąc, a raczej wlokąc, bo mała przewróciła się przez próg, puszczając w śnieg nogi, gdzie żłobiły dwie długie brózdy.

Zimno przejmujące musiało go otrzeźwić, bo już na podwórku zaczął jęczeć i szeptać urywanie:

— Ju-li-sia... lo-bo-ga... I...

— Krzyc, krzyc, choćbyś się ozdard, i tak nie przyńdzie.

Przeciągnęła go przez podwórze i, otworzywszy nogą drzwi do chlewa, wciągnęła go tam i rzuciła za progiem pod ścianę.

Maciora z prosiętami tam zamknięta z chrząkaniem podniosła się do wchodzącej.

— Malusie! maluch, maluch, maluch!

Świnie wyszły. Zatrzasnęła drzwi, ale zaraz wróciła się do chlewa, rozgarnęła staremu koszulę na piersiach i, zerwawszy zeń duży szkaplerz, zabrała go.

— Zdychoj, zapowietrzony!

Odepchnęła trepem nogę, leżącą w poprzek, i wyszła.

Z sieni już wychyliła się, wołając:

— Malusie! maluch, maluch, maluch!

Świnie z kwikiem przypadły do niej — przyniosła im miarę kartofli i rozsypała. Maciora chciwie zabrała się do żarcia, a prosięta, wspinając się, wyciągały z wysiłkiem blade-różowe ryjki do piersi i ssały tłukąc i targając wymioną łbami.

Antkowa zapaliła małą lampkę nad kominem i odwróciwszy się plecami do okna, rozerwała szkaplerz. Oczy jej zajaśniały niezwykle, gdy wyjrzało z niego banknotów kilka i dwie czterdziestówki.

— Nie godo! po próznicy, ze mo na pochówek, a później, owijając pieniądze w szmatkę i chowając do skrzynki, szepnęła:

— A Judos! zeby cie pomroka!

I zabrała się do nastawiania garnków i rozniecania przygasłego ognia.

— A bodaj cie! wody ani kapki, wyszła przed dom, wołając:

— Ignac! Ignac!

W dobre półgodziny śnieg zaskrzypiał i jakiś cień przemknął za oknem. Porwała za drewno i stanęła przy drzwiach, otwierających się z łoskotem; wleciał nimi mały, może dziewięcioletni chłopak.

— Ty ladaco zapowietrzone, ty! będziesz tu ciekał po wsi, a w chałupie kapki wody nima! — i przytrzymała jedną ręką, a drugą okładała krzyczącego w niebogłosy.

— Matulu nie bede! matulu puśćta me... Matulu!

Tłukła go zapamiętałe, wywierając na nim całą złość, nagromadzoną przez dzień.

— Matulu! o jej! o loboga! rety! nie bijta!

— Ty psie, bedzies lotoł, ani wody nie przyniesies, ani drew nie uscibnies, darmo ci żyrc bede dawać, bede się jesce z tobą kłyżnić!
— biła coraz silniej.

Chłopak wyrwał się jej jakoś z rąk i uciekł przez okno, napół z płaczem wykrzykując:

— Zeby ci kulosy do łokciów poupadały, ty suko! ażebyś zmarniała!... Bedzie łajno ptokiem, jak jo woma puńde po wode — i poleciał na wieś.

W izbie pusto było jakoś, lampka migotała słabo. Mała popłakiwała.

— Cegój becys?!

— Matulu!... o... o... skrzytwa dziaduś!... — szlochając, przytuliła się do kolan matki..

— Głupioś! nie bec.

Wzięła ją na kolana i, przyciskając do siebie, zaczęła iskać. Magda mruzczała dość niewyraźnie, twarz miała rozgorączkowaną, tarła piąstkami oczy i pochlipując, usnęła.

Niedługo jakoś przyszedł mąż. Chłop był ogromny, ubrany w kożuch, z głową okręconą baszłykiem, twarz miał siną od mrozu, wąsy oszroniałe sterczały, jak wiechcie. Buty omiótł ze śniegu, baszłyk razem z czapką zdjął, otrzepał się, ręce zziębnięte zabił o ramiona i, przysunawszy ławkę do ognia — usiadł.

Antkowa tygielek pełny kapusty z blachy zdjęła i postawiła przed nim, a ukrajawszy kawał chleba, podała razem z łyżką. Chłop jadł milcząc, gdy kapustę skończył, kożuch rozpiął, nogi wyciągnął i rzekł:

— Masz-ta jesce co?

Podała mu resztę kaszy z obiadu; zjadł, przegryzł drugim kawałkiem chleba, potem wyjął z kieszeni machorkę, skręcił papierosa, zapalił, dorzucił gałęzi na ogień i przysunął się bliżej; po chwili obejrzał się dopiero po izbie.

— Kaj stary?

— Ano, kaj? w chliwie...

Spojrzał pytająco.

— A juści, bo mi tu bedzie łożcysko psuł, pierzyne marał, mo zdychać, to niech sobie tam prędy zdycho... Doł mi co, a przysed tutaj! Jesce mu może pochówek płacić, albo żyćc dować; jakby tero nie zdech, twardy jak pies, bogać ta, bedzie chłoł, bedzie. Hano, kiej Julinie doł wsyćko, to una niech paminto o nim, ale co mi ta!

— Nie mój ociec i osukoł nos, niech go... cie, jaki śpekulant...
— zaciągnął się dymem, splunął na środek i zamilkł.

— Żeby nos nie osukoł, mielibyśwa... cekoj... pięć mórg, a sidym i połowe... to pińć... sidym...

— Dwanaście i pół. To jo już dawno wyrachowałem, moglibyśmy mieć kunia, ze trzy krowy... A psio para... to miemieć dopirol!
— i splunął ze złością.

Kobieta wstała, położyła małą na łóżku, wyjęła ze skrzyni szmatkę i wetknęła chłopu w garść.

— Co to?

— Obac.

Rozwinął. Przez twarz przeleciał mu błysk chciwości, pochylił się ku kominkowi, zasłaniając sobą pieniądze i przeliczył raz i drugi.

— Wielu tu jest?

Nie znała wcale pieniędzy.

— Pińdziesiąt i śtyry ruble.

— Laboga! jaz tyła — oczy jej rozbłysły radością, wyciągnęła rękę i dotykała pieniędzy z pieszczotą.

— Skondeś wziena?

— Hano, skąd? nie bacys, jak godoł jesce łoni stary, że mo na pochówek.

— Rychtyk prowda, godoł, godoł.

— W skaplerzu miał zasyte, zdjenam mu, bo co tam świntości po chliwie poniwirać, grzych, i pocułam bez materyją te śrybne, ozerwałam i wzienam. Przecie to nase, nie ukrzywdził to nos?...

— Juści prawda rzetelna. To nase, choć się tyćka wróciło. Połóż do tamtych, zdadzą się w som roz tero. Smolec mówił mi wczoraj, ze chcą pozycyć tysiąc złotych, dałby w procencie na obsiw te śtyry morgi w lesie...

— A starcy tero?

— Pewnikiem chwaci.

— To z zimy byś sioł?...

— Tak, a jakby nie chwaciło, to sie maciorkę przedo, albo i z prosiakamy, a trza mu wygodzić. A potym — dodał, — bo un bedzie mioł oddać! — zrobić kontrakt u rejenta, że jak za 5 roków nie spłaci, to grunt mój.

— A moze tak być?

— A przecie. Bo to Dumin inakszym sposobem kupił od Dyzioka?... Schowaj, a śterdziestówki weź se, kupis lo siebie co. Ignac kaj?

— Polofrował gdziesik. Hano wody nima, sicka schodzi...

Chłop milcząc wstał, zajął się obrządzeniem inwentarza, przyniesieniem drew i t.d.

Tymczasem kolacja się ugotowała, Ignac wsunął się po cichu, nikt mu nic nie mówił, milczeli wszyscy, czuli się jakby niespokojnymi. Nie wspominali o starym, jakby nigdy nie istniał.

Antek myślał o owych pięciu morgach, które z pewnością uważał za swoje, a chwilami przychodził mu na pamięć stary, to znów maciora, którą dawniej obiecywał sobie zjeść, jak tylko odkarmi prosięta — i spluwał, spojrzawszy na puste łóżko, jakby chcąc odegnąć nieprzyjemny obraz. Męczyło go to trochę, prawie że nie dojadł kolacji i zaraz poszedł spać. Przewracał się na łóżku niespokojnie, ciążyły mu te kartofle z kapustą, kasza, chleb, ale przemógł wszystko i zasnął.

Antkowa, gdy już wszyscy posnęli, otworzyła cicho drzwi od komory i z motków przędzy wydobyła w gałgan owinięte paczki pieniędzy, aby dołożyć świeże. Długo je składała, rozwijała,

aż nasyciwszy się do syta widokiem ich, zdmuchnęła światło i wsunęła się za mężem do łóżka.

Stary tymczasem zmarł. Chlewik był ladajaką przystawką z żerdeń i z zrzynów skleconą naprędce, nakrytą gałęziami, pełną szpar — tak, że śnieg swobodnie przewiewał ze wszystkich stron.

Nikt nie słyszał, jak stary wołał ratunku głosem, przepojonym rozpaczą najgłębszą — bo bezsilną. Nikt nie widział, jak się przyczołgał do drzwi zamkniętych i z wysiłkiem strasznym starał się powstać, otworzyć drzwi. Czuł śmierć w sobie, szła mu od nóg, chwytala jak w obręcz piersi, gnioła je w straszliwych kurczach, łamała szczęki, że ich rozewrzeć nie mógł, żyły stężały mu w druty jakieś.

Rzucił się coraz słabiej, aż został pode drzwiami z pianą na ustach, z przerażeniem w martwiejących oczach, z krzykiem okropnym w twarzy skurczonej męką marznięcia. Został tak.

— Nazajutrz, nim się dzień zrobił, Antkowie wstali. Pierwszą myślą jego było — iść zobaczyć, co się ze starym dzieje.

Poszedł, ale drzwi do chlewa nie mógł otworzyć. Trup, leżąc w poprzek, zapierał je od środka, jak kłoda; z wysiłkiem otworzył na tyle, aby się wśliznąć do wnętrza, ale natychmiast cofnął się, trwogą przejęty. Nie wiedział, jak i kiedy przebiegł podwórko i pomieszany, nieprzytomny ze strachu, wpadł do domu. Nie pojmował, co się z nim dzieje, dygotał cały jak w febrze, stanął przy drzwiach bez słowa, dysząc ciężko.

Antkowa mówiła właśnie pacierz z Magdą. Odwróciła głowę do męża z zapytaniem w oczach.

— Bądź wola — mówiła machinalnie.

— wola..

— Twoja...

— Twoja... — powtarzała jak echo dziewczyna klęcząc.

- No, nie żyje? — rzuciła zapytanie milczącemu.
— jako w niebie... — ciągnęła dalej.
— jako w niebie...
— Juści, że nie, leży w poprzyk, pode drzwiami — odpowiedział cicho.
— tak i na ziemi.
— tak i na ziemi.
— Ale przecie leżyć tam nimoże, ludzieby pedzieli, żeśwa go z umysłu zmrozili, jesceby...
— Co z nim zrobis?
— A bo jo wim! trza cosik... choćby go przeniesić?...
— Aha! widzis, tutaj go... Niech tam gnije, jak..
— Głupioś, trza go pochować.
— To i płacić za niego?...
— ale nos zbaw ode złygo... — cegoj ślipia rozpalas! godaj!...
— nas... zbaw... złygo...
— Płacić tego nie myśle, boć po sprawiedliwości Tumek musi płacić.
— amyn.
— amyn.
Przeżegnała małą, obtarta jej nos ręką, podeszła do męża.
— Trza go znieść — szepnął.
— Do chałupy! tutaj?
— Ino gdzie?
— Na drugą stronę. Wyprowadzi się cieloka, jego położy na ławie, i niech paraduje — kiej taki.
— Monika!
— Hę?
— Trzaby go przynieść...

— To przynieś.

— Juści... ale...

— Bois się?

— Głupioś, psiachmać!

— Ino co?

— Cimno, a po drugie...

— A jak rozednieje, to jesce kto obacy.

— Chodźwa oba.

— A to se idź!

— Idzies, psio paro, czy nie? — krzyknął. Przecie to twój ociec — dodał i wyszedł.

Kobieta cicho poszła za nim.

Gdy weszli do chlewa, strach jakiś, niby tchnienie trupa, owionął ich. Stary zimny był, jak lód, i sztywny; jednym bokiem przymarzł trochę do gnoju, musieli go siłą odrywać, nim wywlekli za próg, na podwórze.

Antkowa zatrzęsała się z przerażenia, tak straszliwie wyglądał w szarym brzasku świtu, na białej płachcie śniegu, z twarzą, pokrzywioną męczarnią, z oczyma, otwartymi szeroko, z językiem, wywieszonym i przyciętym zębami. Siny był, cały powalany nawozem przymarznietym. Koszula nie dochodziła mu kolan, odsłaniając długie, czarne, wyschnięte żerdki — nogi. Był wstrząsająco ohydny.

— Bierzmy — szepnął, nachylając się. — Zimno.

Wiatr taki, jaki bywa tylko przed wschodem słońca, lodowaty, zawiął, strząsając masy suchego śniegu z drzew i pochylając z suchym chrzęstem gałęzie. Gwiazdy gdzie niegdzie błyszcząły jeszcze z tła ołowianego niebios. Ze wsi dochodził odgłos skrzypienia żórawi przy studniach, koguty piałły jakby na odmianę powietrza.

Przywarła oczy i przez fartuch poniosła starego za nogi — ledwie donieśli, tak im ciężył. Skoro go tylko ułożyli na ławce, uciekła do izby, wyrzucając przez drzwi płachtę do przykrycia trupa.

Dzieci skrobały kartofle. Czekwała niecierpliwie męża, stojąc przy drzwiach.

— No, chodź-że — loboga, tak długo.

— Trza kogo do umycia — powiedziała, gdy wrócił, krzątając się koło śniadania.

— Niemowę zawołam.

— Nie chódź do roboty.

— Pójść nie pójdę.

Nie mówili już do siebie więcej. Jedli śniadanie bez apetytu, choć zwykle zjadali cztero-garncową grapę.

Przez sień przechodzili śpiesznie, nie patrząc na drugą stronę.

Coś im dolegało, ale co? tego nie wiedzieli; nie był to żal, ale raczej obawa trupa, śmierci, miotała nimi i zamykała im usta.

Jak tylko się dobry dzień zrobił, Antek zawołał niemowę, ten zmarłego umył, ubrał i zapalił mu w głowach gromnicę.

Antek poszedł powiadomić księdza i wójta, że ociec pomarli, a on, jako nie mający pieniędzy, pochowku robić nie będzie. »Niech go ta Tumek chowa kiej wzion wszycko«.

Po wsi w mgnieniu oka rozeszła się wieść o śmierci. Ludzie schodzili się gromadkami, spojrzeć na trupa, odmruczeć pacierz, pokiwać głowami i odejść, by rozpowiadać pozostałym.

Koło wieczoru dopiero Tomek, zięć zmarłego, pod naciskiem opini zajął się pogrzebem.

Na trzeci dzień, przed samym pogrzebem, przyszła Tomkowa.

W sieni spotkała się oko w oko z Antkową, która jak raz wyniosła picie krowom w małej cebratce.

— Niech będzie pochwalony! — szepnęła pierwsza, śpiesznie biorąc za klamkę.

— Widzis ją! Judoska! — i postawiła śpiesznie cebratkę na ziemi, — przysła na prześpiegi, powinnaś była puscać starygo, co? Nie zapisał to woma wszyckiego! To chudziockowi takišta wycug dowali, że jaz po prosunem chodził. Ty lakudro jakoś, ty! śmis tu jesce przychodzić? ano, może po rešte łachów, jakie ostawił, co?

— Kapotem mu sprawiła na świątki nową, to juści w ni ostanie — ale co kożuch, to wezmę, bo tyż za moją krwawicę — odparła Tomkowa spokojnie.

— Weźmies? ty ropalasto! weźmiesz! ja ci dom, zaroz, zaroz, — i oglądała się po sieni, szukając czego do ręki.

— Zabierzes? ty! pochlibiališta mu, ceckali, jaż żešta go zdurzyli, z ukrzywdzeniem moim zapisał woma, a potym...

— Wsycy ano wiedzą, że kupilišta, stoi napisane przy świadkach...

— Kupilišta! I nie bois się Boga obrazać, w zywe ocy mi cyganić! Kupilišta! osukańcy. Złodzieje, psi norody! Tošta mu pieniądze ukradli, a potym to co? może nie w korytku jodoł? Może Jadom nie widzioł jak stary zimioki z korytka jadł, co? Do obory wyganiališta go spać, bo śmierdział, bo ano obrzydził woma chlanie! Za pietnaście morgów to ano taki wycug dowališta! Za tyle dobra, co? A może go nie biła ty śwynio, małpo jakoś?!

— Stul pysk, bo jak cię chlasnę bez niego, to obacys, śwynio, suko jakoś!

— No, chłaśnij, chłaśnij, dziadówko!

— Jo dziadówka!...

— A ty! ty! zdechłabyś pode płotem, jak suka, wszy by cie zjadły, żeby się Tumek z tobą nie ożenił.

— Jo dziadówka! O ty ścirwo zapamintałe!

Skoczyły do siebie, chwyciły się za łby i wodziły po ciasnej sieni, wykrzykując schrypniętymi ze złości głosami:

— A ty tłuku soldacki! Ty obieżyświacie, mos! mos! za moje pietnaście morgów, za moje ukrzywdzenie, ty wycieruchu!

— Kobity, bójta się Boga! dajta se spokój, to wstyd ano, — wołały drugie baby.

— Puść me, ty zapowietrzuno, puść!

— Jo cie tu zakatrupię, jo cię tu ozerwę, ty!

Przewróciły się na ziemię, bijąc zapamiętałe, z piskiem, z kwikiem dzikim. Tarzały się po rozlanych z przewróconej cebratki pomyjach. Złość zatamowała im mowę, rzeżały tylko, a biły się. Ledwie chłopci potrafili je rozdzielić. Czerwone były, podrapane, utyłane w błocie, rozczochrane jak wiedźmy, a pełne wściekłości. Klęły, przyskakiwały do siebie, pluły i krzyczały bez związku. Rozdzielili je, bo chciały się jeszcze wziąć za łby.

Antkowa z wielkiej irytacji, ze zmęczenia zaczęła szlochać szmatycznie, drąc sobie włosy, i wyrzekać:

— O Jezu! o Jezusiecku! o Maryjo! a bodaj cie marnotki ścisnęły!... o loboga! a poganiny, przeklątники! o! o! — ryczała, oparłszy się o ścianę.

Tomkowa znów przed domem pomstowała, tłukąc nogami we drzwi.

Ludzie porozdzielali się w gromadki i radzili, stojąc na śniegu i mrozie i przestępując z nogi na nogę. Kobiety, jak czerwone plamy, przyciskały się do ścian, ściskając kolana, bo wiatr zawiewał przejmujący. Rozmawiali cicho i spoglądali na drogę, ku kościołowi, którego wieże poprzez nagie gałęzie drzew rysowały się na tle powietrza wyraźnie.

Do zmarłego ciągle ktoś wchodził i wychodził, przez uchylone drzwi błyskały światła żółtych świec, wydłużane przewiewem, i miął ostry, czarny profil leżącego w trumnie.

Zapach jałowcu dolatywał razem z pomieszаныmi słowami modłów i mrużeniem niemowy.

Ksiądz wreszcie nadszedł z organistą.

Wyniesiono białą, sosnową trumnę na wóz. Baby zawiodły zwyczajny płacz, i cały orszak ruszył, śpiewając, długą ulicą wioski ku cmentarzowi.

Ksiądz zaintonował śpiew i szedł śpiesznie przodem w swoim czarnym berecie na głowie, otulając futrem białą komżę, której wstęgi szeleściły na wietrze... Od czasu do czasu rzucał tylko w powietrze przyciszone, zmrożone niejako, słowa łacińskiej pieśni i znudzonym, a pełnym niecierpliwości wzrokiem wybiegał naprzód.

Wiatr szamotał czarną chorągwią, a wymalowane na niej śmierć i piekło chwiały się, podrywane na wszystkie strony, jakby poglądając ku domom, przed którymi stały kupkami baby w czerwonych zapaskach na głowie i chłopci z odkrytymi łbami.

Wszyscy się pochylali nabożnie i bili w piersi, żegnając.

Psy pomiędzy opłotkami docierały zajadle, niektóre wskakiwały na kamienne płoty i wyły.

Przez okna patrzyły ciekawie małe, umorusane dzieci i bezzębne, pomarszczone a wytarte, jak ugory jesienią, twarze starców.

Gromadka chłopaków w parciankach i granatowych, z mosiężnymi guzikami lejbikach, z nogami bosymi w trepach, bez czapek, szła jeszcze przed księdzem, wpatrzona w obraz piekła na chorągwi, i powtarzała cichymi, przemarzniętymi głosikami tonację: a! o!... — i ciągnęła ją, dopóki organista nie zmienił jej na inną.

Ignac szedł z dumą na czele, trzymając się jedną ręką drąga chorągwi i najgłośniej śpiewając. Czerwony był z wysiłku i mrozu — ale nie ustawał, jakby chciał pokazać, że ma prawo do tego, bo dziadka prowadził.

Wyszli za wieś. Wiatr silniej dał się uczuć Antkowi, którego olbrzymia postać przenosiła wszystkich, włosy rozlatywały się na wszystkie strony, nie czuł tego, zajęty końmi i przytrzymywaniem trumny na wybojach.

Tu za wozem szły obie siostry, odmawiając pacierze i mierząc się co chwila zaiskrzonym wzrokiem.

— Cucu! a do domu! puńdzies, ty ścirwo! — i schylił się jeden z idących, jakby po kamień.

Pies, który od samego domu włókł się przy wozie zaskowyczał, wtulił ogon pod siebie i zemknął przed przydróżną kamionkę, a gdy się trochę oddalili, zrobił półkole i przypadł do koni, lękliwie idąc dalej.

Łacińskie pienia skończyły się. Baby zaśpiewały piskliwie:

— Kto się w opiekę odda Panu swemu!

Głos rozchodził się krótko, mieszany przez wiatr śnieżycę, która zaczynała się zrywać. Zciemniło się.

Z pól białych, olbrzymich jak step, oznaczonych miejscami szkieletami drzew, wiatr toczył całe tumany kurzawy i uderzał nimi w gromadkę.

A całym sercem szczerze ufa Jemu...

Brzmiała pieśń, przerywana świstem wichury częstem a głośnym:

— Wio! wio, malusie! — Antka, któremu zaczynało być zimno.

Na drodze, miejscami, od kamieni i od drzew, robiły się długie, poprzeczne zasy, rodzaj klinów olbrzymich.

Pieśń się rwała, bo i ludzie niespokojnie spoglądali dokoła na białą przestrzeń, która z chrzęstem, z porykiwaniem jakimś, rzucała się, targana huraganem, kłębiąc się w wały, rozpryskując, tocząc jak fala lub olbrzymie pasma, odwijające się z kłęba, to znów podskakując i uderzając w twarze orszaku miliardami ostrych igieł.

Większa część idących, w obawie większych jeszcze zakurek, cofnęła się w pół drogi do domu, reszta zaś z pośpiechem, prawie biegnąc, dopadła cmentarza. Sprawili się szybko, dół czekał gotowy, coś tam zaśpiewali, ksiądz pokropił wodą, zasypali trumnę zmarzniętą ziemią i śniegiem, i odeszli.

Tomek zaprosił wszystkich do siebie. »Jako że ociec duchowny pedo, że w karczmie bez obrazy boskiej obyćby się nie obyło«. Antek zaklął tylko na odpowiedź i, zabrawszy ze sobą Smolca, tak we czworo, bo i z Ignacem, poszli do karczmy.

Wypili pięć kwatek wódki z tłustością, zjedli trzy funty kiełbasy i umówili się o pożyczkę.

Antka rozebrały i ciepło i wódka; gdy wychodził z karczmy, zataczał się potężnie. Ujęła go silnie pod pachę żona, i tak poszli do domu. Smolec pozostał jeszcze pić a conto pożyczki, a Ignac poleciał duchem, bo zimno mu było.

— Matka! aha, moje pińc morgów, moje, widzisz, na bezrok sieje psenice, incmiń, latoś kartofle... moje.

Iżeś rzekł Panu, Tyś nadzieja moja!

Zaśpiewał ni stąd, ni zowąd.

Zawieja wyła prawie, rzucając się wściekle.

— Cichoj, cichoj ty! Obalis się i tyła!...

— »Aniołom swoim każe cie pilnować« — i zamilkł. Kiełbasa mu się odbijała. Ciemno się robiło, zamieć tak się rozszalała, że na dwa

kroki nie było nic widać. Olbrzymi szum i świst i całe góry śniegu były w nich co chwila.

Z domostwa Tomków, kiedy je mijali, doleciały ich śpiewy stypowe i gwar rozmów.

— A poganiny! złodzieje! cekojta! jo woma dom, moje pińć morgów; potym dziesińć, co mi zrobita? psie pary, aha, co? bede robił, bede harował i bede mioł, bede, prawda matka, bedziewa! — i tłukł się pięścią w piersi, przewracając zamglonem oczyma. Gadał tak długo jeszcze. Gdy tylko weszli do domu, kobieta odprowadziła go do łóżka; upadł, jak martwy, ale spać nie spał, bo zawołał:

— Ignac!

— Chłopak podszedł, ale ostrożnie, żeby go wypadkiem ojcowska nie dosięgła noga.

— Ignac, psiaścirwo, Ignac! bedzies gospodarzem, nie łachmytkiem, nie profesjantem! — krzyczał, waląc pięścią w łóżko.

— Moje pińć morgów, moje! aha! Deputniki! Niemcy!... psia... psiach...

I zasnął.



— ZAWIERUCHA —

Noc zimowa, ciężka surowością, szarawa od śniegów, pokrywających puszystą warstwą pola, zapadała, szła wszystkimi drogami i zewsząd zdawała się wlewać szarość i bezkształt. Wiatr wzmagał się i przechodził w zawieruchę, w śnieżną zamieć. Poświstywał po polach, uderzał w obumarłe szkielety drzew, tarzał się w zapach, rwał masy suchego śniegu i rzucał je w przestrzeń mroczną — i z porykiwaniem z pomrukiem przeciągłym, szamotał się sam ze sobą. Świat był niby odmęt siny, toczący pianę nocy. Drogi były zasypane i puste; wieś cicha przywarła do boków wzgórze, które, niby kopiec cmentarny, ubrało szczyty swoje w krzyże i czerniało krzakami jałowców. Pustka była i bezludzie — tylko nad tym wszystkim zawierucha wyła tysięcznymi głosami, przewalała się jak fala, i jak fala biła kłębam rozpylonego śniegu w stare, trzęsące się karczmiśko, stojące pomiędzy szarzejącym murem lasów a wsią. Stary, z pozabijanymi w połowie oknami dom trzął się za każdym uderzeniem, aż małe szybki brzęczały żałośnie, i malutki kaganek, kopący się nad kominem, przygasał i rozbłyskiwał co chwila migotliwie w ogromnej, czarnej izbie szynkownianej. Druga, podobna lampka tłała za kratami szynkwasu, oblewając żółtawym światłem szeregi butelek i beczki ogromne. Wiatr napiera! i targał pokrzywionymi ścianami, wciskając się przez szczeliny ze świstem. W izbie cicho było i zimno, wilgoć podnosiła się z mokrej, przysypanej śniegiem podłogi, i siwy, błyszczący szron oblepiał powały

i komin. Pijany chłop kiwał się przed długim stołem, tłukł pięścią, aż butelka z wódką podskakiwała, i mruczał półgłosem, to wygrażał w okno, to przyśpiewywał. Im więcej zawierucha srożyła się i targała karczmą, tym cichszym był chłop, tym powolniej się zataczał i częściej nalewał wódkę do kieliszka — coraz to poprawiał baranicę na głowie i niewyraźnie szeptał:

— Prowda... prowda je i moja, i twoja i wszyckich, kuźdy ją mo... Prowda nie pies, coby ją jedyn wzion sobie na postrunek i ino lo siebie... Powtór mom piniądze, mom... Kumie!... na tyn przykład, Jadom miał marną babe ale imistą — aleć go prała... prała... Miętki chłop był, i postury mimiecki. Rzekleś... cham! Hunor mom, w pysk wytne, bo kuźde bydle swój hunor ma, a ja gospodarz jezdy, rodzuny ociec dzieciom, krześcijan...

I znowu pił i łomotał pięścią w deski stołu i zataczał się.

Drzwi się otwarły z sieni i razem z wichurą i śniegiem weszło dwoje dzieci, pookręcanych w szmaty. Dziewczyna miała lat ze dwanaście, a chłopak ze siedem. Otrzeptywali się ze śniegu i stanęli przy szynkwasio, w milczeniu rozglądając się po izbie. Chłop się im przyglądał zamglonemi oczyma, a potem, udając, że idzie, rzekł im:

— Bojoj się, dzieucha, bo cie zim... Zwirza mom w siebie.. zim cie...

— A juści! bo jo to kiełbasa, a wy pies, cobyście me zjedli?...

— Spyrka mintko jezdeś... zim cie...

Potknął się o wystające dyle podłogi i upadł na stół. Chłopak się śmiał rozbawiony, a dziewczyna szepnęła z przekąsem:

— Te chłopcy to naród, spijom się, kiej zwierzoki, i sielne majom ucieche...

Karczmarka przyszła, więc dziewczyna wydobyła spod zapaski ostrożnie węzełek i rzekła, kładąc go na szynkwasio:

Mendel i pińć jajków przyniesłam i za to wezme: śtyry śledzie, gazu kwaterkę i bułeczków rząddek...

Karczmarka uważnie przeglądała jajka pod światło.

— Hale! zaboczyłam! Matula pedzieli, coby jesce flasuchne asencyi, ty czerwuny, bo chcą ugościć stryjne, co mają jutro przyjechać po mnie.

— Do służby pójdziesz?

— A bogać. Tyle nas gąb w chałupie.

— Czyście wy?

— A Strzelcowe.

— Tak daleko i przyślišta na takie zakurki? to bez mała mila i bez las...

— Prowda, karwas drogi i bez las, ale my się z nim znowa. Józiek się tyz nie bojo — i pogładziła chłopaka po ojcowskiej czapce, która mu się aż na nos opuszczała. Chłopak pokraśniał i podnosząc sobie czapki, rzekł poważnie:

— Jo zawdy z tatulem w bór chodzę, a z Jantką ptaki wybirowa, to sie nie bojom...

— Śnieg może was zawiać.

— E!... duchtem pódziewa, to je bliżej.

— Że to was matka puściła na taki czas...

— Jeszcze zakurek nie było, kiejśmy poszły, a w dumu świcić nie było czym, i śledziów trza i asencyi lo stryjny, a tatulo poszli w obchód.

I pogadywali sobie, a chłop pijany znów sobie, w ten sposób:

— Gospodarz jezdym, to pon jezdym. Pon na rano, pon na polednie i pon na odwiecerzu. Zimniok źres! Bo mi tok lo honoru trza. Piechty chodzisz! Bom taki sielny pon, co już kunie i focmany nie lo mnie. Gorzołcysko, śmierduche chlosz! Bo mi sie już haraki

cknią. Pijanica jezdeś! Cichoj, bo cie wytne. Pijanica jezdeś! Zdziele kłunicą, jak Bóg na niebie, zdziele. Pijanica jezdeś! A psio paro! bedzies się ze mną ktyżnił, naprzeciw stawo! — krzyczał groźnie. — Pijanica jezdeś! A zapowietrzuny! Zakatrupie, zakatrupie sobaczy! — i schwycił się za włosy, bił się po głowie, po twarzy, szarpał sam siebie a krzyczał: — Nie wydziwioj, nie dunderuj, bo gospodarz jezdy, to pon jezdy!

Potem raptownie przestał i upadł ciężko na ławkę.

Dzieci obojętnie spoglądały na niego. Uniósł się trochę i zawołał cichym, pokornym głosem, wyciągając do nich butelkę:

— Roboki, napijta się, taki ziąb... Napijta się...

Dzieci przysunęły się jeszcze bliżej karczmarki nie słuchały, zajęte ogromnie wybieraniem śledzi.

— Pani, dajta tymu mizeractwu buleceków. Kiej takie dzieciątecka spotkom, to mi się rychtyk wspominają moje serdeczne, co je wypominom podcas wiecór w dobry sposób. Takim sirota psiokrutka, kiej pies dworski.

Urwał, potem ciągnął dalej:

— I babę miołem, i krówsko miołem, i dzieci miołem, a tero, kiej kołek som jezdy... Pochówek sprawiłem jednemu — cystą piłem na frasunek; pochowałem na krosty drugie — cerwuną piłem; trzecie pochowałem — harak piłem, bo me kole serca kiej kolką spirało; baba mi się zmarnowała — som spryt piłem; kro-wa mi padła na zwiesnę — wszyćko razem piłem, i nic — bolenie furt spiro. Pięciorgo się zmarnowało, pięciorgu gospodarski pochówek zrobiłem i pije se, bo me zmora dusi nocami, i duszycki we spiku przychodzą się żalić — pije sobie... Pijanica jezdeś! Cichoj, bo cie wytne...

I zaczął znowu kłócić się ze sobą.

— No, macie dzieci i idźcie, bo światu ano nie widać, tak kurzy.
Antka okręciła sprawunki w chusteczkę, chłopcu naciągnęła lepiej jeszcze czapkę.

— Panu Bogu oddaje — rzekła, i wyszli.

— Idźta z Bogiem. No! Szczepanie, bo zamykam karczmę.

— Scepon jezdym, to pon jezdym, mrucał, zmożony snem i wódką.

— Idźta, zamykam, taki czas, co i pies nie zajrzy.

— Pijta, robaki, pijta... Nie, to nie... Zło bydlakowi marchew, to niech idzie w krzon...

Wypił resztę wódki, poprawił na sobie ubranie zaśpiewał:

Powiedziałeś, że mnie weźmiesz,
skoro zytko jarzę zeznies,
a tyś zezon i owiesek,
teraz chodzisz kieby piesek.

Tero se spij, panie gospodarzu — rzekł i wyciągnął się na ławie.
— Scepon jezdym, to pon jezdym... — mrucał.

Dzieci wyszły przed sień i stały chwilę skłopotane. Szaro było na świecie i tak mętnie od rozpylonego śniegu, że nie było znać ani dróg, ani drzew, ani domów — wszystkie kontury zlewały się w jeden bezkształtny wir śniegów, pełen świstów, szumów i chrzęstu. Wiatr kręcił się w kółko i coraz to brał tumany całe śniegu i roztrzępywał go w pyłki nad ziemią, jak kiedy młynarz wytrzępuje pytle z mąki. Słyszać było tylko świsty przeciągłe wichru, i smutny, rozległy skrzyp drzew przydrożnych, i jakieś głucho warczenie w przestrzeniach. Dzieci szły prędko zaledwie odczutymi śladami drogi

ku lasowi. Antka raz po raz spoglądała dokoła i coś, jak niepokój, przeblyskiwać zaczęło w jej oczach, chłopak zaś najspokojniej zjadał bułkę i co chwila unosił czapki, żeby spojrzeć.

— Jantka, dadzą mi matula śledzia?

— A dadzą.

— Główkę?

— A główkę.

— Na wąglikach ją se spiekę i zim — dobro tako?

— A dobro.

Zamilkli, zagłębiając się w tę białą, szalejącą otchłań. Szli wciąż jednakowo, choć śnieg był coraz głębszy. Antka co kilkadziesiąt kroków przystawała i szukała w śniegu śladów drogi. Niespokojność jej rosła w miarę zbliżania się do lasu.

— Chodzi prędy, Józiek, w boru se odpoczniemy, to ci dam jeszcze bułków.

— Nogi bolo me.

— Nie bój się, chodzi. Matula cekają. Stryjna przywiezie ci obrazik.

— I lemyntorz tyż?

— A bogać.

— To se z Wawrzonem pódziewa do szkoły?

— A pódzieta.

— Rochów Grzela pedział, co jo lutery znom składać niezgorzy potrafie...

— A juści, potrafisz; jo bez trzy zimy chodziłam do szkoły, a ino zdziebko poredze...

— Poredze, Jantosia. Przeciek wim, że pirszo itera, tako kiej krokiewka, to je «A».

— Prowda, że una je kiej krokiewka, ale ty pisany nie utrafisz.

— Utrafie, Jantosia. Takie kółeczko równiūskie z kijoskiem zadartym od zimi, kiej bat.

— Moi ludzie, wieje tyż to, wieje.. ślipiów ozewrzyć nimożna.

— Bez co to tak?

— To Pon Jezus tak se dmucho lo uciechy.

— Pon Jezus taki ziąb robią?

— Przecie nie kto drugi.

— A kiej ociec duchowny mówili, co zwiesne Pon Jezus robią.

— A robi i zwiesne i zime, bo Pon Jezusicek tak chcą i tyła.

— Jantosia! Kupią mi tatulo spencerek?

— Kiej ci obiecali, to i kupią.

— Pedzieli, co za pasionkę mi kupią — taki, jak mo Jędrków Michał, z guzikamy.

Umilkli, bo im wiatr smagał twarze i sypał śnieg w oczy.

Huragan się zrywał chwilami wprost straszny, zdawał się rozwijać skrzydła i bić niemi przestrzeń zapamiętane; jakieś krótkie, przeciągłe syki przecinały powietrze, jakieś turkoty o brzmieniach piorunów przebiegały z krańca w kraniec. Zawierucha łączyła niebo z ziemią i jak stado wilków wyła tysięcznymi głosami, skomlała w jakichś urywanych staccatach, to pogwizdywała przeciągle — przycichała na chwilę i rzucała się jeszcze sroższa, powstawała i biła z szumem rozhukanego morza w ziemię, zdawała się być rozwściekloną oporem, bo przypadała na śniegi, rwała je w skrętach, formowała w nich rozpylone wiry i tarzała się z niemi po polach, rozbijała w mgły i powracała zaczynać dziką i potężną robotę od początku. Las niedaleki dorzucał do ogólnego chaosu swoje głosy. Czerniał coraz bliżej i zdawał się podnosić i iść, olbrzymiejąc. Dzieci ledwie były w stanie się przekopywać. Pod samym lasem ciszej było, ale wpadli w sam środek olbrzymiego leja;

olbrzymie zaspy śniegu, podobne do złomów skal, fantastycznie zwałonych, dymiły, niby wulkany, kurzawą, oblepiającą twarze. Na dwa cale nie było nic widać, prócz niezmiernej, szalejącej masy. Szli jak w obłoku, pełnym chrzęstu groźnego. Przykucnęli sobie trochę, aby nabrać sił.

— Musi być, je gdziesik wisiel, kiej tak dmie.

— Zły? — zapytał cicho Józiek, i strach jakiś przejął go zimnem.

— Bogać ta nie zły, kiej nawidzony przez złygo.

— A kaj un? — zapyta! jeszcze ciszej.

— Kaj? a chuśto se gdzie na postrunecku.

— Wisiel?

— Przecie nie kto drugi. Dynda se na jakim osiku. Jezus, Maryja!

— krzyknęła i upadła w śnieg, pociągając chłopca za sobą, bo jakaś olbrzymia gałąź porwana wichrem, przeleciała tuż nad ich głowami, niby chmura ogromna.

— Wisiel! Jantka! Wisiel! — krzyczał Józiek w niebogłosy.

— Zdrowaś Mario! pod Twoje obrune — szeptała dziewczyna, szcękając zębami, przerażona, zmartwiała ze strachu, nie śmiejąc podnieść się.

Upłynęło z dobry pacierz, nim się zwlekli, i poszli, ale to wrażenie, jak czarną plamą utkwilo im na siatkówkach i nękało mózgi zgrozą. Przystawali częściej, żeby przytłumić drżenie, jakie ich targało, i obejrzyć się, bo im się zdawało, że widzą w każdym ciemniejszym punkcie przestrzeni kołyszącego się trupa. Weszli w las i skręcili na tak zwany ducht, przecinający bór ukośnie, bo droga była zawałona śniegiem i nie do przebycia. Pod gałęziami olbrzymów prawie cicho było, śnieg grubą warstwą zaścielał ziemię i oblepiał gałęzie tak, że zwisały pod tym ciężarem. Szaro-perłowy ton lasu przejmował dziwnem wrażeniem. Pnie drzew, jak czarne,

bazaltowe kolumny, stały nieskończonemi szeregami i majaczyły w głębiach, niby kontury widziadeł, zagradzały zewsząd drogę i stały w milczeniu ponurym, że aż się czuło tę ich mocy potężną wyrazu, i ta ich zaduma senna przejmowała jakąś świętą, mistyczną trwogą.

Dzieci się uczuły jakby w kościele o zmroku, kiedy to już światła pogasną, a błyszczyć zaczynają złocenia ołtarzy, i ostatnie echa śpiewów i muzyki przebrzmiewają w ciszy i nocy.

Nie mówiły ani słowa do siebie, tylko szły przenikane zaboboną trwogą i pragnieniem znalezienia się jak najprędzej w domu. Drzewa z szumem głębokim pochylały się i biły gałęziami o gałąź, to znów szemrały cicho, jak fala zamierająca, strząsając śnieg z siebie, że na kształt kaskad spływał na ziemię w białym, szeleszczącym obłoku, to znowu stawały i jakby się opuszczały w ciszę i senność.

Huragan jakby czyhał na to, bo nadbiegał ze świstem i uderzał w las z góry, zatrzęsł, zakręcił, stargał i bił siłą niezmierną i rwał gałęzie i druzgotał. Las drżał cały aż do podstaw pod wściekłymi uderzeniami, wyl jakoś boleśnie, z jękiem przejmującym pochylał się i wstawał, prostował wyniosłe pnie i wrzał gniewnie niezmożony, potężny, zdawał się skupiać, osadzać głębiej w ziemi, i iść zwartą masą w bój, i tłuc koronami wichurę, i przypierać mocą swoją nagle ocknioną. Huragan, który walił raz po raz, jak taranami, falami wichrów z takim rozgwarem uderzał, że las się rozsrożył i rozjęczał cały, zdawał się potężnieć pod obuchem i rozkołysany, szalejący, śpiewał hymn dziki, potężny, urągający burzom. I nic już słychać nie było, prócz świstów, szumów, trzasków, porykiwań jakichś.

Trzask łamanego drzewa czasami wpadał w ten odmět, jak salwa karabinowa, i ginał, przecinając świstem powietrze. Oderwane wierzchołki leciały z jękiem nad borem, lub ułamane, sczepione

jeszcze ostatnimi włóknami, szamotały się żałośnie z burzą, biły o pień; to znów przez chwilę taka cisza napływała ogromna, że dzieci słyszały bicie serc własnych i jakiś triumfalny, zwycięski rozhowor lasu, i rozszerzonymi oczyma patrzyły na każde drzewo czerniejące, na każdą gałąź, omiecioną ze śniegu. Strach przed wisielcem rozsadzał im serca, i tak dość przerażone burzą i nocą. Co chwila prawie Józiek chwycił Antkę i szeptał: »Wisiel! wisiel!« — a to tylko gałąź jakaś tłukła się pomiędzy drzewami, lub modrzew czerniał swoją chropatą korą, albo cień jakiś, oderwany niewiadoma skąd, leciał po śniegach.

Antka szła prędko i choć przymykała oczy ze strachu, nie mogła nie patrzeć. Nie widziała nigdy wisielca, ale rozpalona nocą i huraganem wyobraźnia stwarzała jakąś straszłą, nieuchwytną larwę, jakiś majak potworny, który chwilami widziała tuż przed sobą: to uczepiony na jakimś sęku, kołysał się w mrocznej głębi, to leciał gdzieś nad lasem, rozkrzyżowany w wichurze, to, jak bryła bezkształtna, toczył się pomiędzy drzewami, obijał o nie, szedł po lesie obłokiem pyłu, to znowu przysłaniał jej ciemnością świat i śmiał się — słyszała najwyraźniej chichot, to skowyt psi, to jakieś ohydne mlaskanie. Martwiła, krew jej zastygała w żyłach, kurczyła się w sobie ze strachu, bo wydawało jej się, że czuje, jak ją ten wisiel chce złapać i zdusić. Na próżno mówiła pacierz, na próżno żegnała się: strach potęgował się coraz bardziej, a musieli iść wolno, bo zagradzały im drogę takie gąszcze zagajników, leżały takie wykroty olbrzymie, że tylko z trudem mogli się przedzierać.

Na pół żywi ze zmęczenia i trwogi przedarli się na niewielką polankę, z której ducht skręcał więcej na lewo, prowadził wprost do ich chałupy, i upadli pod ogromnym świerkiem, stojącym w środku, aby trochę odpocząć. Zimno im było, więc się przyciskali

do siebie i z jakąś głęboką, nieświadomą trwogą patrzeli w las. Jakiś lęk niewytłumaczony przenikał ich coraz bardziej; ta względna cisza przytłaczała ich więcej, aniżeli burza.

— Bojom się, Antosia, — szepnął chłopak.

— Nie bój się, Józiu. Pon Jezusicek nie do nas ma zatracynie, nie.

— Pon Jezus wszystko mogą...

— Wszystko.

— To kieby chciał, toby chałupę wzion z wiatrem.

— A wzionby.

— Antka! to i naszą graniastąby ożywił?

— Przecie, tchnąłby se w nią parą, bydłatkoby wstało.

— A kiej tatulo mięso przedali, a myśma tyż zjedli...

— Głupiś, nie deliberuj. Pon Jezus wszystko mocny jest zrobić.

— Zimno mi, Antosia.

Okręciła go swoją zapaską, przytuliła jeszcze lepiej do siebie, i siedzieli tak bez słowa, wsłuchani w głucho warczenie nadbiegającej z powrotem burzy.

Wichura znowu nadchodziła, nadbiegały pierwsze fale lekkie, przerywane jakby forpoczty, potem zaczęły iść wichry z poświstem wprost przeraźliwym i z mocą wściekłą brały się za bary z lasem, obdzierały gałęzie, wżerały się w głębie mroczne z szumem podobnym do bijącego burzą w brzegi morza, rwały wszystko, kotłując śnieg, mącąc przestrzeń. Las jęczał prawie rozpaczliwie, giął się ze skrzypem, łamał z trzaskiem podobnym do huku piorunów, porykiwał głucho jak zwierzę, charczał jak duszony, to rozprężał się i rozchwiany, oślepiiony walką dyszał tak ciężko i okropnie, że dzieci zamierały ze strachu. A huragan wzmagął się, coraz straszliwsze siał zniszczenie; olbrzymie drzewa, niby patyki suche, wrywał

z ziemi lub łamał — padały zdruzgotane na polankę i leżały zmięte, podobne trupom poodzieranym, na podścielisku śniegu.

Nie było nic widać poza szalejącą, zwichrzoną masą śniegu, nie było nic słycać poza tą dziką, gniewną wrzawą chaosu.

— Bojom sie, Antosia, bojom.

— Nie bój sie Józek nic. Wiatery przestanie, to pódziemy.

Umilkli znowu, bo im zaczynało być i ciepło, i cichość jakaś ogarniać ich poczynała.

— Józiek, zmówmy pacierz, to może Jezusicek nam przemieni, — i zaraz zaczęła:

»...Ojczy nasz, któryś je w niebie, święć się imię Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi« — cicho brzmiał pacierz i niby smuga światła i ciepła tym szmerem wypływał z ich serc, zamierających ze strachu, i płynął w noc, w wiry, w huragan, który wył i druzgotał wszystko; w te rozpętane żywiołowe moce, co wzięły panowanie nad światem i z brutalnym triumfem tarzały się po przestrzeniach. Śnieg ich prawie zasypał, nie wiedzieli o tym, zaczynało im być jakoś dobrze, jakaś senność słodka brała ich w moc swoją, więc tym serdeczniej akcentowali modlitwę, tym ufniej kładli dusze swe przed Panem, i głębiej błagali zmiłowania... »Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, a odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom« — i drżały im tak serca miłością i wznosiły się, że szeptały coraz ciszej i coraz wolniej. Te dwie proste dusze w jakimś ciemnym przeczuciu zagłady, dwa atomy konające, rzucały się do stóp Wszechmocy i żebrały krwią serc swoich o zmiłowanie. Jakieś kołysanie uczuwały w sobie i jakieś światłości, pełne grania pięknego, muskały im dusze.

»... Zdrowaś Marjo, łaskiś pełna« — ciągnęła dalej Antosia prawie niedosłyszalnym szeptem i snuła dalej modlitwę myślą bezładną i rozprzężoną sennością. Zapadali w jakąś niewypowiedzianą cichość; wydawało się im, że jakiś Anioł otula ich białością i szmerze skrzydłami, bo im coraz lepiej — lepiej — że taka jasność ich przepełnia, taka wesołość, takie granie i śpiewy, słodkości pełne, zalewają im serca, że są pełni szczęśliwości i zachwycenia ekstatycznego.

Świadomość ich rwała się w strzępy, a oni wewnątrz olbrzymieli, zdawali się podnosić w bezgranicznym uszczęśliwieniu, i coraz mniej czuli, coraz niewyraźniej a wspólniej przenikali się niejako, snuły się im w mózgach sceny życia niedawne, przeżywali je po raz drugi. To dom... to sad wiśniowy... to pastwisko nad rzeką... to ta graniasta, co im padła... to szli w ledwie zieleniejącą brzezinkę na smardze i babie uszy... to się kryli w zbożach szumiących, złotawych... to kościół niziutki czerniał im ścianami... to słyszeli śpiew księdza i modlili się, dymy z trybularza owiewały ich wonią i przenikały ich świętą trwogą niskie brzmienia organów... monstrancja roztaczała złocisty blask, że padali na twarz upojeni światłością i zachwytem, a potem ksiądz szedł... i tłum szedł... i wszyscy szli... chorągwie szumiały i pieśń się zrywała z tych serc prostych i biegła w błękity. »Święty! Święty a nieśmiertelny!« — brzmiało szeroko i zdawało się w swym strumieniu i potędzie brać ich dusze i unosić... a dzwony tak grały poważnie, tak biły hymnem radości, że im twarze i serca zalały łzy rozczulenia... Potem jakieś wody, zboża zielone... tłumy ludu... wesele Magdy, ich siostry najstarszej, i ścisk, tumult, śpiewki, muzyka taneczna, twarze aż im dyszą rozkoszą, aż się śmieją z uciechy, rozbrzmiewają pełnią

zdrowego, jędrnego życia wsi... I znowu co innego: obrazy przesuwają się z taką szaloną szybkością, że już nie zdają sobie sprawy dokładnej, co widzą; zaczyna im być mroczno, dusze zaciemniają się... idą do karczmy, a wiatr świszczę i śnieg rozwiewa, noc fioletowe kładzie piętna... Zaczynają drżeć, poruszać się niespokojnie, rzucać... gnębi ich cień, stojący tam... w krańcach, widzą, jak się kołysze i rośnie... Uciekają przez las, ale widziadło idzie przed nimi, skacze, chichocze, że aż im krew lodowacieje... czepia się sęków i przechylone, ogromne, straszne sinością buja się z burzą i połyskuje krwawo oczyma: zamierają ze strachu, bo jest blisko, bo szpony jakby z cieniów wyciąga po nich. — Wisiel!... wisiel!... — krzyczą przejęci trwogą śmiertelną, chcą uciekać, ale poruszyć się nie mają sił; ciężko im, czują się jakby przywarci do siebie i do ziemi — szarpią w wysiłkach nadludzkich, odrywają, dobywają ostatka sił — i zmęczeni, oblani śmiertelnym potem męki, z rzęzeniem chrapliwem upadają w jakąś bezdenną otchłań i widzą, jak ten wisiel z rozrzuconymi nogami kołysze się tuż nad nimi, słyszą ten jednostajny skrzyp postronka, który go trzyma i stuk głuchy o drzewo — i znowu spadają, lecą, lecą... bez tchu przytomności w nieskończoność.

Zawierucha przeszła. Las stał spokojnie i jakby oddychał ciężko i zagłębiał się w bezmiernym spokoju, jaki zapanował nad ziemią. Przez perłowe mgły przeświecały gwiazdy i księżyc się wyzbył reszty chmurnych obsłon i toczył, niby kuła, srebrem przesycając ciemną zieleń świerków, rozsypywał po śniegach błękitnawe cienie i niby nimbem świetlistym otaczał te dwie główki dzieci przytulone do siebie, ledwie się odcinające sinością trupią od śniegów, zapalał w głębiach ich martwych, szeroko otworzonych źrenic,

zielonkawe ogniki i jakby muskał z pieszczotą zastygłe z wyrazem trwogi bezmiernej twarzy. A rozplynięte w ciszy i świetle lasy zdały się jakby tętnami soków swoich śpiewać głębokie modlitwy — niby hymny dziękczynne, niby ostatnie podzwonne tych dusz czystych, roztopionych w nieskończoności. A noc zimowa cicha, rozgwieżdżona, pełna tajemnic spokoju i senności, szła naprzód — niepowstrzymanie.



— TOMEK BARAN —

Tomek otworzył drzwi do karczmy, para buchnęła z izby, niby z obory, i zaduch prawie lepki od gęstości go owiał; ale Tomek nie zważał na to, tylko wszedł i poprzez naród, splątany gęsto, niby żyto na boisku, przepychał się do drewnianych krat, za którymi stał szynkwias.

— Dać półkwaterek, ino krzepki.

— W blaszkę nalać?

— Nie, w szkło.

Odmierzyła mu karczmarka. Zapłacił, wziął buteleczkę, kieliszek i poszedł na drugą stronę izby, do drugiego stołu, usiadł pod ścianą, wódki w kieliszek nalał i wypił. Strzyknął śliną przez zęby, obtarł usta rękawem i zamyślił się. Żarło go coś we środku, bo nie mógł usiedzieć spokojnie, splotwał, bił pięścią w stół, to unosił się, chcąc biec, ale opadał na ławę z cichym jękiem i rozcierał oczy kułakiem, bo mu coraz to łza spływała na suche, sinawe i przegryzione policzki, a piekła go, jak ogień. Prawie nie wiedział, co się wkoło niego dzieje. Jakieś ciężkie strapienie leżało mu na sercu kamieniem, bo widać było, że rady sobie dać nie mógł, i że z coraz większą bezradnością opuszczał ramiona, i że coraz częściej wzdychał i drapał się po głowie.

A karczma aż się trzęsła od hołubców. Ze dwadzieścia par, zwartych ze sobą szczelnie na niewielkiej przestrzeni, krążyło w kółko z przytupywaniem i pokrzykiwaniem.

— Hop! hop! hop! — leciał głośny pokrzyk.

Wódka i upojenie tańcem dymiły ze łbów, a podniecenie dzikie tak podrywało tańczących, że coraz zacieklej przytupywali i coraz szybciej się okręcali w kole.

Czerwone wełniaki kobiet pstrzyły się między białymi sukmanami, niby maki w polu dostalego żyta. Kończący się dzień rzucał przez małe, zamarznięte szybki karczmy smugi rudawego światła, a mały kaganek, świecący nad okapem, chybotał się ciągle i podrygiwał, jakby w takt hołubców.

Wrzawa głucha podnosiła się, niby szum splątany i niewyraźny, z którego tylko wylatywały, jak błyskawice, jędrne: Hop! hop! hop! — i znów na chwilę tonęło wszystko w zgiełku ogromnym; bo przy stołach, po kątach, przy szynkwasio — gdzie tylko miejsce było, wszędzie stali ludzie i raili: o łońskich kartoflach, o księdzu proboszczu, o dzieciskach, o dobytku, o wszystkim, co im leżało na »wątpiach« i z czego w kompanii zawždy łącniej się wygadać i łącniej mieć pożalenie; bo nawet, na ten przykład, jako i bydlę i ze źródła wody samo się nie napije, a w kompanii pije i ze »chrapu«, tak i człowiekowi samemu nie żyć, w karczmie się nie weselić, do lasu nie jeździć, ino, jak Pan Bóg przykazał, zawždy z drugimi, — z bratamy.

Wszyscy razem mówią, przepijają do siebie, ściskają się z serdecznością i »kuntentność« rozpromienia wszystkie oczy, i coraz głośniej krzyczy: Hop! hop! hop!

Dyle podłogi pod ciężkimi przycinaniami obcasów skrzypiały coraz ciężej — a basy, umieszczone wysoko, na kłodzie z kapustą, śpiewały coraz grubiej:

— Bom, cyk, cyk! Bom, cyk, cyk!

A na to im odpowiadały lipowe skrzypeczki:

— Tuli, tuli, tuli, tuli, tulity, tulity!

I ochota była siarczysta i niepowstrzymana. Twarze były przy twarzach, piersi przy piersiach, plecy przy plecach — a wszystko tak na wskrós przeniknięte rytmami skocznej muzyki — że obe-rek szedł taki wściekły, zamaszysty, chłopski, aż sęki wylatywały z podłogi, szybki jęczały żałośnie, a grube, pękate kieliszki na szynkwasio, aż dziw, jak podskakiwały z uciechy.

Od czasu do czasu karczmarz brał bęben z brzękadłami, potrząsał nim mocno, niby chłop Żyda za łeb, uderzał pięścią w skórę do taktu skrzypkowi.

— Dyż, dyż, dyż! — brzmiało wtedy zgiełkliwe, zagmatwane i ogłuszające brzękiem — i tupot był zaraz siarczystszy i pokrzyki więcej schrypnięte, a kaganek aż przykucał i kopcił sadzą, na powiewające, niby płaszcze, kapoty. Para z topniejącego na butach i przy drzwiach śniegu, dym z papierosów i mrok, jaki panował w ogromnej izbie, przysłaniały tańczących, że zaledwie tylko migotały czerwone twarze i niewyraźne zarysy ciał i barwy jaskrawe, w tym zapamiętałe się kręcącym wirze ludzkim.

— Kto mi będzie usługiwał, usługiwał, cha... cha... cha... i... i... i... — chichotały wesoło skrzypeczki.

— Oto ja, tylko ja... a... a... a... — odpowiadały z jakimś podrygiwaniem basy i zaraz do spółki zaczęły śmiać się i baraszkować i przenikać wszystkich śmiechem wesela, aż karczma zdawała się trząść od przyływu pijackiej wesołości.

Jedna baba oszalała,
a druga się wściekła,
trzecią diabeł okulbaczył
i pojon do piekła.

Zaśpiewał ktoś jak na pobudkę, bo zaraz zaczęły się zrywać coraz inne zwrotki i bić wesołością coraz większą.

Tomek tylko wciąż siedział zadumany: nalał drugi kieliszek, ale mu go wywrócił jakiś roz hulany tanecznik, więc kopnął ze złości jego tancerkę i wstał, bo i zimno mu było od okna i markotno siedzieć samemu, poszedł za szynkwasa do alkierza.

Narodu i tam było pełno, buteleczki ściskali w garściach, całowali się, gadali i przepijali do siebie, baby wstydliwie przysłaniały się zapaskami i cmokwały okowitę z rozkoszą. Poczęstunek szedł rzetelny — katolicki: stać było kogo na arak — stawiał, abo na spirytus z asencją — stawiał, abo na okowitę samą — stawiał, abo tylko na piwo — stawiał.

Stawiał z dobrego serca i z ochoty.

Wszyscy byli już pijani, ale nic to: raz kozie śmierć, gorzalina nie piekło, a biednemu kiej-niekiej trzeba pocieszenia duszy grzesznej, i choć kapkę na frasunek.

— O psie jeden — bełkotał pijany chłop do komina — takiśto kum! czekaj!... A ja go tak, a un me tak, a ja go za orzydle, a un me w pysk!.. Takiśto kum, o psie jeden, taki krześcijan!... a un me w gembe!... Bartek zmógł siłą, to i ciebie zmoże... zmoże... psia... zmoże... A ja go tak, a un me tak, a ja mu pedom grzecnie: bracie!... a un me w pysk, a ja mu pedom: kumotrze!... a un me w pysk! a ja mu potem: takiśta kum, taki krześcijan... — mruczał coraz niewyraźniej i bił pięścią w komin, aż się echo rozlegało, i zataczał się coraz sennie.

Ja za wodą, ty za wodą.
Jakże ja ci buzi podom?
Podom ja ci na listecku,
a naści-że, kochanecku

Zaśpiewała Karlina, ta, co to w kopania męża pochowała i sierociła teraz sama jedna na półwłóce pszennej ziemi z koniem, z krowami i z niezgorszymi jeszcze szmatami po nieboszczyku. Rzuciła się do młodego chłopaka, stojącego pod ścianą, i znowu mu zaśpiewała:

Wojtecku, Wojtecku,
nie siedź na przypiecku —
Ino chodź do wdowy,
bo ma chleb gotowy.

— Wojtek, w twoje ręce, parobku kochany. Głupiś, będziesz się ta ojców bojał. Jakem rzekła: grunt ci zapiszę, to zapiszę, bo to nie mój, co?

Będziesz miał, kiej w raj — moje ty kochanie.

Zjesz syrek na wieczór — kurę na śniadanie.

— Ojcu duchownemu się pokłoń i na zapowiedzie daj, wieprzaka się uszlachtuje, kołaczów upieczę, araku kupi i weselisko się wyprawi, że aż ha!

— Oj, stara a głupia! Zębów nima, a gryzłaby! — odezwał się ktoś z boku.

— Hale! gdzieś se wraź ślipie, a nie komu w zęby. Widzicie go, »deputnik« pieski! — rzuciła się Karlina gwałtownie.

— Cichojta, kumo, ja wam coś rzeknę.

— Psu se rzeknij. W palto się ustroiła pokraka i myśli, że »sielny« pan — a choć ty po wsi szczekasz, jak ten pies, ja ci i tak gorzałki w gardziel nie wleję.

Zwróciła się do Wojtka, odciągnęła go w kąt i namawiała go sobie dalej, a obok przy stoliku siedziało dwóch chłopów i popijało

z pękatej butelki. Jeden drapał się po głowie i milczał, a drugi gestykulował szeroko i gadał:

— Miarkujcie tylko, że Czerwiński to wam rzekł: termedje różne szły na mnie, jak baby na żydowskiego konia, a ja nic! Kobita mi się przy dziecku zmarnowała — nic! konie mi ukradli — nic, ino czekam, Jędrak mi zachorował na ospę — o psiachmać! Jak nie wypiję okowitki z tłustością, jak nie zaniesę dobrodziejowi na mszę świętą — i — jak ręką odjął! Grzela, rób tak samo, a zobaczysz, że ci pomoże. Czerwiński ci to mówi, to Czerwińskiemu wierz.

— Dziecisków, jak pliszek na podorówce, kobieta na świeże chora, podatek trzeba płacić, kartofle mi zmarzły, bieda aż piszczy — a tu na wszystko — patyk złamany. Laboga, laboga! Pijcie-no do mnie! Widzi mi się, że nie poradzę, na rozum bierę i z tej i z tamtej strony i nic wykalkulować nie mogę.

— Głupiś, w twoje ręce, Grzela; już ty lepiej w pysk od dozorczy bierz, a na rozum nie bierz, bo nie poradzisz, a pięścią kiedy niekiedy weźmiesz, ale i robotę miał będziesz na plancie i świeży grosz. Miarkuj se ino — Czerwiński ci to mówi! a Czerwińskiemu wierz, bo jako dobrodziej powiedzieli, co w parafii on jest jedna głowa, a Czerwiński druga! Niech mu Bóg da zdrowie, mądry on szlachcic i uczony. W twoje ręce, Grzela.

— Pani Jackowa, moja pani Jackowa: flaszeczkę esencji, kwaterkę spirytusu, dwa rządki bułek i kiełbasy font! — wołano od stolika pod oknem, przy którym siedziało czworo ludzi: dwoje ubranych z miejska i dwoje po chłopsku.

— Pani Jackowa, moja pani Jackowa, a octu do kiełbasy, a talerza dla pana Strzelca! Widz pan Strzelec, ja powiem, jak to było...

— Cicho, stary, ja dokumentniej opowiem, bo ty nie pamiętasz — przerwała mu żona. — Ide se duchtem... na ten przykład, ide...

— Stul gembę, zaraz będzie tu ozorem mleć po próżnicy. Ja powiem. Pańskie zdrowie.

— Pijcie z Bogiem.

— Słodka i mocna, panie Strzelec, jeszcze jednego!

— Wasze zdrowie, Andrzej!

— Pani Jackowa, jeszcze tego samego.

— Bóg zapłać, Andrzej, ale ja już nie mogę.

— Mój najukochańszy panie, jeszcze kieliszek, tylko ździebko, choć łycka, o... Zaraz powiem, jak to było. Żona mówi: ide se duchtem, niby przez działkę pana Strzelca, powiada, leży coś: zając, czy nie zając — nie; nima ogona, powiada, nie cielak, a i nie świnia, bo nie kwiczy. Baba stanęła, ba, aże ścierpła ode strachu, że tylko odmawia »Pod Twoją obronę«; a ten zwierz leży furt i rozdziawia gembę, powiada, a kły miało, jak palec — a że babski naród, zły naród i zapamiętały, czy to w złości, czy w dobroci — to jak nie zdejmie trepiska z nogi i jak nie chłaśnie tego zwierza w łeb, i jak nie weźmie uciekać z płaczem do domu — powiada. Przyleciała do chałupy i powiada: Stary! — A co? — odrzeknę. — Zabiłam jakiegoś zwierza na duchcie — powiada. Nie odrzekne nic, bo myślałem, że ją tak z chodu zamroczyło i plecie trzy po trzy, zwyczajnie, jak baba. A ta wciąż swoje: — Zabiłam zwierza, czy cosik na duchcie. Grdyknąłem ją ano przez plecy, bo co tu będzie pleść, a ta znowu swoje: — Zabiłam zwierza na duchcie, laboga! Z babą nie poradzę, myślę sobie, a może i człowieka zabiła albo co. Założyłem siwkę i pojechałem zobaczyć, jako mnie wtedy w lesie i spotkał pan Strzelec.

— Andrzej, nie cygańcie! Złapałem was, jak kładliście sarnę na wóz.

— Jeszcze kropelczkę gorzałki, panie Strzelec, na drogę. Ja prawdę rzekłem, jak na spowiedzi, przed dobrodziejem. Pan Strzelec jest mi więcej, niż ociec, niż brat, bo mój dobrodziej kochany. Wiem, że jak pan Strzelec chciał będzie, to ja w sądzie sprawę przegram, bo już na świecie takie urządzenie jest, że zawsze szlachcic górą, a ty, chłopie, cierp, rób i płąć! Wiem, że pan Strzelec człowiek rzetelny, zgodny i sprawiedliwy, to krzywdy mi nie zrobi, a że pana kocham, niby rodzonego — świniaka jutro żona zaprowadzi, po przyjacielsku, i zgoda będzie. Co tam sądom dawać zarobek! Pani Jackowa, jeszcze tego samego.

— Dołożę jeszcze kaczuszków i miodu plasterek, bo wiem, co pani Strzelcowa jest pani szlachetna i delikatna, w szkołach była edukowana, jako i pan Strzelec, a nie takie chłopcy-chamy, jak my, na ten przykład, dodała chytrze kobieta, chyląc się do kolan Strzelcowej, ta zaś ją ujęła za szyję i z rozrzewnieniem zaczęły się całować.

— Już ja mam takie miękkie serce, że nie tylko wam sarnę daruję, Andrzej, ale jakby wam potrzeba było sosenki jakiejś, albo i dąbka młodego — to odmówić bym serca nie miał.

— Pańskie zdrowie, duszo miłosierna i krześcijańska.

Zaczęli przepijać do siebie często, całować się serdecznie i szeptać po cichu, że od drugiego stołu znów słyhać było chłopów:

— O juchtra! Zmarnował się człowiek. Wyście z nim razem mieszkali?

— Tylko przez miedzę. Patrzyłem się na wszystko, to juści, że człowieka markotność rozbiera, niby choroba.

— Czerwiński wam powie tak: mógł jeszcze żyć, co go wypominam podczas wieczoru, ale w dobry sposób, mógł.

— Halo! Na wielki dwór wcale już nie chodził, tylko mu ciągle odmiatało; postękiwał, postękiwał, aż i zmarł chudziaszek.

- Doktor pono u nich był?
- I... doctory. Jak kto ma zamrzeć, to choćbys mu gruntu hubę dał i dobra wszelkiego po grdykę — nie ożyje.
- Prawda! w twoje ręce, Grzela!
- Pijcie na zdrowie. A kto był winien temu? Po prawdzie i sprawiedliwości, że tylko świnia i baba, nie kto drugi. Maciorę miał utuczoną, niby kłoda; prowadził ją na sprzedanie, bo grosza było potrzeba. Poszedł z oną świnią; śniegi zwały po pas, nautykał się, namarnował, zwyczajnie, jak przy handlu. Potem kielbasy zjadł, zastygła w nim i zmizerował się. Żeby był gorzałką zapił, nicby mu, jako Bóg na niebie, nie było, ale nie pił i półkwatka.
- Bał się nieborak piekła w chałupie.
- Ho, ho! Babę miał marną, ale imistą w garści; prałać go nieraz, prała!
- Wasze, kumie.
- Niech będzie na zdrowie. Czerwiński wam tak powie: żeby był »psiąkrótkę« prał, ażby jej pomroka na oczy wlaża, to miałby żonkę grzeczną, że ha!
- Prawdę mówicie, sołtysie, prawdę. W garści miękki był, pomysłonku chłopskiego nie miał, i teraz ziemię gryzie — a wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie.
- Na wieki wieków, amen. W twoje ręce, Grzela.
- Takiście to mąż? — kobieta tam ledwie żyje, a wy tu pijecie sobie, pogany! — krzyczała jakaś baba, przepychając się do nich.
- Co mi tam!... dzieciaków, niby śmiecia a tu nowe...
- Grzela, nie obrażaj Pana Boga, bo ci jeszcze je pobierze...
- Napijcie się, kumo, kapkę i zaraz pódziemy...
- A jak to mnie Jezusiczek — zaczęła kobieta — nie pocieszył na starość dzieciąteczkiem, do Częstochowym chodziła i u różnych

doktorów się likowałam i nic — sama zostałam na świecie, jako ten grzeszny palec... sama.

— Ale, miej baba dziecko, jak ci sto lat minie.

— Nie gadałbyś, Czerwiński, nie byłam to młoda, co?

— Pan Bóg wstąpił w niebo, diabeł w babę, a kwas w piwo — tylko, że niewiadomo kiedy! — miarkuj se to, niewiasto, bo ci tak Czerwiński rzekł.

W kącie na skrzynce siedział młody chłopak, organistów miejscowych syn, a przed nim stała bardzo stara kobieta i szeptała przyciszonym, dźwięcznym głosem:

— Siedemdziesiąt sześć roków żyje, paniczku — tom widziała i białe, i czarne, i różne. Sługiwałam i u takich państwa, co tylko w ogiery jeździły, na srybrnych miseczkach jedli i po zagranicznemu gadali — a gdzie są oni teraz! gdzie? I na książce umieję, i gospodynią pierwszą na całą wieś byłam, i dzieci miałam, i dobra wszystkiego dotąd... o... i wszystko gdzieś przeszło, skapiało, jak to słońce latowe, co go nam Pan Jezus daje grzesznym na pocieszenie. Wiem ja wszystko, paniczku, wiem, czy to pańskie życie, czy to chłopskie życie — to zawždy nic innego, tylko ostatnia mizeracja jest. Ja prosta baba jestem, siedemdziesiąt i sześć roków mam — to sobie już wszystko wymiarkowałam. Paniczku! sześć tysięcy lat świat se stoi?

— Prawie sześć tysięcy lat.

— A widzi paniczek, że ja wszystko wiem, a według tego tak myślę: że tyle tysiączków świat stał sobie beze mnie i dobrze było, to przez co ja tyle roków przecierpiała!? Co tu po mnie było?

— Ano trudno, Pan Bóg życie dał... to...

— Paniczku, przerwała mu szybko stara — ja prosta baba jestem, a paniczek uczony, bo na organach grać gra, po łacińsku z ojcem

duchownym paniczek śpiewa i wie, kiedy wyciągnąć nutę cienką, a kiedy grubą — ale powiem: może ja grzeszne mam myśli, — ale powiem: to pewnikiem diabeł wypuszcza sobie duszyczki na świat, żeby cierpiały, żeby się tłukły w ostatniej mizeracji przez tyle lat, co ja. To nie Pan Bóg, choć w książkach stoi i ksiądz mówi: nie. Coby ta Jezusickowi przyszło z tego, że tyle narodu się nacierpi, nabieduje, namarnieje... Pan Bóg jest dobry pan i sprawiedliwy... Nie słodkie jest życie, nie aksamitne — tylko drze niby zgrzebło, aże się człowiek krwią serdeczną oblewa.

— Co wy też, Jagustynko, wygadujecie, przecież to grzech...

— Tylko krzywdę drugiemu człowiekowi robić jest grzech, a ja bym psa nie żgła kijaszkiem, bo żyw i tak też cierpi przez to. Paniczku, prosta baba jestem, ale serce mam, jak ten węgielek, przez ogień spieczony, przez gorzkość, com ją piła całe życie i za siebie i za drugich, i wiem, że diabeł dał życie, aby się ludziska po wiek wieków marnowali po świecie, przez złość do Pana Boga, ale Jezusiczek najukochańszy zlitował się nad nami, przeparał złego i po trochu wybiera se ludzi do swojej chwały — i wybierze kiedyś wszystkich. Ja tylko czekam, aż kostucha przyjdzie i rzeknie: Pódzi!... czekam i pacierz oto mówię, niechby najprędzej oczy przywrzeć, nie mieć już nijakiej turbacji, ni biedy — i odpocząć sobie rzetelnie, odpocząć, paniczku...

Wyprostowała się nad drzemającym organiściakiem i suchą, przedloną troskami i starością twarz zwiesiła, a w wybladłych, przepalonych łzami oczach błysnęły jakieś łzy... obtarła je szybko zapaską, westchnęła cicho i zwróciła się do Tomka, siedzącego samotnie na skrzynce, z flaszką w garści.

— Tomek! tobie z oczów coś złego patrzy — szepnęła, dotykając jego ramienia.

— A coby, jak nie bieda? bo to babka nie wiedzą?...

— Słyszałam coś, ale ludzie różnie gadają, że nie wiadomo, kiej wiara, a kiej para.

— Dymisję mi dali — szepnął chłop smutnie.

— Bez co?

I w głosie jej zadźwięczało ogromne współczucie.

— Bez co?... bo trzeba było dawać dozorczy: to gąski pod jesień, to masła na zapusty, prosiaka i jajków na Wielkanoc, to kuraka na Świątki — a ja nie nosiłem, jak drugie: skąd wziąłbym? Dzieciom nie było co dać jeść — kobieta mi się z biedy zmarnowała, krowa padła też nie przez dobrość, kartofle, wiecie, jakie były łoni... mniej wykopałem, niż wsadziłem. Darłem się prawie, i ani żonie, ani niczemu nie poradziłem; harowałem na służbie i w domu, i w dzień i w nocy, a biedy nie zmołem. Dozorca ciągle pomstował na mnie — com mu miał dać? pod żebro może, bo sam z dziećmi nie mieliśmy co na ząb położyć. Pędził mnie i pilnował przez złość coraz barzej. Pisał do naczelnika laporta, że jestem hardy, że lenciaj, że na służbie śpię, że plantu nie obchodzę — potem powiedział, że żelazo ukradłem z magazenu, że...

— Tomek, wzięłeś? powiedz mi prawdę, już ci wszystko jedno, co?

— Nie wzionem, babko, nie — żebym tu jak zły pies skapiał przy świętej spowiedzi, prawdę mówię; nie kradłem nigdy, kradli nieraz drugie kolegi, ale mój ojciec nie kradli, to i jego syn nie będzie złodziejem. Biedny ja jestem, ale i tak złodziejem nie jestem.

— I tylko cię przez to wygnali. Powiadali, że żelazo znaleźli u ciebie...

— Juści. Rzetelna prawda, znaleźli, ino że nie ja przyniesłem. Rafałów Michał obiecał dać dozorczy pięćdziesiąt rubli, jak go zrobi dróżnikiem, a że wakansu nie było, to un podrzucił u mnie żelazo

i denuncjował. Rewizję zrobili u mnie, znaleźli i wygnali mnie. Wszystko przepadło, bo, chciałem wiedział, kto to zrobił — świadka nie miałem. Sześcioro narodu zostało bez chleba. Zarobić niema gdzie, jeść niema co, żyć nie można, a jak Jezus miłosierny nie pomoże, nie ścierpię, nie ścierpię!

Jęczał bezradnie i łzy mu pociekły strumieniem po szerniałej twarzy.

— O doło ludzka: tylko płacz policzki przeźre, tylko dusza z bolenia skurczy się, jak ptaszek na mrozie, a żaden poratunek znikąd nie przyjdzie. Tylko głupi naród mówi, że jest jaka dobroć na świecie; oj, jest dobroć, ażę gardłem wyłazi! — szepnęła gorzko stara.

— Nie daj się, Tomek; i złęgo Pan Jezus przeparł, to czemu by pocziwy człowiek nie poradził biedzie z pomocą Panięki Najświętszej — rzekła mu pocieszająco i poszła do szynkwasu: kupiła dwa rządki bułek, kwartę kaszy jaglanej i z tym powróciła do niego.

— Tomek, weź kaszę i bułeczki dla dzieci, biedna jestem sierota, daćbym dała, ino nie mam co. Kto ma, kupi co chce, a ja komornicą jestem. Ale! Tomek, poradzę ci coś...

— Poradźcie, babko, to wam Pan Jezus i ta Przenajświętsza zapłaczą za mnie biednego.

— Idź jutro do dozorczy, obłapij go za nogi, może się ulituje; przecież sam ma dzieci, bo samemu tobie zdychać z głodu, nic to — ale bidota taka, co jeszcze nic nie kalkuluje, nie potrafi ścierpieć i grzech jest, coby skamlały dzieciska z głodu.

— Nie, babko, nie pójdę — szepnął z ponurą zaciętością Tomek. — Niech skapieję, przyjdzie zdechnąć z głodu, to zdechnę, a jego prosić nie będę. Leżałem ja temu piekielnikowi u nóg i o robotę jak pies skamlałem i jak pies skamlałem o zmiłowanie nad dziećmi

— to mnie kopnął nogą i kazał wyciepnąć za drzwi!... Nie, nie pójdę, bo się boję grzechu, bo się boję — bo jak go zobaczę, to mnie tylko ciągotki biera, żeby go za gardziel chwycić i jak złego zwierzaka zakatrupić!

Szeptał przytłumionym nienawiścią głosem i pięści zaciskał coraz silniej, potem chwycił się za piersi i znowu zaczął:

— Aż mnie w piersiach boli, tak się zmagam, ale ścierpiałem tyle, że więcej nie wiem, czy poradzić bym poradził.

— Baran, trzymaj ty w sobie tego wilka mocno, trzymaj, bo o nie-szczęście nie trudno.

— Do boru jutro pójdę siągi rąbać.

— Koszula nie rządzi, kiedy brzuch błądzi.

— Od ćwierci sążnia złoty i groszy dziesięć psiadusza Żyd tylko płaci i potrzeba na to dobrze dwa dni żebra wyciągać.

— Tomek, idź ty zaraz do proboszcza i proś — on się zna z urzędnikami, to mógłby przemówić za tobą, aby ci robotę jaką na plancie dali.

— Hale, kiedy ksiądz jeździ do dozorczy i znają się ze sobą dobrze...

— Głupiś, ksiądz zawdy na sprawiedliwość i na biedny naród ma większe uważanie. Poradzić ci co może i pomóc.

— Nie mam co w pazury wziąć, a tak gołkiem, bez niczego, śmiały nie będę.

— Głupiś, dzieciska mu na podarunek nie weźmiesz, a co innego masz?

— Prawda, ale... zawsze... nie zanieść nic dobrodziejowi...

— Głupiś, mówię ci, idź zaraz, do nóg dobrodziejowi padnij, wszystko opowiedz — a tylko się w piersi bij, a płacz, i mów o dzieciskach — to zobaczysz, że ksiądz zmięknie zaraz.

— Ta! to i pójdę — szepnął prędko przekonany i wstał ze skrzynki, kozuch obciągnął, baranicę na głowę nadział i przepychał się przez alkierz i przez tańczących.

Stara wyszła za nim, przed karczmą powiedziała mu jeszcze:

— Tomek, nie bądź hardy z dobrodziejem i proś grzecznie, bo chłop bez gruntu to jak ptak we wodzie, rozplaszczy się skrzydełkami i musi piukać, co by mu drugie pomogły, boby sam utonął.

Nie odrzekł nic, bo go taki mróz owionął, że aż się zachłysnął zrazu, ale baranicę głębiej jeszcze nasunął na oczy i poszedł prosto od karczmy przez pola wydeptaną ścieżką.

»Będziem jedli, będziem pili, będziemy się weselili!« — śpiewały za nim skrzypeczki.

»Jak Bóg da, jak Bóg da!« — mrucały ciszej basy, podrygując wesoło, ale Tomek nie słuchał tych głosów, co się wydzierały przez strzechę karczmy i rozpryskiwały w mroźnym powietrzu, niby brylantami skrzący się deszcz dźwięków — tylko szedł ostro.

Na polach widno było od śniegu i księżycy, jak w dzień.

Olbrzymie białe chmury leżały w przestrzeniach, co się rozciągały nad ziemią w wielkim majestacie ciszy i ogromu, niby srebrno płowe opony. Równiny, pofalowane wzgórzami, poznaczone nagimi szkieleciami drzew, zsypankami kamieni — rozlewały się morzem, oślepiającem białością skrzącego się śniegu. Taka głęboka cisza panowała w polach, że Tomek długo jeszcze słyszał odgłosy karczmy i chwilami odwracał się, by spojrzeć na nią i na migocące złote plamki światełek wsi, a potem przyśpieszał jeszcze kroku i biegł, nie zważając na mróz, kłujący go w policzki i zapierający mu oddech.

Przydrożne, oszroniałe krzyże rzucały błękitne, długie cienie; zdejmował przed nimi czapkę, zegnał się nabożnie i wzdychał

głęboko — czasami zabijał ręce skostniałe o ramiona, zaciskał mocno pas i szedł dalej.

Czasami stado kuropatw podrywało się z cichym a przejmującym krzykiem, kołowało chwilę i zapadało w białej, srebrnawej mgłę, wiszącej nad śniegami — to znowu zając sadił przez pola, przystawał, nasłuchiwał, stawiał słupka i pomykał dalej; to znowu jakaś bezkształtna, szara chmura płynęła przez przestrzenie i rzucała błękitnawy cień na śniegi; to jakiś głos suchy mrozu leciał nad ziemią i, rozbity w miliardy drgań, skrzył się w blaskach i mącił ten boski spokój nocy zimowej; to pomruk, podobny do westchnienia ciężkiego biegl od lasów, to szum głuchy i odległy — i była znowu cisza, martwota, pustka i wielka, słodka senność na ziemi.

Tomek nie zważał na nic, bo sobie w myśli układał: jak to on przyjdzie do księdza, jak padnie mu do nóg, jak powie: Dobrodzieju! jak się rozplacze i zacznie przed tym kochanym ojcem wyjawiać swoje strapienia i nędzę swoją, i tak się już przejmował, że łzy rozczulenia zabłyły mu w oczach, stoczyły się po policzkach i zamarły na wąsach. A potem myślał o domu i dzieciach:

— Marysię dam w służbę, Józwę też — będzie dziewczuchom lepiej, a i mnie lżej — ale coś go zabolalo w sercu na myśl rozstania się z dziećmi. — Śpią se robaki kochane, śpią — pomyślał, obmacując starannie bułki i kaszę, które miał w zanadrzu. — Pan Jezus da doczekać wiosny, to o robotę będzie łatwiej i ony coś niecoś zarobią — myślał. — Praży też Jezusieczek, praży — szepnął, rozcierając sobie twarz śniegiem. — Folguje se Pan Jezus, folguje... — i przystawał, nasłuchując. Od stodół dworskich, z daleka majających szarymi ścianami, dochodziły odgłosy psiej wrzawy. Zaczął iść wolniej i coraz lepiej wyteżał wzrok i trwożliwiej, bo ten psi gwar, naszczekiwania, skowyty — brzmiały coraz

bliżej i groźniej. Wkrótce zobaczył kilkunastu psów, coś zajadle rozrywających pomiędzy sobą.

Na folwarku owce zdychały na motylicę całymi setkami, więc je służba po odarciu ze skóry wywłóczyła za budynki i zakopywała w śnieg. Ze wszystkich stron psy się zlatywały do biesiadnego stołu i przez całe dni i noce ucztowały, żrąc się o padlinę.

Tomek ominął je z daleka i poszedł na przełaj ku wsi, rozrzuconej po stokach wzgórza, uwieńczonego małym, drewnianym kościołem i gromadą lip potężnych, co usiadły niby starce dokoła i swoimi olbrzymimi rosochatymi ciałami broniły go od wichrów i złej doli, gwarząc szeptem w ciche miesięczne noce.

Plebania stała niżej nieco, w środku ogrodu, rozrzuconego na zboczach wzgórza i dotykającego wsi. Przed gankiem, większym niż niejedna chłopska chałupa, Tomek się zatrzymał, czapkę zdjął i zaczął przestępować z nogi na nogę, bo odwaga opuściła go zupełnie; zaglądał w oświetlone, ale przysłonięte roletami okna, drapał się po głowie, splotał, to znowu się żegnał dla nabrania odwagi, ale wejść nie śmiał.

Kościół stał tak blisko i tak czerniał tajemniczo, a okna tak dziwnie się lśniły księżycowym światłem, lipy miały dzisiaj taki groźny wyraz, a krzyże odwiecznych grobowców na cmentarzu były tak wielkie i tak się ostro rysowały na tle śniegów, że Tomka jakiś zabobonny strach ścisnął za gardło. Zaczął w sobie dygotać, ale stał wciąż.

Chwilami posępna chmura odgradzała księżyc od ziemi, rzucając przejrzysty, niby od wachlarza, cień, to znów w ogrodzie, w krzakach coś zatrzeszczało tajemniczo; czasem gonty na kościele albo żerdzie w płotach pękały z hukiem od mrozu, to znowu wrony łopotały skrzydłami i tłukły się z wrzaskiem po drodze,

po kupach śmieci; koń gdzie w stajni zarżał, rozległ się bek owiec, albo kwik świń, odgryzających przy korycie, przedarł się z księżych chlewów i drżał chwilę w powietrzu, aż cisza znowu zapadła i ogarnęła wszystko.

Tomek wciąż stał, patrzył machinalnie na białe opary, podnoszące się z oparzelisk, to na błyszczące gdzieniegdzie we wsi światelka. Przyszły mu na myśl dzieci, więc tylko szepnął: »Bidoty kochane«, i zaraz wszedł, przewyciężając nieśmiałość, prosto do kancelarii proboszczowskiej.

Ksiądz na łoskot otwieranych drzwi powstał od stołu i śpiesznie zakładał okulary. Tomek czapkę w kąć rzucił i jak długi runął mu do nóg.

— Ojczy! Dobrodzieju kochany! — szeptał łzawo, ściskając mu nogi.

— Co? kto to? coś ty za jeden? czego?

Rzucił wylęknione zapytanie proboszcz, przestraszony gwałtownością ruchów Tomka.

— Zmiłowania przyszedłem prosić dobrodzieja.

Ksiądz wsadził nareszcie swoje okulary, przyjrzał się klęczącemu i już spokojnie mówił:

— A! Tomasz Baran! Wstań, moje dziecko, wstań!

Usiadł sam, kraciatą chustą przetarł okulary i rzucił ją na kupki miedziaków, porozstawianych regularnie na stole.

Tomek powstał i obcierał rękawem załzawione oczy.

— Co mi powiesz? masz interes jaki, może ci kto umarł?

— Gorzej, ojczy duchowny, bo wszyscy po trochu mrzemy.

— Zaczął dosyć spokojnie opowiadać; miał łzy w oczach a cichą, bezbrzeżną rozpacz w głosie i mówił o wszystkim z taką szczerością, że ksiądz musiał mu w części uwierzyć, bo na jego białej

twarzy, podobnej do maski zblichowanego wosku, pełnej słodyczy jakby zastygłej, migotał cień smutku i współczucia.

Tomek skończył, a ksiądz ze srebrnej tabakierki tabaki zażył i długą chwilę milczał. Miał serce bardzo litościwe, ale tyle razy go wyprowadzono w pole kłamliwymi łzami i udawaną szczerością, że się teraz bał ulec, więc nastrajał twarz chmurnie, odymał groźnie usta i pokrywał, o ile mógł, rozrzewnienie, jakie czuł w sobie.

— Szóste: nie kradnij! — powiedział twardym głosem. — Gałgany, ciągle wam to mówić z ambony, he! Pan Bóg was karze, bo nie słuchacie Jego świętych przykazań.

— Nie kradłem, ojcze duchowny, kiej na spowiedzi świętej mówię; nie wzionem, to tylko przez złość, że nie dawałem żadnych dyngusów, ani podaronków, zmówiły się na mnie i wyгнаły.

— Ósme: nie mów fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu twemu. Nie mówisz, Baran, pacierza, nie pamiętasz, he!

— Prawdę rzekłem, ojcze duchowny, świętą prawdę, bo dozorca ciągle na mnie warł, czy było o co, albo nie było — bo mu nie dawałem; bo za te dziewięć papierków, co mi w miesiąc płacili, ledwie się mogłem wyżywić.

— Dziesięciny i powinności wiernie oddawać. Mam ci ciągle przypominać, czego Pan Jezus i święty kościół katolicki naucza, he!

— Ojcze najlepszy! krześcijanin jestem, do spowiedzi chodzę, na mszę świętą daję, ale zmiłowania przyszedłem prosić, bo mi dzieciska mrą z głodu, a mnie już dur przychodzi do głowy; sypiać nie sypiam od ciągłej turbacji i rady dać sobie nie mogę. Zaborgowałem się i u Żydów i u ludzi; sprzedałem ostatnie szmaty, sprzedałem prosiaka, com miał ostatniego, i już teraz jestem na glanc, że tylko jedna kostucha ma co brać. Laboga! laboga!

— szepnął ciężko — już dłużej nie zdzierzę, jak mi ojciec kochany nie pomogą, to już i umrzeć przyjdzie.

Upadł znów do nóg księdzu i prawie ryczał płaczem niepowstrzymanym i tak się trząsał, tak łkał żałośnie, że ksiądz odwrócił się nieco, aby obetrzeć łzy i bardzo cicho, trzęsącymi się ustami, zaczął mówić:

— Moje dziecko. Chrystus cierpiał za nas niegodnych; za nas, niewdzięczne dzieci, dał się ukrzyżować, zbeczcześcić tłuszczy podłej i nie rzekł ni słowa, choć mu ostrymi gwoździami przebili ręce, przebili nogi, choć mu krew zalewała oczy i bolały rany; nie skarżył się, tylko rzekł: Stań się wola Twoja, Panie! Bracie mój... Tomku Baranie... — urwał nagle, bo mu łzy rozczulenia przysłoniły twarz, obcierał się śpiesznie i szeptał: — Biednyś ty, Baran, biednyś ty, sierota... biednyś...

Milczenie zawisło ciężkie, bo pełne rozbitych drgań i akcentów płaczów i skarg Tomkowych.

— Pojutrze odprawię na twoją intencję mszę świętą do Przemienienia Pańskiego, może ci Pan Bóg przemieni. Nieskończonym On jest w swej dobroci, tylko Mu ufaj, módl się, miej wiarę — mówił proboszcz poważnie.

— W chałupie niema już ani okruszyny chleba, a dzieciska tylko skwierczą — szeptał w dalszym ciągu Tomek.

— Nie poradzę ci na to. Przyjdź na mszę, wypowiadaj się, to ci będzie lżej nosić ten krzyż, jaki podobało się Panu włożyć na ciebie.

Tomek patrzył na księdza ogłupiałemi oczyma, niewiedząc już, co mówić, spostrzegł tylko te kupki miedziaków na stole i miał chwilę, w której poczuł jakąś ciemną jeszcze chęć, schwycić

te pieniądze i uciec, ale to prędko przeszło, przetarł sobie kułakiem oczy, westchnął głęboko i mówił:

— Możeby się ojciec duchowny wstawili za mną do urzędników, albo i dworu choćby, cobądźby płacili, niechbym tylko robotę miał, bo oni się wszyscy zmówili na mnie i nigdzie przez to nie dadzą roboty. Chcę przecież robić, chcę...

— Hardy byłeś. Kto wiatr sieje, zbiera burzę, a pokorne cieję dwie matki ssie. Pamiętaj o tym. Pomówię o tobie, bo biedny jesteś: pomógłbym ci zaraz, ale wiesz, że u mnie zawsze krótko... I miłować będziesz bliźniego swego, jako siebie samego... Nie mam nic... Wiesz, karego mi ten łajdak Antek, żeby Boga przy skonaniu nie oglądał, schwycił tak, że mi zdechł. Składałem sobie trochę, aby konisko jakie kupić, ale Wawrzon się spalił, to znowu Kłębowi krowa padła — i, zmiłuj się Boże, nie mam znowu grosza... Co ja ci dam, moje dziecko... jeść ci się chce?

— Juścik, ale to nic, ino że dzieci drugi dzień już nie jedzą.

— Boże kochany... — szepnął i poszedł do wmurowanej w ścianę szafki, wyjął z niej ledwie napoczęty bochenek chleba i już miał go dać cały, ale spostrzegł oczy Tomka, pożądliwie wlepione w pieniądze, więc się w porę powstrzymał, ukrajał tylko duży kawał i dał.

Tomek dziękował mu z serdecznością i zabierał się do odejścia.

— Czekał-no, dam ci parę groszy, wiele nie mogę, bo to nie moje.

— Wziął kupkę miedziaków w rękę. — To, widzisz, są pieniądze dla Ojca świętego!

— Dla Ojca świętego! — szepnął chłop z trwogą pobożną i przeżegnał się prędko.

— A tak! Dobre, litościwe, chrześcijańskie dusze się składają, żeby Ojciec święty miał żyć z czego... Zabrali mu wszystko, co miał, i pozostał ubożuchnyon zastępca Piotra świętego. On! mocen

zawiazywać i rozwiązywać wszystko na ziemi — jest także biedny, także cierpi niedostatek, moje dziecko — odłożył prawie bezwiednie połowę miedziaków do drugiej ręki — ale wierna owczarnia nie da zginąć pasterzowi swemu — odłożył jeszcze kilka — każdy niesie swój grosz wdowi z miłością synowską, bo co dasz ubogiemu, to jakbyś dawał Bogu samemu — wyjął dziesiątkę z pozostałych w garści. — Masz, moje dziecko, nie mam więcej, idź z Bogiem. Już ja tam za tobą przemówię, gdzie potrzeba. Biednyś ty, Tomku, ale zmiłowanie Pańskie i moc jest wszechpotężna. — Pocałował go w głowę i zrobił nad nim krzyż w powietrzu, szepcząc jakąś modlitwę półgłosem.

Tomek wyszedł do głębi wzruszony, ale i pokrzepiony na duchu.

— Niech ci Bóg da zdrowie, to dobry szlachcic! — szepnęła i poszedł prosto z plebanii, przez zaśnieżone pola, nie patrząc już dróg, ani ścieżki, ku domowi.

— Laboga! i Ojciec święty biedny! Zabrały mu wszystko! O. Niemcy psiaścierwy, o heretyki! — myślał i zaciskał groźne pięści i zadumywał się głęboko o niedoli Chrystusowego Namiestnika.

Było mu jakoś lżej na duszy, jakby odetchnął nieco po udręczeniu. Pobożne i współczujące słowa księdza napełniały czułością jego proste pocziwe serce, przenikało go jakieś ciepło nadziei.

— Biednyś ty, Baran, sirotaś ty, Tomku! — powtarzał odruchowo słowa księdza i tak się wewnątrz rozczulał tymi przypominanymi dźwiękami słów, że mu łzy rozrzewnienia płynęły po twarzy i bezwiednie się pochylał, jakby pragnąc kogoś objąć za nogi.

Mróz coraz siarczyszy oprzytomniał go zupełnie, że prawie zapomniał o księdzu i o obiedzie, tylko coraz chciwiej oczyma chwycił kontury swojej chałupy, słabo szarzejącej pod lasem, i serce biło mu niepokojem o dzieci. Chałupa, stawiana niegdyś dla strycharza,

wypalającego cegły, była teraz zupełną rudera; płaski, dranicowy dach zapadł się zupełnie i leżał na pułapie, ściany były pokrzywione, popodpierane kołami, wbitymi w ziemię, i z jednej strony obsypane ziemią i sosnowymi igłami.

Pustka była dokoła, aż strachem mroziło; las ponury, świerkowy stał zaraz posępną głuchą ścianą; i tak coś ciągle szumiało w nim, gadało, wyło tysiącami głosów, że ludzie, o ile mogli, omijali go z daleka. Mroźnymi nocami i w odwilżne dni marcowe wilki wylażyły z niego gromadami i szły do wiosek na żer. Pustosz była dzika i bezludna, ale Tomek chałupę wynajmował od dworu, bo mu było blisko na plant, tanio płacił i latem dzieci miały gdzie krowy paść. Żył się z tą pustką, odwykł od wsi i od gromady ludzkiej, zdziczał, ale czuł się dobrze ze swoimi tylko.

Skoro tylko nadbiegł, zajrzał przez zamarznąłą szybę do wnętrza, ale ciemno było w izbie. Wszedł cicho i zapalił kaganek. Wszystkie dzieci na jedynym spały łożku, ponakrywane szmatami, zagrzebane w słomę. W chałupie zimniej było, niż na świecie; wilgoć zatechła, przejęta zgnilizną, aż dusiła. Odrapane ściany, pokryte warstwą szronu, świeciły niby posrebrzone. W miejsce podłogi ubity z gliny tok, skostniały od mrozu, dudnił głucho pod jego nogami. Nachylił się nad łożkiem posłuchać oddechu śpiących, bo go obleciał strach, czy nie pomarzęły.

— Śpi se bidota kochana, śpi! — szepnął radośnie.

Wiórów z sieni przyniósł i w żelaznym cyganku rozniecił ogień, a potem w wiaderku urąbał nieco lodu i nakładł go do garnuszka, który zaraz przystawił do ognia. Połowę przyniesionego chleba nakrajał w miskę, osolił i czekał, aż się woda zagotuje. Kręcił się po izbie prawie bez szelestu i coraz to przystępował do łożka i przyglądał się dzieciom... W jego niebieskich, jakby wyblakłych oczach

świeciła taka chłopska miłość dzieci, dla której poza nimi nie ma już nic na świecie droższego.

— Sieroty moje, zaraz będziecie jedli, zaraz — szeptał rozradowany i dokładał coraz więcej do ognia, a gdy woda zaczęła wrzeć, przystąpił do łóżka.

— Maryś! Józwa! wstańta, dzieci! — zawołał, potrząsając nimi. — Wstańta na kolację.

Rozbudziły się zaraz. Było tego pięcioro: cztery dziewczyny i chłopiec najmłodszy, może sześćioletni — tego Tomek wziął na ręce, okręcił połą kożucha i przysiadł przed ogniem, chłopak rozespany popłakiwał i grymasił.

— Cicho, synku, cicho! Naści chleboszka, to ojciec duchowny dla was dał, naści, synku.

Chłopak nos i oczy przecierał, a chleb gryzł łakomie.

— No, chodźcie, dzieciuchy, wodzianka już jest.

Nalał wrzątku na chleb.

Pościęgały się z łóżka, poprzykucały dokoła miski i jęły się tej wodzianki z ogromną łapczywością.

Sine, wynędzniałe twarze dzieci miały w tonie skóry coś z barwy tych ścian odrapanych i oszroniałych, uzupełniały je niejako. Nędza długa, taka chłopska nędza, co to powoli dobiera się do gardzieli i długo dusi, napiętnowała te twarze wymownie, zostawiła im skórę na kościach, spojrzenia zaiskrzone i tępe, usta pociągane i niezmiernie ruchliwe i apatyczne w całym wyrazie. Tomek ogarniał dzieci wzrokiem ojcowskim, sam prawie rzadko sięgał do miski, aby im jak najwięcej zostawić — podtykał tylko chłopcu.

— Jedz, synku, jedz... Bardzo się wam jeść chciało ?

— Przecie — odezwała się Marysia. — W południe poszłam do wsi, stryjna Jadamowa dała mi kartofli — ugotowałam i zjedliśmy

— a teraz od wieczoru, to Józiek i Anka płakały, że ich w dołku boli — jeść im się chciało, położyłam ich spać i tyla.

— Jedzta, dzieci — ten chleb babka Jagustynka dała, a ten — ojciec duchowny. Maryś, jest tam zdziebko jagieł, ugotujesz im jutro. Pan Bóg miłosierny nam pomoże, trafi się jaka robota, to może z korczyk kartofli się kupi, albo i kaszy ze ćwiartkę, niechby tylko do wiosny przecierpieć jako tako.

— To krowe se kupimy, prawda, tatulu? — zapytał Józiek.

Ogień bystro się palił i od rozgrzanego do czerwoności piecyka rozchodziło się ciepło przyjemne, że nawet świerszcz gdzieś na przypiecku zaczął głośno strzykać, a dziewczyny posiadały u nóg ojcowskich, zbiły się w kłębek i patrzyły na niego, jak w obraz. Tylko Marysia siedziała z boku, na ławce, i kijaszkiem raz po raz poprawiała węgielki.

— Kupicie krowe na wiosnę — prawda, tatulu?

— Prawda, synku, kupie. Będiesz se pasał albo i z Jagusią.

— Kiedy ona mnie dzisiaj zbiła, tatulu!

— Nie bój się, jak ją spierę, to zaraz cię nie będzie tłukła.

— Graniastą kupicie, tatulu?

— Graniastą albo i siwuchę, synku.

— I da mi Marysia mleka, tatulu?

— Da ci, robaku kochany, da!

— A kiedy, tatulu?

— Na wiosnę, tylko ciepłej Pan Jezus na świecie zrobi.

— A bez co to zimno teraz, nie wiosna, tatulu?

— Panu Jezusowi na uciechę, a grzesznym ludziom na upamiętanie.

— To my grzeszne, tatulu? i Józwa, Maryś, Jagusia, Anka i ja, tatulu?

— Wszystkie grzeszne, synku.

— A dlaczego my grzeszne, tatulu?

— Laboga, taki marny robak, a już deliberuje.

— To wszystkie chłopcy są grzeszne, tatulu?

— I chłopcy, synku, i pany, i wszyscy.

— A kupicie owieczków, tatulu? — zapytał znowu, po długim przestanku, z trudem podnosząc klejące mu się powieki.

— Kupie ci, synku, kupie. Maryś uprzedzie wełny i zrobi ci porteczki.

— I spencerek! z guzikami! jak ma Wawrzonów Franek, prawda, tatulu? i Józwie wełniak i Ance, prawda, tatulu?

— I spencer dla ciebie, i Józwie wełniak, i wszystkim odzienie

— niech tylko Matka Przenajświętsza nas zapomoże, to wszystko będziecie mieć, robaki kochane.

Zaniósł Józka do łóżka i troskliwie go ułożył.

— Idźcie, dzieci, spać, idźcie, prędzej wam nocka zleci.

Dziewczyny zaczęły mówić głośno pacierz, a on przyniósł sobie z sieni wiązki słomy i rozesłał ją pomiędzy piecykiem a łóżkiem, zgasił lampkę, okręcił się kożuchem i legł spać.

Milczenie zaległo izbę, przerywane tylko równymi oddechami dzieci i cichym łkaniem.

— Maryś! — rzekł po długiej chwili, dosłyszawszy płacz — co ci to, córko?

— Nic tatulu, tylko mnie tak rozebrało, że my takie biedne, choć nikomu nic złego nie zrobiliśmy.

— Cicho, córko, nie płacz. Ojciec duchowny obiecał nam pomóc i tak pięknie mówił, że musi być, co nam pan Jezus przemieni; robotę jaką dostanę, to i ostoja przed biedą będzie. Nie bój się, Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy.

Przyciszyło się znowu, płacz się urwał, tylko świerszcz, podbudzony ciepłem, strzykał głośno, a czasami węgielki w piecyku trzaskały i rozsiewały coraz słabszy w ciemności pył purpurowy — ciemność coraz większa przepelniała izbę i senność.

— Maryś, śpisz?

— A bo to mogę! śpik mnie gdzieś do cna odszedł, i co przywrę oczy, to mi się widzi, że matula stoją przede mną, to znowu jakaś pani szlachetnie ubrana idzie i kiwa na mnie palcem, albo że ten prosiak, coście go sprzedali, kwiczy za ścianą.

— Zmów se pacierz, córko; to nic tylko z głodu taki sen przychodzi do głowy. Pójdziemy jutro do lasu, może się da się rąbać.

— Hale! Stryjna Jadamowa mówili, że już dróżkami ani duchtem nie przejdzie, bo śniegi na chłopca. Kłęb powiedzieli, że pisarz z lasu o dziesiątkę chce płacić więcej, aby tylko ludzie rąbali.

— Ze wsi idzie kto?

— A jak iść, kiedy śnieg taki, że wyleźć nie mogłam, jak poszłam po drwa.

Zamilkli znowu. Pociąg przechodził, aż chałupa dygotać poczęła i w ścianach coś groźnie skrzypiało, a potem słyhać było słabe echa trąbek dróżniczych.

Przycichło wszystko zupełnie, tylko przez szybki przeciskał się głuchy szum lasu i suche poświstywanie wiatru. Tomek nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok i rozmyślał coś ciężko.

— Maryś, do służby poszłabyś, córko? — zapytał cicho i trwożnie.

— Jak tatuś każą, to i pójdę — tylko, że sama mieć będę lepiej, ale wam nic nie ulży.

Tomek już nie odpowiedział i wkrótce posnęli.

Nazajutrz życie powlokło się tym samym szlakiem nędzy, która ich otaczała coraz twardszem kołem.

W południe zjedli resztę wczorajszego chleba i kaszę.

Tomek tylko patrzył dzieciom w oczy, głaskał ich po głowach i nie mówił nic, bo mu wnętrzości szarpała rozpacz. Łaził koło chałupy, jak senny; rąbał drwa, obciosywał jakieś kołki, gotował się gdzieś iść, wyglądał na przebiegające niedaleko pociągi; w godzinach, w których kiedyś wychodził na służbę, wychodził i teraz, podchodził do kolei śpiesznie i jeszcze śpieszniej powracał, bo sobie gorzko uprzytomniał, że nie ma gdzie iść i po co!

Tyle lat chodzenia w obroży automatycznie wykonywanej służby zostawiło w nim głęboki ślad bezradności. Tracił po prostu przytomność, nie wiedząc, jak tu żyć dalej — bez służby i nie mając ziemi. Nigdy o niczym sam nie potrzebował myśleć, bo przez szesnaście lat myślała za niego nieboszczka żona, a przedtem ludzie, u których służył. Był z tych chłopów, którym koniecznie musi ktoś powiedzieć: idź tam, zrób to — myśl tak; to i pójdzie, i zrobi, a teraz spadł na niego ten trud myślenia razem z biedą, więc choć się ciskał, łamał w sobie, wył z bezsilności — nic nie wymyślił. Nędza szczyrzyła do niego zęby i kąsała mu dzieci — a on siedział dnie całe, bezmyślnie zapatrzony w siebie, i nie umiał temu zaradzić. Do ludzi, na wieś, nie szedł prosić, bo mu to wprost na myśl nie przychodziło. Całe życie, na każdy kęs, musiał robić ciężko, musiał go wyrwać krwią i potem, nigdy mu nic nie przyszło darmo — więc i teraz, jeśli myślał, to tylko jedno zarobić! Zarobić nie było gdzie — padał wyczerpany.

Dopiero wczoraj zaświtała mu w karczmie myśl rąbania sągów, i stara Jagustynka dała mu radę udania się o pomoc do księdza.

Po południu, jak tylko mróz nieco zwolniał, zabrał Marysię i poszli do poręby, gdzie leżały stosy pościnanego jesienią drzewa,

ale tak zasypane śniegiem, iż cała poręba była jedną oślepiającą białością równiną.

— Maryś, zmożewa? — szepnął Baran, drapiąc się po głowie.

— Pies, nie zima! — mruknęła ponuro dziewczyna, uderzając rydlem w śnieg.

Nic już nie mówiąc, zabrali się do odkopywania świerków.

Rzucili się do roboty z gorączką. Tomek robił za czterech, a Marysia z jakąś wściekłą pasją kopała niestrudzenie, nie bacząc na pot, zalewający jej oczy, ani na wyczerpanie, jakie wkrótce poczuła. Przypinali się do tego śniegu, jakby do nienawistnego nieprzyjaciela, jakby do uosobienia wszystkich ich nędz, i darli go łopatom z dzikim, kamiennym uporem chłopskim.

Śnieg był zmarznięty i twardy nieledwie, jak lód, że z trudem wielkim można go było ryć żelaznymi łopatom; robota szła niesporo i ten opór rozwścieklał ich po prostu. Tomek zrzucił kozuch, został tylko w koszuli i, nic nie widząc dokoła, z jakimś rozszaleniem kopał — gruba koszula pociemniała mu na plecach od potu, baranicę rzucił także, że włosy, niby roczzochrana wiecha, trzęsły mu się za każdym ruchem.

— Świniaś, psiachmać! — mruczał chwilami nienawistnie i tylko mu twarz zmęczona, groźna zawziętością, migotała nad śniegiem krwisto-fioletową plamą. Marysia przysiadła chwilami, aby złapać tchu i odpocząć nieco, ale zaraz zrywała się i z zawziętością nową szarpała białe łono.

A las, biały od masy śniegu na gałęziach, stał dokoła wyniosłą ścianą, i jakby w śnie zimowym pogrążony, tak był cichy i spokojny. Czasami tylko gałąź jaka drgnęła pod ciężarem i kaskada białego pyłu połała się nad ziemią, wrony przeciągnęły nad lasem z krakaniem, to znowu sroki całą bandą padły na wyniosłe

nasienniki, kołysały się na sękach, biły skrzydłami, i, jakby drwiąc z Tomka, krzyczały:

— Głupi Baran, głupi! — i tak skrzeczały, że Tomkowi wydało się to wprost wyśmiewiskiem — rzucał kawałkami śniegu i odpędzał — i znowu zapadała cisza, pełna oślepiających blasków śniegu i słońca, przerywana jedynie zgrzytem rydli, świstem wyrzucanych kawałów śniegu i chrapliwym, ciężkim dyszeniem kopiących.

Godziny płynęły wolno i las niepostrzeżenie zaczął smętnieć, oblekać się w fioletowo-purpurowe tumany zachodu, potem poszarzał i cicho wsączał w siebie mrok, co się rozlewał od miedzianych zórz na niebie, pociemniał i, zdawał się w końcu w jakieś głębie nocy nadchodzącej zapadać z wolna i zlewać się w jedną, nieskończoną masę ze śniegiem, z przestrzenią i staczać w senność i zadumę.

Było już dobrze ciemno, gdy skończyli robotę. Oczyścili trzy potężne świerki.

Tomek się wyprostował, przeciągnął, i uderzając łopata w śnieg, rzekł szorstko:

— Zmogliśwa! a ścierwo, zmogliśwa! — Odział się starannie. — Idź Maryś do chałupy. Ja pójdę do Żyda, wezmę pieniędzy na robotę, bo jutro jak nic ćwiartkę postawię. Przyniesę zaraz jeść. Idź, córko, a otul się, boś się sielnie zharowała, a i mróz na noc idzie. — Pogłaskał ją pieściwie po twarzy i poszedł w głąb lasu.

Marysia okręciła głowę zapaską, zabrała łopaty i wolno poszła w las, ku domowi. Czuła się nie tyle zmęczoną, co głodną i bardzo senną. Z początku szła bezmyślnie, ale potem las zaczął się jej wydawać takim groźnym i ponurym, tak czerniał dziwnie i jakby rozbrzmiewał jękiem w głębiach, że obleciała ją trwoga niewytłómaczona. Zdawało się jej, że niezliczone pnie drzew zabiegają jej drogę ze wszystkich stron, że pomiędzy nimi świecą w dali jakieś

oczy czerwonawe i migocą trójkątne pyski wilków: przymykała na chwilę oczy, ale strach rósł nieustannie. Zaczęła szybciej lecieć i dla dodania sobie odwagi, na pół już przytomna śpiewała:

»Mazury, Mazury! chłopcy kiej drabany!
»Sadzić wama kury — nie chodzić do panny!
Hu — ha!«

A później:

»Nie boję się chłopa, choćby była kopa —
»Nie boję się wilka, choćby było kilka.
Hu — ha!«

Ale bało się biedactwo ogromnie...

Tomek dostał na robotę od pisarza leśnego za osiem złotych żywności i rubla gotówką. Żyd dał chętnie, bo znał go z uczciwości i sążnie były im gwałtownie potrzebne do odstawy na kolej.

Na drugi dzień rano Baran kazał się ubrać Marysi odświętnie, rubla zawinął w szmatkę i poszli do kościoła, ale proboszcz nie chciał wziąć od niego za mszę i tak się rozczulił, że kazał mu dać korzec kartofli i parę garncy kaszy.

Tomek się wypowiadał i całe nabożeństwo leżał krzyżem — i tak się modlił, tak prosił gorąco, tak się trząsł w łkaniu, tak żebrał zmiłowania, tak jęczał żałośliwie w bólu, skardze i prośbie, że ludzie z szacunkiem spoglądali na rozkrzyżowanego przed ołtarzem.

— Jezus! Panno Częstochowska... zmiłuj się nad grzesznym...
Do Częstochowy piechty pójdę... koronkę dzień w dzień mówić będę... chorągiew kupie... świec kupie... zmiłuj się nad grzesznym...

O słodka panienko... o Królowo... ofiaruję Tobie siebie z dziećmi... przemień nam... Za co bądź robić będę, aby tylko na żebrę nie iść, aby mi tylko dzieci z głodu nie pomarły... O święty!... święty... święty... — jęczał i płakał krwawymi łzami skargi, prośby i błagał zmiłowania.

Organy brzmiały cichym, uroczystym hymnem, co, jak purpurowa fala dźwięków, rozpyłał się nad jego głową i przejmował mu serce świętym dreszczem trwogi; głos księdza miał jakieś tęczowe blaski i przenikał go takim ukojeniem i rzewnością, że mu łez płynęło coraz więcej cichszych. Poczerniałe złocenia ołtarzy, dźwięki dzwonów, głębokie westchnienia modlących się, szepty pacierzy, dobrotliwe spojrzenia świętych z obrazów, tęczowy mrok, padający przez kolorowe okna, złotawe płomyki świec, jakby balsamiczne rytmy muzyki, co wciąż płynęły z chóru — wszystko to stopione w jakąś mistyczną harmonię, niewypowiedzianie słodką, rozplaszczało Tomka jeszcze bardziej u stóp Wszechmocy i przejmowało go ufnością bezgraniczną, pocieszeniem i wiarą — że już pod koniec mszy nie mógł zebrać myśli, tylko wzdychał, całował podłogę i płakał.

Wyszedł z kościoła ze zdwojoną wiarą i zapalczywością do roboty.

— Maryś! — rzekł w połowie drogi, kiedy wracali do domu, i przystanął nieco, bo dziewczyna szła za nim. — Maryś, widzi mi się, że nam przemieni Pan Jezus, bo to, jak ojciec duchowny powiedzieli: o liljach i ptaszkach i innych choćby najmniejszych robaczkach pamięta, a nie miałby Jezus kochany o człowieka stoć, co?

— Musi być, co Pan Jezus zarówno stoi o wszystkich, odpowiada poważnie.

Życie wydało mu się teraz jaśniejszym, bo na parę dni było co jeść w domu i mróz znacznie zwolnił, a nawet w południe zrobiła się mała odwilż. Tomek przeczuwał odmianę powietrza, bo słońce zaczynało się nie pokazywać i masy szarych, rozrzedzonych chmur zaciągały horyzont, więc niepokoił się znowu.

— Śnieg rośnie, ale nic to, Pan Jezus sobie dmuchnie i rozwieje wszystko — powiedział dzieciom, idąc do lasu rąbać drwa. Do wieczoru postawił ćwierć, choć się zmęczył śmiertelnie. Poszedł spać wesoło, bo dzieci miały co jeść i sam się znowu poczuł wciągniętym do dawnego życia — robił.

Nazajutrz, gdy się obudził i wyjrzał na świat — sposepniał.

Śnieg sypał tak gęsto, że świata nie było widać i wiatr się zrywał z poświstem. Zanosilo się na zadymkę, i ani można było marzyć o rąbaniu w lesie.

I jak zaczęły śniegi sypać, wichry wyprawiać dzikie harce po polach, zawieja zaciemniać świat, tak i nawet wyjść z chałupy było ciężko.

Nie było prawie dnia ani nocy, tylko jakaś posepna, szara orgia huraganu przewalała się po polach i przestrzeniach i biła ustawicznie potężnymi falami w Baranową chałupę i w las, co się tylko pokładał w tym mocowaniu się z wichurą, ale powstawał niezmożony i straszny, bo się rozsrożył walką i tak szumiał, trząsł się, trzeszczał, wył dziko i przeciągłe, huczał — że dzieci nocami nie spały, a ptactwo uciekało z niego w pola. Tomek pilnował chałupy, bo groziła zawaleniem, aż ją całą zarzucił śniegiem zupełnie, że wyglądała niby wzgórze śnieżne.

Żywność się wyczerpywała, nie było na świeżą, ani można było iść po nią, tak drogi i pola były zawałone śniegiem. Drugiego dnia zadymki pociągi stanęły w śniegach i wszelki ruch ustał zupełnie

ludzie się trwożnie cofnęli, ustępując miejsca żywiołom. Dopiero trzeciego dnia rano zawierucha ustała nieco, ale olbrzymie zasy dymiły, niby krater, obłokami rozpylonego śniegu.

Tomek ubrał się w kożuch, wziął łopatę i poszedł na plant. Dozorca, jego pomocnicy, inżynier dystansowy, masy chłopów, spędzonych ze wsi okolicznych, wszystko to uwijało się około zasypanego w przekopie pociągu. Rozdawano ludziom wódkę i kiełbasę, byle prędzej oczyścić tor.

W białych tumanach śnieżnego pyłu Tomek widział całe setki ludzkich sylwetek, pracujących wesoło, słyszał gwar rozmów, śmiechy, skrzyp rydli — łowił chciwie uchem te odgłosy i posepniał coraz bardziej, bo dla niego ani miejsca ani roboty nie było. Nikt go nie wołał do niej. Stał na przejeździe parę godzin zziębnięty, głodny i zrozpaczony, aż się doczekał Starszego, pochylił mu się do nóg i bardzo pokornie prosił o robotę.

— Baran przecież wie, że był ogłoszony okólnikiem po całej drodze, iż go zwolnili za kradzież, z zastrzeżeniem nieprzyjmowania do żadnych robót na kolei. Cóż ja wam, moi kochani, poradzę?...

Tomek nie odrzekł nic, tylko smutnie zwiesił głowę i powłókł się do chałupy.

— A ścierwy! ścierwy! ścierwy! — zaczął naraz krzyżeć i taka nim złość zatrzęsała, że łopatę potłukł i przyszedłszy do izby, Marysię wybił, Józka kopnął i, jak oszalały tłukł się po izbie, rwał sobie włosy, ale że mu to nic nie pomogło i wyczerpał się prędko, uspokoił się i znowu czekał.

Od księdza nie było żadnej wieści, dnię się wlokły strasznie wolno i strasznie głodno. Jednego wieczoru, po całodniowym poście, przyszło mu coś na myśl.

Dzieci płakały, a Józiek cicho się skarżył, że go coś gniecie pod pierściami i że mu jakoś we wąpściach piszczy, był rozpalony od gorączki, przez sen się zrywał, krzyczał i prosił o chleb.

— Nie płacz, synu, przyniesę wam jeść — powiedział Baran krótko. Wziął worek, siekiery i poszedł ku dworowi.

Brnął w śniegu po pas, ale doszedł do tych stodół, gdzie niedawno widział psy, wyprawiające ucztę. Szukał padliny — macał w śniegu nogami, to steliskiem siekiery, ale nie znalazł nic. Miał już odchodzić z niczym, kiedy dosłyszał ciche warczenie u szczytu budynku — tam poszedł.

Kilka psów rozrywało pomiędzy sobą owcę i warczało. Rozpędził je siekiery. Psy ustąpiły niechętnie, szczękając zębami na współzawodnika.

Tomek wybrał z tej owcy najmniej uszkodzone części, wsadził do worka i, zarzuciwszy go na plecy, zawrócił ku domowi.

Psy rzuciły się za nim ze skowytami; skakały mu do worka, rwały go za kożuch i docierały zajadle. Odganiał je siekiery i śpiesznie biegł, ale znalazł się pod śniegiem rów jakiś, w który wpadł. Psy skoczyły na niego. Wszczęła się krótka walka, z której wyszedł zwycięzcą — ale z porozrywaniem na plecach kożuchem, z przegryzioną ręką i okaleczoną twarzą.

Dwa psy wyły, tarzając się z bólu i znacząc krwią śniegi, reszta uciekła, a on pozbierał się ledwie i powlókł wolno do domu ze zdobyczą.

— Macie jeść — rzekł Marysi, rzucając worek na izbę.

Mieli co jeść, ale Józiek, jego dziecko najukochańsze, na drugi dzień po tym jedzeniu rozchorował się na dobre.

Leżał na łóżku czerwony, obrzękły, cały w potach i tak bezsilny, że głowy nie mógł podnieść. Tomek aż głową tłukł o ścianę,

zropaczony śmiertelnie o jedynaka, w końcu poszedł starać się o lekarstwa.

Pachciarz dworski, który różne medykamenta sprzedawał pokryjomu, dał jakieś proszki na kredyt, jak również nieco żywności. Proszki nic nie pomogły, bo już po nich, trzeciego dnia, Józiek leżał bezprzytomny i tylko coś bredził gorączkowo.

Tomek, jako po ratunek ostateczny, poleciał po starą Jagustynkę, która się znała na chorobach i, czy się komu zwił kołtun, czy go coś wewnątrz bolało, czy potrzeba było odczynić urok, albo przemierzyć przesunięte dzieci, wszystko to z równym szczęściem leczyła zażegnaniem, odczynianiem albo ziołami.

Przyszła z nim zaraz i aż się za głowę ujęła, zobaczywszy chorego.

— Loboga! temu tylko Pan Jezus pomóc może — szepnęła.

— Sprobujcie, babko. Lekujcie tego mojego parobka kochanego.

— Przemierzyćby go potrzeba, albo i okadzić i zażegnać... bo ja wiem co!...

— Wszystko róbcie, aby mi tylko nie zamarł chudziaszek. Loboga! taki sielny parobek. Na wiosnę byłby już do pasania — a taki układny, taki obserwant, taki dobry, loboga! — jęczał ze łzami Tomek.

— Jak Pan Jezus kogo miłuje, to mu niczego nie żałuje... Ale, Tomek, ojciec duchowny mi powiedzieli, żebyś ty zaraz szedł na stację; będzie naczelnik, przyjedzie oglądać te zaspę. Idź zaraz i telko nie bądź hardy, obłapiaj grzecznie za nogi i proś. Ksiądz przyjedzie później i pogada, tak mi powiedział.

— A chłopaka tak zostawić?

— Idź, chłopaka dojrzę, co będzie trzeba koło niego zrobić — zrobię.

— Dobraście, babko, że i rodzona nie byłaby lepsza.

— Ale! dlaczegoto miałabym być zła!...

— Insze kobiety nie mają takiego pomiarkowania.

— Bo insze widzą tylko swoich chłopów, dzieciska i kłopoty...

No idź już.

Tomek wprawdzie z pewnem ociąganiem poszedł na stację.

Stara przyniosła ze wsi ziół, siwy gliniany garnczek z pokrywką i zaczęła w nim coś warzyć. Jóźka rozebrała do naga i ułożyła go na środku izby — podesławszy mu snopek prostej słomy; leżał cicho i bez tchu, był nieprzytomny.

Potem wrzuciła do garnka trochę gromnicznego wosku i skoro się rozpuścił we wrzątku, zaczęła nim chłopca nacierać, mrucał coś niezrozumiale.

Dziewczyny zbiły się pod piecyk i z trwogą spoglądały na ceremonię.

Stara pozostałą od nacierania wodą odlała rodzaj trójkąta, w środku którego leżał Józiek, i przystąpiwszy do pierwszego kąta izby powiedziała głośno i z namaszczeniem:

— Czarnemu kapeczkę — białemu kwatreczkę! — Odlą krole w ką, a całym strumieniem chlusnęła na izbę. Powtórzyła to trzy razy. Potem wzięła glinianą pokrywkę, nałożyła na nią rozżarzonych węgielków, na to nasypała suchych bobków owczych, suchych kwiatów, zwanych »stulipysk«, pół wianka rosiczki, poświęconej w oktawę Bożego Ciała. Dmuchała dziewięć razy, aż się rozżarzyło wszystko i cienki strumień dymu popłynął w powietrze — wtedy zaczęła okadzać leżącego i szeptać jakąś formułę odczyniania.

Okadzała następnie ściany; wyszła na dwór i nie zważając na zapy, okrążyła chałupę trzy razy, nie odetchnąwszy i okadzając bezustannie.

Chłopak wciąż leżał wyciągnięty i nieruchomy. Ciało miał pokryte sinawemi plamami, obrzękłe, suche i świecące.

Jagustynka, wytarłszy go raz jeszcze wodą, okręciła w płachtę i położyła na łóżku, a później zajęła się dziećmi.

Tomek tymczasem już naczelnika zastał na stacji, zobaczył go spacerującego z dozorcą po olbrzymiej i wspaniale brudnej sali klasy III. Wyciągnął się zaraz przy drzwiach, niby struna, i czekał, bo dalej postąpić kroku nie śmiał.

A oni chodzili tam i z powrotem, tak zajęci rozmową, że nawet nie zauważyli jego wejścia. Ile razy przychodzili bliżej, tyle razy Tomek prostował się jeszcze sztywniej i otwierał już usta, ale jakoś prędko zawracali, że zawsze było za późno. Wreszcie, po długiej pauzie i czekaniu na sposobność, zebrał w sobie odwagę i powiedział stłumionym i drżącym głosem:

— Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika.

Nie usłyszał naczelnik, bo półgłosem mówił...

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę pana naczelnika, że i nam polityka Watykanu nie podoba się, a już te umizgi kuri rzymskiej do dzisiejszej Francji...

— Przepyszny kraj, przepyszny — szepnął naczelnik, wrzucając sobie w oko monokl.

— Kraj rewolucjonistów, masonów, ateizmu; kraj wiecznej anarchii...

— Tak, ale i kraj drugiego cesarstwa.

— Pan naczelnik skłania się ku temu, co się zwie Bonapartyzmem?

— Przede wszystkim, skłaniam się ku paryzmowi, ku monarchii Paryża nad światem — i uśmiechał się słodko do wspomnień i skubał delikatnie szpakowatą, iście senatorską brodę.

— Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika — powiedział znowu Tomek, ale nieco głośniej, bo się niecierpliwił i niepokój o Jóźka przejmował go coraz większy.

— Pan naczelnik bawił długo w Paryżu?

— Piętnaście lat. Mgnienie, powiadam wam, rozkoszne mgnienie. Zamilkł; dozorca kręcił sumiaste wąsy, a naczelnik melancholijnie spoglądał na własne paznokcie i okręcał monoklem.

— Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika! — krzyknął prawie Tomek, bo myślał, że tam Józiek może kona, tak ostrym przejęła go strachem, że już nie wiedział, co robić.

Naczelnik, usłyszawszy go, przystanął, wrzucił z precyzją monokl w oko i rzekł:

— Ha! cóż ty, bracie, powiesz?

Tomek rzucił mu się do nóg i gadał prędko i bezładnie:

— Dostałem dymisję, wielmożny naczelniku, wygnali mnie. Piętnaście lat służyłem i zostałem bez służby... do roboty nie chcą mnie wziąć... pięciorgo sierot zostało bez chleba... Przyszedłem się dopraszać łaski wielmożnego naczelnika... bieda tak mnie już zmogła, że i tchu złapać nie mogę... Na plancie wszystkie roboty znam... pocziwie służyłem...

— Panie naczelniku, to ten Tomek Baran, dróżnik, wydalony ze służby za kradzież żelastwa kolejowego.

— Nie kradłem, wiel... naczel... a wygnali mnie... Nie wzionem, jak na spowiedzi świętej mówię... Wygnali mnie sierotę... i lemeryture wzienny, strączkę z pensyi wzienny... kaucye wzienny... Zostałem bez niczego, jak ten palec.

— Mógł być pociągnięty do odpowiedzialności karnej — szepnął dozorca, obojętnie patrząc w okno.

— Widzisz, a toż zasłużyłeś, bracie, na więzienie, ha! — powiedział poważnie naczelnik.

— Przez co ja miałem iść do kryminału! Zabiłem to? ukradłem co? — zawołał żywo Tomek i aż zadygotał cały ze złości naglej.

— Z litości się to zatarło, bo ma dużo dzieci.

— Nie wsadzono cię, bo miano litość nad twojemi dziećmi, ha! Powinieneś być wdzięcznym, ha! — powtarzał wolno i uroczyście naczelnik.

— Przyszedłem się dopraszać sprawiedliwości. Pan dozorca przecież wiedzą, co mi urządzili. Pan dozorca sam...

— Denuncjacja! Zaraz pan naczelnik pozna nasz lud kochany.

— Denuncjanty my z dziada pradziada nie były, to i nie będziemy. Do oczów staje i powiem, jak było — a pietnaście lat strączki, choćby i bez procentów, nie daruję, jako i nie daruję kaucji...

— Nie dostanie składek emerytalnych, bo prawo jest wyraźne.

— Prawo jest to, co sprawiedliwe, a sprawiedliwa, rzecz wyznać niewinowatego!... sprawiedliwa, nie oddać pieniędzy, przez tyle lat z krwawicy odtrącanych! sprawiedliwa!... Do sądu choćby pójde dochodzić prawa, bo mi się krzywda stała! — wołał Tomek, unosząc się coraz bardziej.

— No, gadaj tu z chamem! Nie znasz instrukcji?

— Znam to, że instrukcje pisali dla siebie, a narodowi prawdę drogo borgują. Oszukiwać, to i parch albo drugi pies potrafi...

— Milczeć, chamie! Cóż ty, psiakrew! mordę tu będziesz rozpuszcząć i pyskować? — krzyknął ze szlachecka pan dozorca.

— Ukrzywdzony jestem, to i pyskować będę.

— Złodziej jesteś, bydlaku jeden.

— Ja złodziej! — ty ciarachu zapowietrzony, ja złodziej! — ty frybro! ja! — krzyczał Tomek, zaciskając pięści, i posuwał się bezwiednie naprzód.

— Szwajcar! za drzwi z tym chamem, a jak się nie uspokoi, do policji! Chodźmy, panie naczelniku. A bydło! czego z nim nie zrobi kijem, tego nie zrobi niczym.

Wyszli na peron.

— Już ja ci żebra, ciarachu, policzę, już ja cię przyrządzę, psie zapamiętały, aże cię frybra jangielska pokręci — szeptał Tomek i taki huragan gniewu i nienawiści zalał mu serce i mózg, że aż pot rześisty uperlił mu czoło, aż trząśł się cały w spazmie wściekłości i miał szaloną ochotę biec za dozorcą, chwycić go za gardło i bić... bić... bić... Rychło się jednak otrząsnął z tego uczucia, wyszedł ze stacji, i co tylko miał sił, leciał ku domowi.

W chałupie zastał sporo ludzi i Józka już konającego.

Chłopak, z gromnicą w rękę, leżał na wznak, wyprężony jak drzewo, i rzeżał, chwytając z trudem spieczonemi ustami powietrze.

Ludzi się naszło ze wsi i klęczeli koło łóżka, odmawiając za starym Andrzejem, kościelnym, litanie. Twarze były surowe, a w oczach tkwił wyraz spokojnej, jakby kamiennej rezygnacji. Dziewczyny, siostry konającego, zawodziły głośnym płaczem, i w całej izbie, pełnej żółtych gromnicznego światła refleksów, rozpoczął się tragiczny nastrój.

— Jezu Maria! Jezu Maria! — ryczał Tomek i ogłupiałemi oczyma wpijał się w twarz jedynaka, i targał sobie włosy z niemocy rozpaczliwej.

— Cicho, Tomek, cicho! Panu Jezusowi podoba się wziąć duszyczkę do swojej chwały, to i cóż ty, robaku marny, poradzisz na to? co?

— uspokajała go półgłosem Jagustynka.

— Syneczku mój, dzieciąteczko moje kochane, srybło moje i złoto!

— jęczał Tomek.

— Okadziłam, zmierzyłam — i nic... Wola Twoja, Panie...

»Od wszelkiej rozpaczy! —

szeptał drżącym głosem kościelny.

Wybaw nas, Duchu święty Boże«.

odpowiadały prędko kobiety, i ten szept głosów gorących, westchnień, płaczów, zdenerwowania, rozlewał się po izbie, niby żółty strumień, i powracał do konającego, który w glorii gromnicznego światła leżał, wyprężał się coraz sztywniej, usta otwierał szerzej i lewą ręką szarpał sukmanę, okrywającą mu piersi.

— O mój syneczku złoty! O moje dzieciątko kochane — ryczał Tomek. — Odchodzisz nas, robaku kochany, odchodzisz! Na ojcowe płakanie nic nie baczysz, żałośliwości naszej się nie litujesz, sieroty biedne nas zostawiasz!... i idziesz se, dziecino najmilsza, do Jezusiczka... o!... o!... o!...

— O bracie serdeczny, nie sierość ty nas; parobku najmilszy, nie odchodź ty nas, jęczała Marysia, podtrzymując mu gromnicę.

— »Od potępienia wiekuistego

Wybaw nas, Duchu święty Boże...

brzmiały znowu silniej głosy.

— Nie pognasz ty już krówków, parobku kochany. Nie wyciarachasz ty już za łeb siostrów, jedynaku, nie polecisz ty już na wieś. Nie będziesz sobie na wiosnę wypatrywać ptaszków, nie będziesz... nie będziesz...

— Tomek, nie płacz, Tomek, bo...

»Od nagłej i niespodziewanej śmierci

Wybaw nas, Duchu święty Boże«.

— A z rana to już wyrzekął: — Tatulu — powiada — ja nie zamrę. Tatulu, nie dacie mnie Kostusi. Tatulu, ja od was nie pójdę!... — i tak się skamlał, jak pies, co widzi zatracenie i śmierć. O biedne my sieroty, biedne! Czem ci, synu, ulżyć, czem!... A jego, biedaka, we wnętrzu cosik gnietło, bo się tylko za ten kochany kałdunek trzymał i postękiwał z boleścią... Paciorek z Marysią mówił, to mu po policzkach te lzy kochane ciurkiem się lały i tak się trząś w sobie, kiej osika!

Józiek przestał naraz rzeźić, otworzył usta w długim chrapliwym oddechu, drgnął cały gwałtownie, uniósł nieco głowę i, powłócząc błędnie oczyma po obecnych, opadł na poduszkę i wyciągnięty, wpatrzony szklanemi oczyma w pułap, z jakimś krzykiem okropnym na oniemiałych ustach — skonał.

Gromnica wypadła mu z rąk, palce się rozprężyły, twarz wypo-
godziła, i tak pozostał obojętny na wszelkie dobro i wszelką nędzę.

Podniósł się krzyk i płacz wstrząsający.

— Cichocie, ludzie — zawołała Jagustynka, otwierając drzwi narozścież — aby choć bez pacierz cichocie. Niech se duszyczka w cichości odleci, niech ją żałośliwość wasza nie odciąga od Jezusiczka.

Przyciszyło się istotnie, a wkrótce prócz starej rozeszli się wszyscy do domów.

Do samego pogrzebu Tomek tak się czuł zgnębiony biedą i rozpaczą po stracie jedynaka, że całe dnie przesiadywał pod piecem nieruchomy i apatyczny na wszystko; zawijał się tylko jakby we własną boleść i czuł, że jakaś żelazna ręka wzięła mu duszę i tak ją straszliwie gniecie, iż się poruszyć ani krzyknąć z nadmiaru bólu nie potrafił.

Za pogrzebem poszedł i tyle miał przytomności, że trumnę na wozie podtrzymywał, ale patrzył bezmyślnie na ludzi, na świat, nie słyszał prawie śpiewów, ani słów pociechy, jakich mu ludzie i ksiądz nie żalowali.

— To śmierć tak się we mnie rozpiera — pomyślał, wyczuwając jakąś dziwną ciszę w sobie i spokój, ogarniający mu duszę.

— Widzi mi się, że zamrę! — szeptał, powracając sam z cmentarza, bo ludzi zatrzymał ksiądz i mówił coś do nich gorąco, ale Tomek nie uważał, choć słyszał wymawiane swoje imię. Szedł samotnie i patrzył na pola olbrzymie, zasłane puchami śniegów, poznaczone gdzieniegdzie gruszami, to na jasne niebo, to w złotą tarczę słońca, i zdawało mu się, że to wszystko kołysze się z wolna, niby dzwon, i że to słońce bije w te czarne ściany lasów, niby we wręby spiżowe, i że jakieś słodkie dźwięki, podobne do chrzęstu zbóż dojrzewających, do szumu lasów w upały, do świegotania ptasząt w strzechach — ogarniają go, przepełniają mu mózg i duszę słodyczą wielką i kołyszczą, i kołyszczą coraz sennie, sennie...

— Widzi mi się, że zamrę — myślał, nie mogąc sobie zdać sprawy z tego, co się w nim działo.

Przyszedł do chałupy, usiadł na dawnym miejscu i nic nie wiedział, co się wkoło niego robi. Walczył z życiem, jak mógł i umiał, ten ostatni cios wyczerpał go już zupełnie: już wiedział, że nie poradzi sam, że musi zginąć, więc mu się już wszystko stało obojętnym, z rezygnacją kamienną pochylił głowę i poddał się losowi. Nie myślał ani o sobie, ani o dzieciach pozostałych, ani o niczym — czekał jakiegoś końca.

Słyszał, że kilkanaście osób weszło do izby, że chodzą koło niego, że coś mówią — ale nic nie rozumiał. Położył się na ławie plecami do izby, kożuch naciągnął na głowę i tak leżał martwo.

— Kumie! — zaczął przybyły z drugimi Czerwiński, widząc, że Tomek jakby nie wiedział o ich przybyciu. — Kumie! że wam dolega, to jest prosta rzecz.

Tomek odwrócił się nieco i tępym, zagasłym głosem powiedział:

— Pewnikiem zamrę, to śmierć się tak we mnie rozpiera.

— Kumie, grzeszne myśli macie. Słuchajcie ino, co wam Czerwiński powie. Przyszliśmy tutaj z dobrej woli, aby was pocieszyć i zapomóc, jak kto może. Biednyś ty, Tomek, i poczciwy, ale hardy jesteś. Do panów poszedłeś prosić o wspomnienie, a my bliższe przecie. Juścik, że się nikt pierwszy wam nie wydzierał z pomocą, bo każdy ma swoją biedę, co go żre, babę, co mu nade łbem klekoce, i swoje kłopoty — ale nie ma mięsa przez kości, a człowieka przez litości... Miarkuj se tylko, że ci tak Czerwiński rzekł... Czekaliśmy, aż przyjdiesz i powiesz, jak do bratów: Dajcie, wspomóżcie! Biedę mam, dajcie, czy na odrodek, czy na bórg, czy za Bóg zapłać; dalibyśmy, bo wiemy, żeś ukrzywdzony i biedny. Swojaki jesteśmy i krześcijany, a tylko małpa małpie łysty szarpie, a człowiek za człowiekiem powinien trzymać. Zmówiliśmy się, i co kto mógł, przyniósł. Weź, Tomek, i niech wam będzie na zdrowie.

— *In secula seculorum ament* — zakończył pobożnie kościelny.

Kobiety zaczęły węzełki rozwiązywać, zapaski rozkładać, koszycki otwierać — i kładły obok Tomka, co która przyniosła: to chleba bochen, to kartofli, to kaszy, to mąki parę kwart, to soli zielonej grudę, to bedłek wianuszek, to słoniny pasek, to serek suszony, a Jagustynka położyła na ostatku związaną kokoszkę.

— Nieśna, Tomek, jajka będą, to i kurczątką będą na wiosnę — rzekła.

A Tomek uniósł się na ławie, patrzył po wszystkich, słuchał, dziwował się i powoli zaczęło mu coś w sercu drgać i jakaś słodka

gorącość przenikała go całego i w gardle zaczęło go dusić coraz bardziej, że już nie mógł wytrzymać, tylko ryknął ogromnym płaczem.

— Braty kochane, ludzie krześcijańskie, czym ja wam odpłacę! — szeptał przez łzy, ale mu nie dali więcej mówić, tylko go sobie brali w ramiona i całowali, a on oddawał uściski, starszym chylił się do nóg, dziękował, i trzęsło się w nim wszystko z rozrzewnienia.

— Dobrocią odpłacisz, albo i pacierzem — rzekł poważnie Czerwiński.

— *Dominus vobiscum ament* — dorzucił kościelny.

— Jeszcześmy, za poradą dobrodzieja, postanowili, co aby ci lżej było przezimować, to do wiosny Józwę wezmę ja, Marysię — Kłąb, Jagusię — Gulbas, a Ankę — Boryna, dziewczuchom się u nas żadna krzywda nie stanie, a ty sam prędzej się zapomóżesz. Jagustynka powiedzieli, że się do ciebie sprowadzą, jako żebyś warzę miał i dogład kobiecy.

— Zostanę u ciebie, Tomek, sierotą też jestem, nie objem cię, sama coś niecoś zarobie, a zawsze mi pod chłopską opieką będzie lepiej.

— Laboga! ludzie, ady od tej waszej dobrości to mam w sercu jako wiosnę.

— Sfamuliłeś się ty z biedą, że cię potrzeba od niej przez moc odrywać.

— Z czyjego woza, to zsiadaj choćby i na pół morza.

— *Ora pro nobis Domine ament* — zakończył kościelny, wyjął z kieszeni flaszkę z wódką, chrząknął, nalał w kieliszek i zaczął:

— Gospodarze, jako na ten przykład, mówi Pismo święte: *Ave marysteli deo gratias ament...* — i wypił do dna. — Jako jest dobrze kusztyciek gorzałki wypić, coby odegnać te złośliwe humory z wątroby, tak wy, Tomku Baranie, pijcie, a potem zmówmy paciorek na intencję ś. p. Józefa — i *mea culpa, mea maxima culpa ament*.

Posiadali, gdzie kto mógł, popijali nieco gorzałką z tej żałośliwości, przegryzali chlebem, pośpiewywali nabożne pieśni za zmarłego i rozeszli się.

Zaraz na drugi dzień poprzychodziły kobiety po dziewczyny.

Ciężko było Tomkowi rozstawać się z nimi, bo płakały, padały mu do nóg, prosiły, żeby ich nie dawał do ludzi, ale Baran się zaciął, więc tylko szorstko krzyknął:

— Idźta, bo was spiere, jak nieboskie stworzenia!

I jak tylko powychodziły, na cały dzień poszedł się włóczyć po lesie.



Zima zaczęła łagodnieć, przyszedł wielki odwilże i zginęło tyle śniegu, że w lesie rozlegał się ustawiczny huk siekier, rąbiących sągi.

Tomek codziennie chodził do roboty.

Przykrzyło mu się za dziewczynami, szczególnie wieczorami, kiedy przyszedł z roboty i, choć kolacja zawsze była gotowa, ale mu było brak tych dziecinnych głów naokoło miski i szczebiotu Jóźka.

Czasem dziewczyna która przyleciała ze wsi, posiedziała chwilę czasu, naopowiadała o swoich dobrodziejach, o jadle, o szmatach — i rwała się z powrotem, bo jej już tęskno było za wsią i za ludźmi, a ta odrapana, nędzna chałupa razila po trochu. Rozumiał to dobrze Tomek, bo raz po odejściu Marysi rzekł do Jagustynki, która, co tylko jej zostało czasu od mizernych zajęć gospodarskich, to wciąż przędła len, gremplowała wełnę, albo motała przędzę w parniki.

— Nieboszczyk mój kochany nie odszedłby tak ode mnie, nie. Dobre są dziewczyny, jako i te moje, ale zawždy — tylko dziewczyny — i machnął ręką.

— Prawda, kobieta sama jestem, ale powiem, że co chłopak, to chłopak. Na rozpustę juścić on jest prędszy, ale i do roboty prędszy. Żeby był taki, jak Marysia, to na koleiby nie zarobił, co?

— Juści żeby zarobił, bo choć mnie dać roboty nie chcą, ale jemu by dali.

I zaraz z tego zaczął sobie przypominać niedolę swoją i krzywdy, a w końcu zapytał starej:

— Dlaczego to, babko, jest, że, choć my z panami jedni i mową i wiarą, a wrą na nas, kieby psy, pocziwego słowa nie dadzą, jak mogą ukrzywdzić, to ukrzywdzą — i wszystko one mają albo żydy?

— Dlaczego? Diabelskie urządzenie to jest, nic więcej. A przez co diabeł trzyma duszyczki w smole, gdyby konopie we wodzie? — zapytała, puszczając na tok wrzeciono.

— Widzi mi się, że przez to, bo dusze grzeszne są.

— A naród głupi to nie grzeszny?

— A to czemu głupi?

— Ale! aby każdy wiedział, jak? co? la czego? Nie trzymałby go nikt za łeb, kiej piskorza, nie gniótlby po piersiach, jak wieprzka przy zabijaniu — nie.

— Źle jest.

— Musi tak być, kiedy jest.

— Pewnie. Nie chłopska głowa zrobi lepiej.

— Nie robi i insza, choćby była taka uczona, jak ksiądz, albo drugi ojciec święty.

— Tylko?

— Tylko samo się zrobi, jak czas po temu nadejdzie. Miarkuj sobie tylko, czemu to w kopania nie sieją owsa?

— Ano, nie pora przecież siać owies na zimę.

— Czemu na Gromniczną z pługiem albo broną nie wyjdiesz w pole? Czemu owieczków nie strzygą w zapusty? — Bo na to nie pora, bo na wszystko Pan Jezus swoją porę, swój czas wyznaczył. Miarkuj sobie tylko, jakie to wszystko Boskie urządzenie jest.

— Prawda, babko, miarkuję sobie, ale mi ckno, że, choćby człowiek naprzód chciał dostać jakiej dobroci, to nie można.

— Ale! chceć każdy zawsze powinien, jak i pilnować swojego czasu. Czas przyjdzie na wiosnę sadzić ziemniaki, siać owies, — to nie chciej sadzić, nie chciej siać — będziesz miał co jeść w kopania, będziesz miał co zbierać, jak pora przyjdzie zbierania?

— Prawda, babko, prawda, ale wy też pomyślenie mądre macie — laboga.

— Każdy powinien mieć pomyślenie za siebie i za drugich, bo przecież za ludzi nie świnie będą myśleć.

— Prawda, babko, prawda!

Tak sobie rozmawiali w długie wieczory marcowe Tomek Baran ze starą Jagustynką.



— LEGENDA WIGILIJNA —

...Szedł Pan Jezus ze św. Piotrem i Judaszem, gdzieś od Ujazdu ku Piotrkowu.

Dawno to było, bardzo, bo gdzie teraz sucho — wody były, a gdzie teraz pola — lasy były i takie pustki, że co mila to wieś, a co druga — dwór pański stał.

Pan Jezus całkiem przemarzył, jako że obleczenie miał mizerne i mróz był siarczysty, bo to było w wigilię Bożego Narodzenia.

Jeść im się chciało, a tu ani chałupy, ani karczmy, ani człowieka nigdzie, tylko bory a pustki. Posiadawali sobie z utrudzenia co staże, ale zaraz szli, bo wilcy i drugi zwierz dziki chodził stadami za nimi i wyl, aże skóra cierpła.

Św. Piotr wyłamał sobie niezgorszy kijaszek, a Judasz wziął kamień w garść, ale Pan Jezus im na to rzekł:

— Nie bójta się ludzie, Ja jestem z wami...

Św. Piotr i Judasz się nie bali, ale zawsze co zwierzak zły, to zły, a z kijaszkiem albo z kamieniem w garści, przezpieczniej i śmielej człowiekowi iść.

Pod wieczór doszli do jakiegoś dworu i myśleli, że się tam ogrzeją i pożywią, ale dwór miały Niemcy, które ich wyгнаły za wrota na bory, na lasy.

Św. Pietrza taka złość ścisnęła, że chciał kijaszkiem choćby ino raz Niemca lunąć przez łeb, a Judasz gadał:

— Takim zły, Panie, takim zły, że choćby tę kokoszkę, co siedzi na płocie, wziąć — to wezmę.

Pan Jezus im na to:

— Scierzpcie... Ludzie są ciemne i dlatego głupie i złe. Tylko mała małpie plecy szarpie, a człowiek za człowiekiem powinien stać i pomagać, jeszcze tak będzie na świecie.

Ruszył przodem i coś gadał po cichu do siebie, a oni za nim szli... szli... a mróz był coraz większy i jeść im się chciało coraz bardziej. Szli... szli... aż i napotkali karczmę.

— Wejdziem — rzekł Pan Jezus — pocziwe ludzie dyć są na świecie.

— Panie! — odповіe św. Piotr — ale ja już nie mam ani grosika.

Pan Jezus obszukał koło siebie i nic nie znalazł. Zafrasowało się serce Pańskie, ale mówi:

— Nie mam i ja. Może ty, Judaszu, co masz, to pożycz.

— Mam złoty! — a miał dwa, ino, że mu było żal pożyczyć.

— Daj! kiedy więcej nie masz i ten złoty.

Pan Jezus przecież wiedział, że on cygani.

Judasz samą koprowiną wysupłał 28 groszy, daje i powiada:

— Podziały mi się gdziesik dwa grosze... — bo sobie myślał, że choćby dwa grosze mniej straci.

Pan Jezus pieniądze wziął i zaraz do karczmy weszli.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki! Witajcie ludzie, a skąd to Pan Bóg prowadzi?

— Ze świata, moja pani karczmarko, ze świata. Zziębliśmy, głodniśmy, może nas pani czym pokrzepi... bo ledwo dech się w nas tłucze z utrudzenia.

— Chleba nam pani dajcie — rzecze św. Piotr.

— Nie ma.

— No to choćby samego syra, abo kiełbasy...

- Nie ma moi ludzie...
- Może pani mają choćby z miseczkę kapusty abo i kartofli?
- Nie ma nic, bo przed wami jakieś ludzie byli i zjedli wszystko do ździebka.
- A gorzałkę macie?
- Gorzałka to jest, ale tylko prosta śmierdziucha, bo śpytu i słodkiej zabrakło.
- Może się napijecie? — pyta Pan Jezus.
- Judasz jeno splunął, a św. Piotr rzeknie:
- I... półkwaterek jaki by nie zawadził, bo aże mi we wąpiach piszczy i na duszy już mi całkiem ckno.
- Śledzie może są? — powiada Judasz, bo żółtek łasy był na rybki!
- Nie ma śledziów.
- Cóż ja wam biednym poradzę! — narzeka Pan Jezus.
- Żebyście zapłacili, to znalazłaby się gąska może...
- Zapłacimy rzetelnie — powiada Pan Jezus. — Moiściewy, a to dajcie tę gąskę, zobaczymy i stargujemy.
- Karczmarka przyniosła z komory gęś.
- Najpierwszy obejrzał Judasz, jako że on przedtem był handlarzem i człowiek był znający — ale tylko gąskę zważył w rękę, dmuchnął jej w piórka pod brzuch i powiada:
- Chuda!.. całkiem chuda, niby wiór. Mnie jednemu by starczyła, ale na trzech, na jeden ząb.
- Św. Piotr ino się drapał po głowie, bo jemu samemu by nie starczyło.
- Upieczcie ją pani — kazał Pan Jezus, a potem mówi do nich:
- Prawda Pietrze, że na nas trzech za mało?
- Za mało Panie, żeby tak do niej z grzeczną miseczkę, abo i dwie kapusty, z bochenek chleba, toby na okrasę było dość, ale tak...

Pan Jezus pomyślał i rzekł:

— Zrobimy tak: teraz pójdziemy spać, to się głód trochę oszuka, a przez ten czas gąska się upiecze, a jak wstaniemy, to ją zje ten, któremu się będzie śniło najlepiej.

Pokładli się zaraz na przypiecku i posnęli.

W jaką godzinę, czy dwie Pan Jezus przecknął.

— Wstawajcie!... a co ci się śniło, Pietrze?

— Śniło mi się, Panie, jakobym był twoim włodarzem, że i klucze miałem od gumien i łaskę, i chałupę swoją miałem, i żem ci, Panie, służył wiernie.

— Dobrze, dobrze, będziesz, parobku kochany, włodarzem moim

— rzeknie Pan Jezus i ścisnął świętymi rączkami Pietrzową głowę.

— A mnie się śniło, że byłem już w niebie, bo na świecie nie było już ani złych, ani ciemnych, ani biedaków; bo już wszystkie chłopy miały grunty, i wszystkim ludziom było do cna dobrze.

— Twoja gęś, Panie, bo ci się śniło lepiej — odpowie św. Pietrz, i chociaż go mroczyło z głodu, markotności nie miał w sobie.

— A tobie, Judaszu, co się śniło? — zacznie Pan Jezus słodziutko, pozierając na żółtka, co się zwłókl dopiero z przypiecka, a oczy tarł, a poziewał.

— Mnie się, Panie, śniło... że wstałem we śpiku i gąskę zjadłem...

— odpowie cicho i ślepiami wierci podłogę.

— Jużci... niezgorzej ci się śniło, niezgorzej... Gospodyni, a dajcie nam tę gąskę.

Karczmarka przyszła i powiada, że ten żółtek gąskę zjadł, że nawet kosteczków dla psa nie zostało.

Pan Jezus spojrział miękko na Judasza i powiada:

— Śniło ci się, żeś zjadł gąskę — Judaszu? całkiem dobrze ci się śniło...

— Śniło mi się, Panie — odrzeknie cicho — a nie patrzy, tylko skubie tę swoją żółtą brodę.

— Śniło ci się... to już sobie tu zostań, Judaszu... Śniło ci się, to niechże ci się przyśni jeszcze, żeś zjadł gąskę i z kapustą i w kompanii, a my pójdziem Pietrze, poszukamy takich, co nam jeść dadzą i nie ocyganią.

I poszli we dwóch.

I dlatego to teraz naród polski wigilie bardzo obserwuje, a żydy i jensze heretyki — nie.



— SZCZĘŚLIWI —

- Będą pon pili arbatę, to zarno zrobię?
- A gdzie to Mateusz, że ty za niego?
- Pon go przecie zwolnili, i poleciał do kobity na święta.
- Prawda. Duży tam mróz?
- Sielno skrzytwa; ino się śnig łyśni, a mróz scypie kiej pies!
- odpowiadała młoda dziewczyna, prawdziwy typ chłopskiej piękności, bo wysoka w miarę, rozrosła, rumiana niby miesiąc na nowiu, o regularnych rysach twarzy i wielkich, mocno modrych oczach.

Poprawiła sobie czerwonej chustki na głowie i dziobała pogrzebaczem drwa w kominie, nie śmiejąc mówić więcej, tylko spod oka rzucała spojrzenia na siedzącego pod oknem. Patrzała się z jakąś pokorą i żalością na jego twarz pochyloną, suchą, i jakby zamgloną smutkiem. Była to twarz jeszcze młoda, ale o wyrazie zupełnie biernym i nawet mazgajowatym, i napiętnowana zmęczeniem. Niebieskie, jakby wyblakłe oczy, świeciły jakoś sennie, ociężałość miał w ruchach i zniechęcenie.

— Marcysiu! to zrób mi herbaty — odezwał się po długim milczeniu i spojrzął na nią.

Dziewczyna spuściła oczy i zakrzątnęła się żywo koło samowaru.

— Ojciec jest?

— Nima. Tatulo pojechali do miasta kupić coś niecoś na świnta.

— To dzisiaj wigilja? — zapytał znowu.

— Juścić ze wilija. Pon jadą dzisia do swoich?

— Jadę, muszę się nawet śpieszyć.

Podniósł się i zaczął chodzić po izbie.

— Mam urlop, pojedę — myślał, zataczając koła po glinianej podłodze. — Pojadę... święta... pojedę... — i stanął nagle na środku izby.

— Aha, do Józka pojedę, przecież mnie prosił! — odpowiedział sobie i zabrał się do picia herbaty.

Pił śpiesznie, prawie gorączkowo się ubierał i co chwila spoglądał na zegarek. Wyszedł przed dom, ogarnął wzrokiem niebo i ziemię i zawrócił na drugą stronę chałupy, do swoich gospodarzy, u których mieszkał i stołował się nawet.

— Zostańcie z Bogiem, Wawrzonowa! — powiedział, wyciągając rękę.

— Niech pon jadą z Bogiem! — odpowiedziała stara kobieta i, obtarłszy fartuchem rękę, ścisnęła nieśmiało jego dłoń.

— No, bądź zdrowa, Marcysiu!

Dziewczyna pokraśniała i chciała go na pożegnanie pocałować w rękę, ale on szybko schował ją poza siebie.

— Kiedy pon przyjadą? — zapytała Wawrzonowa.

— Dobrze jeszcze sam nie wiem, ale pewnie na święty Szczepan. No, zostajcie z Bogiem!

— Panu Bogu oddaję, szczęśliwa droga! — odpowiedziały obie, pochylając się w ukłonie.

Mróz go na dworze owionął siarczysty, aż się skrzyły śniegi i migotały w słońcu, a osędzielina pokrywała srebrnymi puchami drzewa, płoty i trzęsa się niby cienkie włókna pierza na słomianych dachach. Druty telegraficzne, ciągnące się zaraz za Wawrzonową chałupą, równoległe z linią drogi żelaznej, wyglądały jakby

skręcone z grubych kłaków bawełny i brzęczały przytłumionym, rozlazłym jękiem.

Wszedł na plant i zaraz na przejeździe zastąpił mu drogę dróżnik.

— Może mnie pan zwolni na pasterkę? żona me zastąpi na przejeździe — prosił pokornie.

— Dobrze.

— Prose pana, kropatwy dwie zabiły się o druty, Płoszka je znalazł i przyniósł.

— Zanieście je do mnie i powiedzcie, żeby je Wawrzonowa powiesiła na mrozie.

Poszedł plantem. Śnieg zaścielał białą powłoką i pola, i rowy, skarpy i plant, tylko wyrzynały się z niego cztery błękitnawe, błyszczące się nici szyn, biegnące prosto. Drzewa i krzaki rosnące ponad koleją, gięły się pod grubą warstwą śniegu.

Pustka była wokoło: z trzech stron zamykały horyzont mury lasów błękitnawych szerokimi liniami, a z czwartej majaczyły z odalenia wioski, jakby przypłaszczone pod ciężarem śniegu. Cisza była ogromna w powietrzu. Wrony tylko tłukły się po plancie za pożywieniem i zrywały się z krzykiem, albo czasami stadko kuropatw wznosiło się z ćwierkaniem i zapadało na kamionki olbrzymie, porozrzućane po polach, niby stogi. Szedł prędko, bo do stacji miał pełne pięć wiorst. Mijał czerwone domki dróżników, gęsto stojące, dróżników będących na służbie, i wybiegał niecierpliwie oczyma naprzód. Pociągi towarowe przebiegały obok niego tak cicho, jakby nie dotykały szyn, tylko płynęły w powietrzu, rozsnuwając za sobą długi, skłębiony i zaróżowiony obłok dymów, wiszących niby chmura w powietrzu spokojnym.

Przyszedł na stację zmęczony, ale do osobowego miał jeszcze godzinę czasu.

W kancelarii zawiadowca zastał tylko dyżurnego przy aparacie telegraficznym.

— Co, sam pan jesteś? — zapytał po przywitaniu.

— Pojechali wszyscy na opłatek do Witkowskiego; na osobowy wróć.

— A! na opłatek... — szepnął, siadając na szeszlągu.

Siedział milcząc, ale po długiej chwili zapytał się w duchu: »Właściwie, dokąd ja pojedę na święta? dokąd?«

Przed miesiącem prosił go jeden z kolegów do siebie na święta; miał jeszcze napisać, ale nie napisał. A on tak się szykował, tak sobie obiecywał po ludzku tam je spędzić — i nie uważał, że ten kolega nie ponowił zaproszenia listownie, tylko się postarał o urlop i teraz miał jechać — ale poczuł jakieś wahanie, niepewność, i rodzaj wstydu go przejął.

— Dlaczego on nie napisał? — myślał z coraz większą przykrością.

— Może nie chce...

— Prose pana! Stare państwo z paninkamy przyjechały, niech pon idą.

— Panie Stanisławie, zastąpcie mnie przy aparacie na chwilę; skoczę do domu, przywitam się, podzielimy się opłatkiem, i za chwilę będę z powrotem — prosił telegrafista.

— Dobrze — i zaraz usiadł przy aparacie.

— Dobrze, ale dokąd ja pojedę na święta? do kogo? — szeptał do siebie, i z wolna jakiś tępy ból osamotnienia przesączał się do duszy. — Dokąd ja pojedę na święta? — i leciał myślą w świat, ale nie było takiego punktu, gdzie by się mógł zaczepić, nie było takiego miejsca, gdzie by mógł pojechać, nie było takich dusz, które by go oczekiwały. Nic, pustka zupełna.

Aparat zaczął gwałtownie przywoływać. Dał znak, że jest, wyciągał papierową wstęgę i czytał: »Serdeczne życzenia wszystkim z Bolimowa«.

— Może Józiek prosił mnie tylko, ot tak sobie, przez grzeczność... — myślał.

»Bagaż, przybory do choinek Nr. 1247, przywieziono Nr. 112. Zatrzymać i odesłać« — wołał znowu aparat. Stanisław czytał, zapisywał, odpowiadał, ale czuł w mózgu coraz boleśniej, że nie ma dokąd jechać — i myślał z goryczą, że wszyscy się jednoczą dzisiaj, że tyle serc czerpie szczęście w tym dniu z ognisk rodzinnych, tylko on jeden jest sam, zupełnie sam, poza obrębem radości i wesela tego dnia uroczystego.

»Co jest wagonów osobowych, przyłączyć do pociągu Nr. 7« — krzyczał znowu telegraf.

— Dopiero tam tłok! Na święta jadą wszyscy — myślał z jakąś cichą zazdrością, ale znowu aparat stukać zaczął: — »Mamusiu! koni moc, przyjeżdżamy popołudniowym całą bandą. Hela, ciasta, sprawunki z nami — Władek«. Przepisał ten telegram i zaraz go przez umyślnego wysłał. Cicho się zrobiło w kancelarji, tylko zegar cykał monotonne: tik, tak! tik, tak!

— Mamusiu, mamusiu! — powtarzał z pewną lubością Stanisław, a w duszy jakby mu się naprężyła struna jakiegoś żalu i drgała słabo, ale boleśnie...

Wpadł telegrafista, twarz miał rozpromienioną radością, opowiadał mu prędko o swoich i zabrał się do roboty. Kubicki usiadł znowu na szezłagu i milczał.

— Osobowy wyszedł — rzucił telegrafista.

Kubicki ostemplował sobie w kasie bilety i poszedł na peron.

Pociąg przyszedł, i cichą stację zalał gwar, bo masy ludzi wysiadły, i drugie tyle czekało na peronie. Kubicki przyglądał się gorącym przywitaniom, pocałunkom, słuchał radosnych okrzyków i zaciął mocniej jeszcze usta i wszedł do pociągu. Pociąg był literalnie zapchany. Przechodził wagony, ale wszędzie był tłok nie do opisania. Wszędzie pełno było kobiet, dzieci, tobołów, paczek, twarży uśmiechniętych, postaci wyświętaczonych i gwaru. Wszyscy rozmawiali, i ze wszystkich oczu biła radość, i wszystkie usta śmiały się w oczekiwaniu.

Zatrzymał się na balkonie ostatniego wagonu i kiedy już pociąg ruszał, zeskoczył i nie pojechał.

— A niech to pioruny! Pies ma choć budę i gospodarza — a ja... — syknął ze złością, poszedł do bufetu i pił kieliszek po kieliszku.

Przychodzili tam różni znajomi, witali się, zamieniali po kilka słów obojętnych i odchodzili; on siedział wciąż, bo miał jakąś ukrytą na dnie serca nadzieję, że może go który zaprosi do siebie na wigilję — ale nikt nie prosił.

Słońce się już zaczerwieniło od zachodu, gdy się on podniósł, kupił jeszcze w bufecie butelkę wódki i różnych drobiazgów i powlókł się z powrotem do domu. Nad śniegami mżył się mrok, w głębiach drgały opale, zachód był powleczony złotem i purpurą, gdy dochodził do swojej siedziby. Nie zważał na nic i nic nie widział... prócz tego, że jest sam na świecie.

Patrzyli się na niego Wawrzonowie zdumieni, ale nic nie rzekł, tylko wziął klucz i poszedł do siebie. Rzucił się, jak stał, na łóżko, i leżał. Godziny się wlokły leniwie, a on leżał i nie mógł sobie dać rady z bólem, nie mógł przemóc ogromnej tęsknoty i żalu, jaki nim szarpał. Wił się na tym łożu w męce, wyciągał ręce jakby po ratunek, zebrał spalonymi ustami zmiłowania jakiego, ale męka trwała,

sieroctwo trwało — a zmiłowania nie było. Jakiś zielonawy, pełny czerwonych refleksów mrok wlewał się do izby przez zamarżnięte szybki i pogrążał wszystko jakby we własną niepamięć, a jemu zaczęły snuć się we wspomnieniu całe lata tułaczki, fragmenty życia przeszłego, wieczna nędza — człowieka bezdomnego, przerzucanie z kąta w kąt kraju, i ten ostatni, czteroletni pobyt na kolei. Od czterech lat wisiał przy drodze żelaznej na nędznej dla wszystkich posiadzie starszego robotnika, ale dla niego było to błogosławione miejsce, bo cztery lata tutaj przesiedział spokojnie, i zdawało mu się, że już przestał go trapić los zawistny. Dobrze mu było tutaj. Zżył się z chłopami i chłopiał sam bardzo prędko, unikał kolegów, miasta, nie wyjeżdżał nigdzie, bo co prawda, nie miał i do kogo. Myślał tylko czasami ze strachem, że mogą go stąd wziąć i wysłać na drugi koniec linii. Chłopi otaczali go życzliwością, bo dobry był dla robotników i sam się zresztą garnął do wsi i do ludzi wiejskich. Zapomniał po trosze o innym świecie, i innych ludziach, i o swej samotności, dopiero dzisiejszy dzień rozdrapał mu przyschłe rany i przejął go głębokim bólem świadomości, że jest sam na świecie, że nie ma ani rodziny, ani przyjaciół, ani jednego serca życzliwego... Sam!

Myśli mu się rozbiegały w świat, jakby szukając serca i duszy bliższej, ale spadały niby struny zerwane gwałtownie, że aż jęczał ciężko... Sam! Zaczął chodzić po izbie, żeby przytłumić wzruszenie i rozpałał się wewnątrz łzami, co mu zalewały serce taką ostrą, gryzącą falą cierpienia, że aż jęczał i chwycił się za piersi, bo mu zdawały się pękać od łkania... Męka trwała wciąż i trzęsła nim, odbierając prawie przytomność.

Węgle dogasały w piecyku, mrok wieczoru zapełniał izbę jakby szmaragdowym pyłem, a przez okienko widniał rozległy, mroźny świat, stojący w wielkiej ciszy i spokoju.

— Sam! sam jeden na świecie, bezdomny, jak pies! A niech to pioruny zatrzasną! a niech!... — zakrzyknął prawie głośno i poczuł taki nagły przyływ bólu osamotnienia, taka rozpacz go przejęła bezgraniczna, że upadł na łóżko i zapłakał ogromnym, męskim płaczem, co to serce rwie kawałami, pali jak ogień i boli, boli, boli.

Cisza była dokoła i szarota, tylko ten spazmatyczny płacz rozdzierał powietrze krwawą smugą beznadziejnej rozpacz i płynął ogromną skargą w nieskończoność.

— Panusiu! — szepnął cicho Wawrzon.

Kubicki porwał się z łóżka i patrzył na chłopca nieprzytomnymi oczyma.

— Może pon do nos pódą na wilije, już tam kobita nasykowała, co mogła, przecie pon nie pogardzi... przecie zawdy mili choćby z chłopamy kiej samymu.

— A... dobrze... dobrze... — nie mógł więcej nic powiedzieć ze wzruszenia, jakie go ogarnęło.

— Poczciwi, dobrzy... — myślał z serdeczną wdzięcznością i poszedł na drugą stronę.

Marcysia stała przed sienią i wyglądała pierwszej gwiazdy.

Cisza... Niebo pogodne i przysłonione zwojami mgieł, przestrzeń biaława majaczeje nieobjętym ogromem. Z okien chałup biją łuny; czasem żóraw zaskrzypi przy studni, zachrupocze śnieg pod nogami, albo gont lub płot trzaśnie na mrozie, i znowu cisza, rozlewająca w sercach spokój słodki.

— Hej! jak tu dobrze, przestronno i spokojnie, hej!

— Już są gwiazdy — szepnęła Marcysia, wchodząc.

Wawrzon z opłatkami na talerzu podszedł do Kubickiego. Zaczynają się łamać, postacie się chylą, ramiona się obejmują,

usta szepczą, a w oczach błyszczą rozradowanie dusz wierzących i pobratanych.

Snopek żyta stał w kącie, a na białym przykryciu stołu postawiła Wawrzonowa miski z kartoflami i barszczem na grzybach. Dzieci sprawiały się cicho, bo na wszystkich twarzach leżało religijne namaszczenie. Po barszczu z kartoflami, Marcycha podała śledzie opiekane w mące na oleju, grzyby smażone, kapustę ze śliwkami, potem kluski z makiem, a na ostatku racuszki na oleju, bo chłopcy w wigilię nie używają nabiału. Wszyscy jedli dosyć łapczywie, tylko Kubicki nie mógł przełykać, tak go dusiło rozrzewnienie.

— Proszę panusia, toć nie honor ostawiać na misce! — prosił Wawrzon.

— Nie ślacheckie to jedzynie, ale z dobrego serca, to muszą pon przyjąć — dodała stara.

— Dziękuję, nigdy wam nie zapomnę, że jesteście tacy dobrzy!...

— A bo i pon lo nos taki, że i rodzony nie byłby lepszy i miłszy. Pon już całkiem swojak.

— A bom i swojak, człowiek jestem taki, jak i wy, i lepiej mi pomiędzy wami, lepiej...

Zamilkł, ale było mu coraz cieplej i coraz zaciszniej; gorycz, żal, osamotnienie odchodziły gdzieś na lasy, a on czuł, że mu teraz bardzo dobrze, że jest jakby z rodzonymi i serdecznymi... Ten świerszcz, ćwierkający za kominem, ten stół, ci ludzie, ten nastrój, ta cisza wokoło, przerywana tylko trzaskaniem płotów i skomleniem psów, hukiem przebiegających pociągów; te oczy rozradowane i dusze pełne dobroci, — wszystko to przywodziło mu na pamięć dawne jakieś obrazy rodziny, dzieciństwa, i przenikało go czułością melancholijną.

Przyniósł im od siebie herbatę, cukier, wódkę, co tylko miał w zapasie.

— Bierzcie, moi kochani, bierzcie, szeptał, czując, że duszę by im dał, gdyby zechcieli.

Potem Marcycha zaczęła czytać z Historii Świętej o Narodzeniu Pana Jezusa.

Wawrzonowa szykowała herbatę, a gospodarz pykał z krótkiej fajeczki i kołysał nogą kolebkę z najmłodszym.

— Loboga! Jezusie nosłodszy! — szeptała kiedy niekiedy Wawrzonowa, załamując ręce. — O bidota serdeczna, o Paniątko kochane, na słómie, w oborze się urodziło! Taki król i w mizeracji!

Kubicki słuchał tylko i rozmarzał się coraz głębiej. Nie drażniły go ich twarze, naiwne wykrzykniki, stroje proste, ani chropowate czytanie Marcysi, którą sam czytać nauczył, nic, czuł, jakby tu wzrósł pomiędzy tymi ludźmi i tymi ścianami, jakby poza tę chatę nigdy się nie był wychylał, i był tym samym, bo i zaczynał czuć tak samo, i tak samo zaczynał się rozrzewniać niedolą Jezusową, i tak samo w sercu czuł wielką wiarę i wielką miłość do Tego — w stajence urodzonego.

Tak mu dobrze było, tak słodko, tak spokojnie, że przemykała mu chwilami myśl jakaś, i wtedy ogarniał wzrokiem Marcychę i myślał:

— Zostanę tutaj... co tam! zostanę — i ciepło jeszcze większe czuł w sercu, i marzenia jakieś niejasne o szczęściu cichym, przy ziemi, przy swoich, majaczyły mu w mózgu uparcie. — Co tam, zostanę!

Podziękował im serdecznie za wigilję i poszedł do siebie.

Chodził po izbie i rozmyślał, i coraz częściej sobie mówił: — Zostanę! — i widział ten chłopski dom i Wawrzonów, jako jedyną ostoję dla siebie, i snuło się przed nim to przyszłe życie, jak smuga jasna, jak pola okryte runią wiosenną, pełne ciszy i spokoju.

Drugie kury zaczynały piąć, a on wciąż chodził i rozmyślał, i zupełnie świadomie powtarzał:

— Zostanę. Gdzie ja będę szukał i czego?

Drzwi skrzyknęły do sieni, wyjrzał i zapytał:

— Idziecie do kościoła?

— Tak, matula w południe idą; jo pódę na pasterkę, ociec późni przyjadą po mnie.

— Marcysia, zaczekaj trochę, pójdziemy razem.

Śpiesznie się ubrał w długie buty i kozuch, i poszli.

Noc jeszcze była szczerą, ino gwiazdy przybladły nieco i świeciły jak przez mgłę, a nad śniegami wisiał tuman oparów. W chałupach się świeciło, i po drodze, wytartej płozami sań, majaczyły sylwetki ludzi, albo rozlegał się turkot sanek, a zresztą cisza przeogromna nocy zimowej. Głosy dźwięczały wyraźnie na mrozie, śnieg skrzypiał sucho pod nogami, a nad ludźmi i końmi wznosiły się kłęby pary.

— Marcysiu! — szepnął, biorąc ją za rękę.

— Hę? — i podniosła na niego oczy.

— Niech będzie pochwalony! I pon idą? — mówił jakiś chłop, podchodząc. — A to zimno, kiej zły pies, gryzie! — zabił sobie ręce o ramiona, ale nie usłyszawszy odpowiedzi, wyprzedził ich i poszedł.

Za wsią szli szeroką drogą, wysadzoną olbrzymiemi topolami, pomiędzy nimi długi sznur ludzi majaczył, niby cienie. Wiatr trochę się poruszył i zgarniał śnieg z chrzęstem i przynosił urywane słowa rozmów, lub pacierzy, odmawianych półgłosem.

— Marcysiu! — szepnął ciszej, ale tak miękko, że dziewczyna drgnęła — chciałaś ty mnie? — dokończył, i czuł pewną ulgę, bo nie mógł tak łatwo i prosto sformułować.

Dziewczyna aż przystanąła, spojrziała się w niego rozpalonymi oczyma i poszła, nie odrzekłszy ani słowa.

— Chciałabyś ty mnie? — zapytał znowu.

— Jezus, Maryjo! Co też pon mówią! — odpowiedziała z jakimś przerażeniem w głosie.

— Mówię prawdę, jeśli mnie zechcesz, to będziesz moją żoną, zaraz w zapusty damy na zapowiedzi.

— Loboga! loboga! przecie nijaki krzywdy nie zrobiliśmy panu, a pon tak się ze mnie śmieją... loboga! — i rozległ się cichy płacz i szlochanie.

— Nie płacz, Marcysia, nie, ja prawdę mówię; jak mnie zechcesz, to się zaraz w zapusty pobierzemy.

— Loboga! loboga! — szeptała przez łzy, i serce się jej trzęsło z olśnienia i strachu zarazem, i szeptała dalej:

— To nie może być, nie może, ino pan sobie taki pośmiech robi, a ja siroteńka... — i płakała, nie mogąc się powstrzymać.

— Głupiaś! — mruknął niecierpliwie i urwał, bo ich dopędziła gromada ludzi i szła z nimi. Kubicki patrzył na Marcysię, a ona popłakiwała cicho, ale podnosiła głowę coraz wyżej, później zaczęła głośno mówić godzinki, a za nią szeptem powtarzali chłopci.

W kościele było pełno ludzi. Przed wielkim ołtarzem paliły się wszystkie świece, a nad cyborium płonęła wysoko jedna, jak gwiazda. Świerki stały z boków ołtarzy i przy ławkach, że się wydało jakby w lesie, bo białe ściany lśniły się szronem i bieleły przez gałęzie.

Ksiądz wyszedł z pierwszą mszą.

Kubicki przystanął na środku kościoła, Marcysia przykucnęła zaraz za nim, a on stał wyprostowany. Szerokie ręce chłopów wyciągały się do niego przyjaźnie, i coraz to ktoś mówił: Pochwalony! Widział twarze sinawe od mrozu, twarde, jakby wyciosane siekierą,

czupryny potargane u parobków lub spadające w grzywkach równo uciętych u chłopów starych, oczy, jaśniejące dobrocią i naiwną, głęboką wiarą. Uśmiechali się i patrzyli na niego przyjaźnie. Nie czuł zapachu butów, świeżo wysmarowanych na mróz, ani kożuchów źle wyprawnych, ani zaduchu, przesyconego zapachem skisłego, razowego chleba. Kobiety mruczały głośno pacierze, biły się w piersi, czasem westchnienie wydarło się ze wszystkich piersi, tłum zafalował, ktoś zakaszłał, albo małe dziecko zapłakało głośno, i znowu zatopiło się wszystko w ciszy, w poważnych tonach organów i w blaskach świec, które migotały, niby złota gloria; głos księdza rozlegał się poważnym brzmieniem, dzwonki podnosiły wicher ostrych dźwięków — i uczucie coraz mocniejsze krępowało go do tego tłumy. Msza się skończyła, i ksiądz zaintonował:

— »Bóg się rodzi! moc truchleje!« — a tłum pochwycił melodię i prowadził ją wielkim głosem, aż ziemia drżała, aż gałązki świerków i płomyki świec zaczęły się chwiać, i dołączać swoje drżenia, blaski, do blasków źrenic i drzeń serc, i łączyć się w jeden hymn, wielki i radosny.

— »Wzgardzony — okryty chwałą!« — powtarzał Kubicki, i dreszcz go przejmował gorący, bo te głosy i całe uroczyste napięcie dusz obejmowało go w moc swoją.

— »A słowo ciałem się stało!« — coraz mocniej śpiewali; słowa, dźwięki, blaski, wszystko zda się skłębiać i płynąć w świat — głębokie tchnienie wiary niesie ją do stóp Nieznanego.

— »Śmiertelny — Król nad wiekami!« — śpiewa coraz donośniej Kubicki, i kładzie całą duszę w te słowa, i czuje, że mu ten kościół, ten tłum rozśpiewany, te dźwięki i wiara wyrywa z serca wszystkie wspomnienia złe z pamięci, i czuje się spokojnym i ufnym, niby dziecko.

— Marcysiu, wstań! — szepnął po skończeniu kolędy, bo dziewczyna cały czas klęczała, czuł jej twarz przy swojej nodze.

Po drugiej mszy wyszli z kościoła.

Wawrzon już był z końmi. Na świecie było błękitnawo od dnia, ludzie rozsypywali się przed kościołem, gromadzili kupkami, rozmawiali, zabijali ręce, tłukli butami o drogę, bo mróz był siarczysty.

Rozwidniło się zupełnie, i słońce już rozkrwawiało świat blaskami, gdy siedli na sanki i pojechali do domu.

Cisza była na świecie, i szron tak obsiadł wszystko, jakby kto drzewa obsypał kłaczkami wełny. Słońce wzeszło, i świat stanął w złocie i w purpurze, i w takich barwach, jakby kto tęczę rozsunął po świecie; tak się cudnie lśniły śniegi, szrony, drzewa, niebo, tak jasno, czysto i rzeźwo było, że aż konie rżały i buchały nozdrzami kłęby pary.

Kubicki i Marcysia siedzieli razem, a Wawrzon przy koniach.

— Chcesz mnie, co? — zapytał, obejmując ją prawą ręką.

Przycisnęła się do niego silnie i szepnęła cicho:

— Mój... mój... Stachno! — i ukryła twarz, rozczzerwioną własną śmiałością.

Sanie tylko świstały płozami po wytartej drodze i zamiatały rzetelnie, a jemu aż się chciało stanąć w saniach i krzyknąć z uciechy, ale ją tylko mocniej przycisnął do siebie i szeptał:

— Marcyccho! Marcyccho!...

— Stachno!... loboga... — szeptała, dygocząc ze wzruszenia.

— Wawrzon! — zawołał głośno Kubicki.

— Hę? Wio małe, wio! — i świstał batem.

— Wawrzon, dacie mi Marcysię, co?

— Trrrp!... Wio, małe, wio! — sypnął koniom po parę batów, że wyrywały, jak szalone, i nic nie odrzekł, bo był jak ogłuszony pytaniem.

— Dacie mi Marcysię? Proszę naprawdę, to nie żaden śmiech.

— Trrrrp!... zwolnił konie i odwrócił się, popatrzał uważnie na Kubickiego i córkę, potem popuścił cugli, śmignął batem, i znowu polecieli, jak wiatr, a potem się do nich przechylił i głosem drżącym z ukontentowania szeptał:

— Panie zięciu... Wio! psimordy, wio! Panie zięciu, połowę grontu dam, krowę siwą albo graniastą... cieloka, świnię... gąsków i kurów matka nie pożałuje... obleczenie dziwka dostanie, jak tego trza. Wio! psiachmać, wio... i cztery tysiące... Hop! hop!... — krzyknął gwałtownie, wstając w saniach i wesół, tak prąc konie, że rwały, jak szalone, aż kawały zmarzłego śniegu były im w twarze, a mroźny pęd powietrza gryzł im twarz, ale oni nic nie czuli, bo stary coraz to się odwracał i szeptał:

— Panie zięciu!... Wio! psiachmać, wio!...

— Marcysia, kochasz mnie? — szeptał Kubicki nic już nie słysząc.

— Stachno... mój... Stachno... — odpowiadała miękko i pochwyciła jego rękę i całowała długo, a potem nic nie mówili, tylko oczy im się śmiały, i dusze, rozbrzmiałe miłością i szczęściem, leciały w świat wyiskrzony.

I byli tak szczęśliwi, szczęśliwi, szczęśliwi...



— PEWNEGO DNIA... —

I.

Pewnego dnia... o świcie, o majowym wczesnym świcie, w małym domku, przywartym do ziemi pokrzywionymi ścianami, otwarło się okienko i w obramieniu fuksyj rozkwitłych zamajaczyła siwa głowa i zaszemrał cichy, monotonny głos.

Pan Pliszka odmawiał pacierze poranne.

Miasto spało jeszcze.

Senne i ciężkie mroki przygniatały świat ciszą tą dziwną, roz tęsknioną, łzawą ciszą świtania...

Domy, fabryki, ogrody — kłębowiskami ciał bezwładnych i nieprzytomnych majaczyły w mrokach; tylko gdzieniegdzie: na dachach, w oślepiłych oknach, na czubach drzew — ślizgały się brzaski zórz, jakby uśmiechy śniących, jakby spojrzenia, zamglone marzeniem, jakby rumieniec trwogi przed dniem, który się już czołgał w przestrzeniach, już się chwiał na krawędziach nocy i zielonymi oczami troski obejmował ziemię.

Cicho było.

Modlitwy pana Pliszki szemrały, jak młode liście brzoź, a z domów, zgubionych w ciemnościach, z rynien niewidzialnych, opadały ciężkie krople rosy i biły w dach domku; biły monotennie, bezustannie... usypiająco...

Pan Pliszka kończył pacierze i mocno bił się w piersi.

— Kruczek!

Pies cicho przybiegł z głębi ciemnej izby i wskoczył na parapet okna.

— Klękniij, durniu! Służ! Patrz tam! Tam jest, durniu, Pan twojego pana, rozumiesz?

Kruczek zawarczał, usiadł na ogonie, oparł się grzbietem o fuksje i bezmyślnie patrzył w ciemność.

— Nie oszukuj Pana Boga! Mądrala! będzie się podpierał!

Ale Kruczek już nie słuchał pana Pliszki, zeskoczył na podwórze i szczekał pod bramą.

— Ciemnym i głupim zwierzęciem tylko zostaniesz! — mruknął z goryczą, wynosząc zegarek do okna. Zdumiał się, bo była dopiero czwarta; nigdy się tak wcześniej nie budził.

— Chory jestem, czy co?... Półtorej godziny do fabryki!

Położył się cicho na łóżko, aby nikogo nie budzić, i leżał dosyć długo, z drugiej izby rozlegało się donośne chrapanie kilku śpiących, a od trzeciej, maleńkiej, dochodził częsty kaszel...

— Buty ma dziurawe i kaszle! — pomyślał i wstał, bo świt już zaglądał w okno i rozbielał wnętrze izdebki.

A w przestrzeniach wrzał cichy, a śmiertelny bój z dniem zwycięskim. Pan Pliszka siedział w oknie i machinalnie przesuwiał ziarna różańca, machinalnie powtarzał pacierz i nasłuchiwał.

Jaskółki zaczęły słodko szczebiotać nad oknem, jakby modlitwę do zórz coraz jaśniejszych i do dnia...

Ziemia jakby się przeżyła ze snu, a sadzawki fabryczne, niby oczy, pokryte pasami mglistych bielm, otwierały powieki zmroków i patrzyły sennie poprzez rzęsy topoli, pochylonych nad nimi.

Czerwone mury fabryk ociekały rosą i drgały w brzaskach jakby dreszczem przebudzania. Długie szyje kominów fabrycznych, niby żórawie, czuwające nad stadem dachów, wyciągały w blaskach świtania dzioby czerwone i piły światło...

A długie błotniste drogi, ścieżki, rowy, szyny kolejowe, strugi wody, ulice czarne jeszcze — pod mgłami oddechów prostowały zmęczone, przepracowane ciała, przeciągały się sennie i zapadały w ciężkie, odrętwiające marzenie o długim odpocznieniu, o śnie długim... długim...

I pan Pliszka marzył; przesuwiał różaniec, szeptał modlitwy, błądził oczami po konturach domów — ale nic nie widział, zatopiony w sobie, w jakiejś ciężkiej mgłę myśli — w tumanie uczuć rozpięchłych, w chaosie dziwnych drgnień duszy, dziwnych błysków, przeczuć, słów, obrazów, a niepokojów... Kłębiło się w nim i rozrastało coś, czego zupełnie nie rozumiał. Czuł tylko, że przenika go głucha tęsknota — ale za czym?... Nie wiedział, jak nie wiedział nawet nazwy tego uczucia, które mu serce rozprężało.

Drzewa w pewne dni marcowe, w straszne dni słoty i zimna i wicherów, tak samo tęsknią — ale drzewa tęsknią do wiosny i słońca, a ludzie? Ludzie, jak drzewa, wiecznie konające, za tym, co było... tęsknią i płaczą...

Pan Pliszka ocknął się, bo w mgłę szarości, wypełniającej podwórze, rozległ się ostry, długi, monotony skrzyp.

— Antoni! — pomyślał.

Tak, to był Antoni, stary robotnik, któremu kiedyś wybuch kotła wyparzył oczy, a który teraz pompował wodę na piętra, ciągnął ją kołem ogromnym. Widać go było w brzasku świtania, jakby poza

szybą zmatowaną, pochylał się automatycznie, równo, jednakowo, niby wierne ludzkie wahadło...

A koło skrzypiało przeciągle, jęcząco, krzykiem spracowanego żelaza... A Kruczek namiętnie czekał na starego kundla, który przyprowadzał ślepcę do roboty.

Pan Pliszka nie mógł się dzisiaj doczekać gwizdawki.

Poszedł do kuchenki i po cichu rozpałał ogień na kominku.

— Czy to już czas? — zapytał głos z kąta, przysłoniętego parawanem.

— Jeszcze, cichocie, pani, bo się chłopiec obudzi...

Poszedł do drugiego kąta, gdzie stał drugi parawan; tam spał chłopiec, na stoliku było pełno porzrzuconych książek i kajetów, tornister leżał na ziemi, a mundur pod stołem...

Pan Pliszka posprzątał wszystko i poskładał, popatrzył na czerwoną, śpiącą twarz chłopca, uśmiechnął się dziwnie i, zabrawszy jego buty, poszedł je czyścić. Na dworze, przed domem je czyścił, żeby nie zbudzić nikogo. Buty były mizerne, smutne buty sztubaka, pełne ran, szwów i łat — liryczne buty nędzy, bez podeszew, wierzchów, obcasów, a z dumnie sterczącymi jedynie całymi uszami. Pan Pliszka je reparaował i czyścił z miłością prawdziwą, z tym swoim dziwnym, pełnym słodyczy uśmiechem starego psa.

Dzień już szedł wielkimi krokami, bo już okna na czwartych piętrach były różowe, na trzecich białe, na drugich szare, jakby z mgły lodowatej, a na pierwszych połyskiwały twardym, zimnym blaskiem polerowanego bazaltu.

— Trzeba mu kupić buty — pomyślał i drgnął gwałtownie, bo ochryply, przeraźliwy głos gwizdawki fabrycznej rozdarł ciszę.

W izbie powstał gwałtowny ruch wstawania; cztery postacie zamajaczyły na tapczanach i pośpiesznie szykowały się do roboty.

— Coś mi jest! — pomyślał pan Pliszka i przyśpieszył kroku, bo już z kotłowni buchały czerwone płomienie ognisk, a szyby błyskały w dolnych salach fabryki.

Stanął na codziennym posterunku, przy windzie, pochwycił drucianą linkę i czekał na sygnały...

Salę były jeszcze ciche, zmroczone, zalane na dole elektrycznym światłem, a w wyższych piętrach przesycone mdłymi brzaskami dnia, w których majaczyły potężne korpusy maszyn — niby stado bydłał potwornych, leżących bezwładnie, a przyczajonych jakby do skoku. Pasy i transmisje zwieszały się ciężko, niby żyły wyprute, niby ramiona, sennie opuszczone.

Robotnicy wpadali pośpiesznie, witali się skinieniem, oglądali tępo po salach i przywierali do maszyn cicho i pokornie, z jakąś uległością bojaźliwą. Niedokończone w drodze pacierze brzmiały gdzieś w powietrzu; gdzieś rozmowa, czasem trwożny głos zabrzmiał głośniejszy, ale przycichł natychmiast, tylko zmęczone spojrzenia biegały ku oknom, poza którymi stały zielone drzewa, ku polom, jakie widać było, pokryte młodą runią zbóż, ku lasom dalekim, dalekim... ku słońcu, ciepłu, powietrzu, swobodzie...

Naraz ryknął sygnał roboty!

Ludzie się wyprostowali automatycznie, maszyny drgnęły, strumień strasznej siły rozlał się wskrós fabryki... Pasy się skurczyły i naprężyły... dreszcz wstrząsnął zębatymi kołami maszyn... zadygotały żelazne bestie, zatrzęśły się ściany, pochyłili się ludzie. Ruch

pierwszy... jakby pod uderzeniem huraganu... mgnienie wahania... cichy jęk oporu... stłumiony oddech maszyn i ludzi... przyduszony straszmem rżeniem wysiłku... Zmagania się sił... głuchy śmiertelny bój... a potem nagły, ogromny, wstrząsający murami krzyk maszyn zwyciężonych i puszczonej w ruch.

— Winda! czwarte — huczał głos ponurym echem w głębokiej ciemnej studni czteropiętrowej, w której pracował pan Pliszka ze swoją windą.

Pociągnął za sznur i płynął cicho w górę, bez szelestu, jak potworny pająk po sieci rozpiętej.

— Winda, farbiarnia!

Zapadał znowu na dół, w ciemności; tylko przez czworokątne otwory w ścianach migały mu przed oczyma, jak w kalejdoskopie, pietra, sale, ludzie, maszyny, towary, okna. Minął suszarnię, jasną, różowioną blaskami poranku strefę, która owiała go rozpalonym, straszliwie suchym powietrzem i głuchym, niepokojącym szumem maszyn, pokrytych w metalowe pudła; spadł przez aperturę, przez warstwy zapachów sody, mydła szarego, rozgrzanych smarów, chlorku, wilgotnych a gorących wyziewów prasowanych materiałów, i przez szary, rozłzawiony odbłask dnia trzeciego piętra; przedzierał się przez postrzygalnię, przez dziwny, białawy świat pyłów bawełnianych, w którym połyskiwały zimno długie, poskręcane ostrza maszyn strzyżących, a ludzie majaczyli jakby w tumanie śnieżnym — niby gorączkowa wizja rozszalałej w męce pracy fabryki.

A potem, niżej jeszcze: — przez pralnię; przez gąszcz stłoczonych, rozkrzyczanych warsztatów, przez sieć pasów i transmisji, co tysiącami ramion, niby głowonogi potworne, dusiły wszystko, obejmowały sobą, goniły, chwyciły, spadały spod sufitów, rzucały

się przez piętra, przez mury, przez dziedzińce i zdyszane, a nie-
zmożone rzucały się na wały, na koła, ześlizgiwały się, podnosiły,
okręcały wszędzie i, przeniknięte mocą straszną, rozszalałe, dzięki
w swej potędze — przepełniały fabrykę przyciszonym, a strasznym
krzykiem tryumfu!

A potem niżej jeszcze — na samo dno fabryki; tam, gdzie już nie
było świtania, ani dnia, ani nocy — do farbiarni, gdzie światła ga-
zowe w tumanach par kolorowych rozkręcały tęczowe, przegniłe
blaski; w monotony plusk płuczkarni, w chlupot roztrzepywanej
bezustannie wody, w gryzące zapachy farb gotowanych, w jęk prze-
ciągly maszyn, w chaos krzyków, ruchów i barw zmatowanych,
w nadludzki spazm wysiłków maszyn i ludzi.

— Winda! grzmiał krzyk z góry, a pan Pliszka pociągał za sznur
i jechał; przejechał znowu te cztery piętra — strefy, zabierał ludzi,
towary, wózki, przystawał na mgnienie przed otworami sal, zapa-
dał w noce, w mroki, w świtanie, wynurzał się w brzaskach dnia
na wyższych piętrach, widział słońce w suszarni i czarną linię la-
sów dalekich, widział młode liście topoli niżej, widział przymglone
sadzawki jeszcze niżej, a potem zgarniała go noc i majaki maszyn
kołysały się w cieniach i mrokach sal dolnych, a on jechał jednako
cicho, powolnie, automatycznie...

Pan Pliszka jeździł już tak lat dwadzieścia.

Nie chorował nigdy, nie brał urlopu nigdy.

Był najstarszą maszyną fabryki, tylko maszyną, bo już z wolna
zapominał o sobie, o własnym życiu, a chwilami już nie wiedział,
czym był kiedyś i gdzie? Nie myślał już i nie marzył, nie mógł nawet,
bo, ilekroć siedział wieczorem w swojej izbie, to zapadał w dziwny
stan kontemplacji maszyn — czuł wtedy w sobie cały ruch fabry-
ki, przesuwaly się przez jego duszę nieskończone zwoje pasów,

migotały zmalowane barwy materiałów, drgały ruchy maszyn, podnosiły się w nim koła pełne błysków stali, okrywał go dziwny, przyduszony tuman krzyków fabryki, migotały w nim, jak cienie nikłe, jak cienie zapamiętane, sylwetki ludzi — a wszystko przyciszone, a tak wyraźne, tak żywe, tak jasne, że nieraz bał się poruszyć, aby nie być stratowany przez potwory, które w nim się przelewały, które w nim żyły.

I z wolna, z wolna żył tylko życiem fabryki, rozumiał i odczuwał tylko życie maszyn, i o nich tylko myślał, a myślał z trwogą i czułością niezmierną.

Cóż go obchodzić mogli ludzie, którzy, jak fala, przepływali tylko przez fabrykę, cóż go mogli obchodzić ci ludzie, którzy, jak psy, warowali na usługach maszyn, którzy, jak nikłe cienie, tulili się trwożnie do kolosów: służyli im, zależeli od nich, żyli z łaski tych potężnych, tych nieśmiertelnych i tych strasznych w swojej mądrości i potędze...

Uśmiechał się pogardliwie, patrząc na ich pogieęte ciała, na ich trupie, wycieńczone twarze, na ich spracowane ręce... czymże byli wobec tych potężnych, których stalowe, połyskliwe ciała widział ciągle, czymże byli wobec sił tamtych? marnością, pyłkiem, niczym...

Przez dwadzieścia lat pan Pliszka widział już dziesiątki tysięcy tych ludzkich nędznych istnień, wyżętych przez maszyny, niby łachmany, i wyrzuconych na śmietnik: a maszyny były, a fabryka trwała.

Pogardzał też ludźmi, a wielbił maszyny.

I żył coraz głębiej życiem fabryki.

Tygodnie poznawał po niedzielach, bo odwiedzał wtedy swojego kapitana. No i wiedział, że, jeśli w suszarni, na czwartym piętrze, rano świeci słońce, to już na pewno wiosna, a jak w apreturze

— to lato jest z pewnością. Zimę poznawał po śniegu, no i po tym, że w postrzygalni palono światło do południa.

I zresztą nic go nie obchodziło; był nawet dobry i uczynny, ale tą dobrocią bierną automatu, bez udziału woli i świadomości.

Takim był pan Pliszka do dzisiaj.

Ale dzisiaj zaczęło się w nim dzieć coś niezrozumiałego.

Obudził się tak wcześnie! A przed samym śniadaniem umyślnie podciągnął się na czwarte piętro i, sparty o kratę, oddzielającą jego studnię od sali, patrzył w okno, w niebo, po którym płynęły chmury różowione, dziwnie podobne do rozszarpanych, czystych bel bawełny... A gdy rozległ się sygnał śniadaniowy, opuścił się na dół i wyszedł przez fabrykę, na słońce, i bezwiednie przysunął się do robotników.

Antoś już czekał na niego z blaszanką kawy gorącej.

Pił ją bez smaku, nie chciało mu się dzisiaj jeść, a chleb rozkruszył i rzucił bandzie wróbla, która się zwykle zlatywała do śniadających...

— Antoś idzie do klasy? — zapytał nieśmiało chłopca.

— Zaraz, odniosę tylko blaszankę i pójdę.

— To musi być ciężko Antosiowi tak się ciągle uczyć, co?

— Ciężko! nie, nie! — odparł cicho chłopiec, zapatrzonej w płat słońca, lśniącego w zbiorniku wody!

— Ale! Ale! — powiedział wątpiaco pan Pliszka.

Milczeli. Antoś patrzył na sadzawkę, bo słońce wlokło złote włosy po wodzie, poprzez cienie drzew, stojących dookoła, a pan Pliszka patrzył na jego żółtą, mizerną twarz i oczy zaczerwienione i na jego mizerne buty, a potem westchnął ciężko i słuchał cichych rozmów robotników, siedzących na cembrowinach sadzawek, grzejących się w słońcu.

— Wie pan Pliszka? Pojedziemy z mamą w Zielone Świątki na wieś.

— Na wieś! po co? Zdziwił się ogromnie.

— Po co! Odpocząć na świeżem powietrzu... no...

— Cóż tam dobrego na wsi? Lepiej by Antoś siedział w domu i uczył się... butów ano szkoda.

Antoś spojrział na niego gniewnie, zabrał blaszankę i poszedł.

Pan Pliszka zapalił fajeczkę i ciągnął z wolna dymek.

— Aha! Kupię mu buty, jak przyjedzie ze wsi... podarłby przez dwa dni... Cóż oni będą robić na wsi?... Głupi...

Wytrząsnął śpiesznie fajkę, bo gwizdawka już wołała do roboty.

Nie myślał długo o tej wsi, bo znowu huczało pod nim i nad nim.

— Winda! Suszarnia!

— Winda! Apretura!

— Winda! Farbiarnia!

Jeździł znowu, woził, przystawał, zabierał, wyrzucał, ale jakoś tego nie spostrzegł, bo utkwilo mu w mózgu pytanie.

— Po co oni pojedą na wieś?

Szczerze i zupełnie tego nie rozumiał i dla tego pewnie się tak męczył.

Naraz drgnął i zwrócił uwagę na rozmowę, jaką pośpiesznie prowadzili jego współlokatorzy; wiózł ich z dołu na czwarte, z wózkami pełnymi mokrego towaru.

— Jedziesz, Adam!

— Pojadę. Nie widziałem już ojców od kopania.

— To w sobotę na noc, co?

— A tak, dwa dni świąt.

— Już krzyża ani rąk nie czuję od tej piekielnej roboty.

— A mnie tak jakoś w piersiach boli.

— To Zielone Świątki, co?

— Juści, nie wiesz to?

— A w tej fabryce to się już człowiekowi we łbie przewraca.

— Gdzie się wybierasz? — zapytał prędko pan Pliszka.

— Do domu na święta.

— Daleko?

— I, nie... Koleją do Łukowa, a tam będzie z milką piechotą.

— Łuków... Łuków... tam, gdzie jest Szlachecka Wola!

— To w naszej parafii, o miedzę od naszej wsi...

— To wy z której wsi?

— A z Mszawy Górnej.

— A... z szosy zaraz na lewo... tak... — przypominał sobie pan Pliszka.

Wysiedli zaraz, przez dzień jeździli jeszcze po kilka razy windą, ale pan Pliszka już ich nie pytał, przypatrywał się uważnie i milczał.

— Szlachecka Wola! Moja wieś! moja!... — Połknął to nagle przypomnienie i żuł, jak wędzidło, żuł i nie mógł strawić.

Uśmiechał się pogardliwie na to przypomnienie wsi rodzinnej, cóż ona go obchodziła!

— Na wieś im potrzeba, chamy! — pomyślał naraz gniewnie.

Pan Pliszka był szlachcicem, takim ze Szlacheckiej Woli, na trzech zagonach i jednym krowim ogonie, ale nim był, poczuł to mocno w tej chwili, a potem wolno liczył:

— Zaraz, to już będzie trzydzieści lat... tak... trzy lata... pięć lat... a potem miasteczko Łódź i fabryka. Trzydzieści lat, no... no... tęgi kawał czasu. — Zdziwił się, nie myślał nigdy, że to tak dawno. Obejrzał się w tył, w czas ubiegły, w długie lat trzydzieści i patrzył trochę z niepokojem i trochę ze smutkiem. Mózg zaczął pracować,

a dusza przedzierała się z trudem przez ten gąszcz lat trzydziestu; przez puste, szare, zgubione w pamięci lat trzydzieści przekopywała się aż do tamtych czasów... do czasów młodości... do czasów dzieciństwa... pasania bydła... aż tam... na dno i początek życia.

I teraz dopiero, w tej chwili, przypomniał sobie, że miał kiedyś młodość, wieś swoją, rodzinę swoją... życie inne...

— Chamy! Po co oni jadą na wieś! — myślał z coraz większą irytacją i, jak od psów złych, bronił się od wspomnień, które wyłaziły z ciemnych szczelin mózgu i obsiadały go coraz większą ciżbą.

Pan Pliszka pierwszy raz od lat dwudziestu źle dzisiaj robił.

Nie słyszał sygnałów, mylił się w piętrach, a często przejeżdżał, nie zabierał niczego i ginął w przepaściach swojej studni, powstawało z tego ogólne zamieszanie, towary się spóźniały, niektóre maszyny musiały czekać na robotę, zwróciło to uwagę powszechną.

W sobotę, przy wypłacie wymówił mu to kasjer.

— Pliszka, płacicie karę za nieporządki i opóźnianie!

Pan Pliszka rzucił się, jak piorunem uderzony, a potem wybuchnął:

— Ja płacę karę, ja! Dwadzieścia lat jestem w fabryce i ani grosza nie zapłaciłem kary, to nie zapłacę i dzisiaj.

— Zapłacicie, tak kazał pan Demehl.

— Pan Demehl! A to zapłacę — zawołał nagle zrezygnowany... pan Demehl — powtarzał cicho, wlokąc się do domu. Kruczek czekał na niego przed bramą fabryki i czekał radośnie na powitanie.

— Kruczek! Pan Demehl skrzywdził twojego pana, słyszysz! Pan Demehl!

Kruczek na dźwięk nazwiska zaczął szczekać groźnie, gonił niewidzianego, mścił się za krzywdę swojego pana. A pan Pliszka jakby zapomniał o wszystkim, bo siedział w swojej izbie pod oknem,

palili fajkę i nie odzywał się do nikogo, nawet na Kruczka uwagi nie zwracał.

Robotnicy szykowali się śpiesznie do drogi, myli się pod pompą na podwórzu w mroku wieczornym, odziewali odświętnie i zapełniali mieszkanie świątecznym nastrojem, gospodyni, pani Radzikowa i Antoś pomagali im wiązać tobołki.

— Co wieziecie, Adamie, do domu? — pytała.

— Chustkę dla matki, kaszkiet ojcu, a dziewczuchom paciorków...

— A wy, Pietrze?

— Obrazików i na spódnicę matce.

— A Józef?

— Ja nic; bo to ja jadę gdzie? mam to gdzie, albo do kogo, co? — odburknął gniewnie Józef, mocno odsunął stołek i wyszedł na podwórze; do późnej nocy słychać było głos jego harmonijki... grał zapamiętane, jakby na zagłuszenie swego sieroctwa.

A pani Radzikowa rozkładała te dary wszystkie na stole, przyglądała się im w świetle lampy i składała ostrożnie, jak świętości.

— Głupie! — pomyślał pan Pliszka, gwizdnął na Kruczka i wyniósł się na podwórze do Józka. Poczuł nagłą i złą niechęć, prawie nienawiść do tych ludzi, do ich twarzy, do ich rozradowanych uśmiechów.

Siedział pod ścianą, na kamieniu i głupim, bezmyślnym wzrokiem patrzył w księżyc, co się już był wzniosł ponad miasto i płynął, jak ptak świetlany, poprzez czarne głębie.

Duszę mu omroczył dziwny smutek roz tęsknienia, a na oczy opadł łzawy cień, uparty cień, który ustąpić nie chciał, pomimo że go pan Pliszka ścierał kułakiem.

I siedział tak długo, wpatrzony w noc miesięczną i wsłuchany

w Józkową muzykę — tylko, że nic nie widział, nie słyszał i nie pamiętał.

Wieczór był cichy maja, sobotni wieczór fabrycznego miasta, odpocznienia wieczór.

Okna gasły, ciemniały, jak źrenice, zmożone snem; fabryki milkły i zasypiały, ulice głuchły i zdały się przeciągać w leniwym, rozkosznym odpocznieniu; domy zanurzały się w ciemności i w ciszę, gwar ludzkich rojowisk przycichał, tylko księżyc świecił coraz jaśniej, tylko czuby drzew szeptały listkami i jakby się wznosiły w tej srebrnej mgłę i jakby piły światło i ciszę i ukojenie.

— Zostańcie z Bogiem! — zawołał któryś przez okno!

— A idźcie na złamanie karku! — mruknął pan Pliszka ze złością.

Ale już nie mógł usiedzieć, nie. Podniósł się i poszedł za nimi, poszedł wolno, bo jego drewniana noga zaciężyła mu dzisiaj, poczuł w niej dziwny ból, dziwny. Stał na drodze i patrzył za nimi.

Długo widział ich czarne sylwetki z białymi tobołkami na plecach, szli przez pola, ku kolei... dobrze widział w tym jasnym, księżycowym świetle. Tak się zapatrzył w nich, że nawet nie wiedział, kiedy mu zginęli z oczów i przepadli w oddaleniu.

Wracał wolno, zmęczony bardzo, włókł się koło fabryki i drgnął jakby z przestachu, księżyc tak świecił z boku w okna, tak je prześwieślał na wskrós, że pan Pliszka najwyraźniej ujrzał czarne, błyszczące kontury maszyn, zdawało mu się, że stalowe kadłuby przysunęły się bliżej, że się pochylają do okien i potworne, olbrzymie łby maszyn patrzą w świat... patrzą na niego, a tak groźnie, tak strasznie i złowrogo, że się aż przeżegnał i śpiesznie powrócił na kamień, pod ścianę.

Józiek wciąż grał na harmonijce, a grał coraz zapamiętalej — to walce huczące, jak burza, to mazury, które były huraganami, to oberki takie, że aż harmonijka jęczała ze zmęczenia, to znowu dziwne piosenki, piosenki proste, łzawe, smutne — takie, jakie płyną po polach w jesienne noce, pełne pomiotów wichury, płaczów drzew marznących, jęków ziemi zmęczonej i szelestów suchych badyłów, a z bramy głównej odpowiadał mu głos rzewnej ligawki pastuszej, dzisiaj pewnie wykręconej z tych wierzb, co rosły nad fabrycznymi sadzawkami, na której grywał stróż fabryczny.

Ligawka miała dziwny głos płaczu i skargi, jakby jęk duszy tych wierzb, tych drzew, tęskniących za słońcem, za wichrem, co buja po polach, jakby jęk tych drzew, zatruwanych przez dymy, duszonych przez mury, przez brak powietrza, przez te straszne odpływy fabryczne konających.

— Józef, a dałbyś spokój! Skrzypisz a skrzypisz, aż uszy bolą! — zawołał pan Pliszka rozdrażniony i powrócił do izby.

Pani Radzikowa jeszcze nie spała, wiązała z pośpiechem frendzle u chustek wełnianych, których stopy leżały na podłodze, a Antoś, przy drugim końcu stołu, zatkał uszy rękami i uczył się, wykuwał lekcje.

— Przestałaby pani, a to oczów szkoda!

— Muszę skończyć dzisiaj. Jutro przecież jedziemy na wieś, do mojego brata księdza. Antoś butów nie ma, a wpis trzeba płacić.

Pan Pliszka usiadł pod niskim kominem i raz po raz dziobał po-grzebaczem w dogasające węgle. Kruczek wyciągnął się przy nim na ziemi i spał.

Cicho było, Józkowa muzyka przez mury dopływała, jak niewyraźne majaczenie, a zegar cykał monotonnie, powolnie, ciągle.

— Na długo pani pojedzie? — zapytał cicho.

— Na dwa, albo i trzy dni! Chcę też skończyć chustki, to może pan Pliszka w poniedziałek odeśle je do fabryki.

— W poniedziałek święto! — rzekł krótko.

— Ale to przecież fabryka żydowska, i kantor będzie otwarty.

— Aha! dobrze.

— A pan Pliszka nigdzie na święta nie pojedzie?

— Także! Nie jestem bogacz, żebym mógł jeździć na spacerach!

— powiedział z naciskiem, rzucił pogrzebacz i poszedł spać.

Ale nie spał, nie mógł zasnąć, w jakąś godzinę zajrzała do niego pani Radzikowa.

— Że do dnia jedziemy, to chciałam prosić, żeby tu pan Pliszka miał oko na mieszkanie.

Nie odpowiedział, zaklął tylko po cichu i leżał, jak martwy, w tej dziwnej, niezrozumiałej męce, która go przenikała coraz boleśniej: była to męka tęsknoty bezcelowej jeszcze, głuchej, a tak bolesnej, tak bolesnej.

— Wszyscy jadą... wielkie państwo... balowania im potrzeba... ale... — roztarł kułakiem ten mglisty cień, co mu znowu przydusił oczy. — Bieda aż piszczy, a na spacerach to pieniądze mają... Przecież, gdybym chciał... gdybym chciał... — Dotknął się woreczka, który nosił na piersiach, tam miał wszystkie swoje oszczędności, składane przez lat dwadzieścia. — Zechcę, to przepiję wszystko, albo dam komu... albo też pojadę... aha!... tak... i gdzie? — przesunął ręką po oczach wilgotnych.

— Sam jeden człowiek, jak ten... ten Kruczek... Chamy, psiakrew! Letnich mieszkań im potrzeba.

Miał już w sobie cały pożar tęsknoty i całe morze goryczy...

Nazajutrz wstał późno, tak późno, że już nie było pani Radzikowej, a jasne, wesołe słońce zalewało jego izbę.

Oprzytomniał rychło i, gdy sobie przypomniał dzień wczorajszy, to mu przede wszystkim przyszła na myśl kara, jaką kazał mu zapłacić pan Demehl.

— Kruczek! — zawołał ostro na psa.

Kruczek przeciągał się leniwie, ale patrzył na pana.

Pan Pliszka powiesił na drzwiach stary, poszarpany kożuch.

— Kruczek, twój pan zapłacił karę, słyszysz? Kruczek, pan Demehl! Kruczek, weź pana Demehla! Weź, huzia go! gryź go... weź!... nie daj swojego pana, nie daj! Krzyczał i aż zachrypnął z gniewu i zawziętości, złapał kij, bił w kożuch, a Kruczek szczekał zajądło, przyskakiwał i rwał zębami, gryzł, skowyczał, rzucał się na kożuch, jakby na rzeczywistego nieprzyjaciela, i mścił się za krzywdę swojego pana.

— Dosyć, piesku, dosyć, jeszcze go później pogryziemy. Dosyć... pójdźmy teraz się zameldować p. kapitanowi.

Pies przywarł do ziemi ze zmęczenia, a pan Pliszka wygolił się starannie, ubrał odświętnie w jakąś starożytną czamarę, przypiął jakieś trzy ordery na pierś, wyczernił obcięte krótko nad ustami wąsy, wyświętecznił się nadzwyczajnie i wyszedł paradnym krokiem.

— Pójdziecie, panie, do kościoła? — zagadnął go Józef z drugiej izby.

— Idź sam, ja nie pójdę.

Pan Pliszka codziennie gorąco się modlił, ale do kościoła nie chodził.

— Z Jezuitami nie trzymam — mawiał.

II.

Pan Pliszka szedł do swojego kapitana, który był magazynierem jednej z fabryk i mieszkał daleko, bo aż za rynkiem Geyera, na krańcu miasta, prawie już w polach.

Daleko to było dla jego lat i drewnianej nogi, ale szedł prędko, jakby uciekał od domu pustego, od samotności. Miał w sobie pamięć głębokiej krzywdy, którą mu wyrządzili robotnicy i pani Radzikowa, tej krzywdy, że pojechali, więc szedł jakby na skargę, na uzalenie; musiał coś wiedzieć o stanie jego duszy Kruczek, bo szedł cicho przy nodze i często podnosił mądre oczy na pana.

— Dobrze! dobrze, Kruczek! — szeptał cicho pan Pliszka i maszerował bocznymi ulicami, bo nie lubił Piotrkowskiej, tam było za wiele ruchu i za wiele ludzi.

Pan kapitan był właśnie w domu, siedział przed lustrem z namydloną brodą i z brzytwą w ręku.

— Pliszka, pokornie się melduję panu kapitanowi.

— Hę? A Pliszka, cóż tam?

— Wszystko w porządku.

— Ba? a, w porządku? to dobrze, mój chłopcze, dobrze. Wyczyśćno mi buty i daj jeść moim smykom! — co?

Pan Pliszka z przyjemnością czyścił kapitanowe buty i karmił ptaki, które krzykiem i świegotem zapełniały pokój, bo ich było kilkanaście klatek, porozwieszanych po ścianach.

— Ożeniłeś się, chłopcze, co? — pytał kapitan, skrobiąc twarz brzytwą.

— Nie, pokornie melduję.

— Co? a, nie, dobrze, bo w pochodzie baby na nic, rozumiesz?

— Rozumiem! — odrzekł krótko, salutując.

— Co? a, rozumiesz, dobrze.

Zaczął gwizdać pan kapitan, ostrząc na pasku brzytwę, odpowiedziały mu zaraz chóralnie ptaki, i powstał taki pisk, że aż Kruczek zaszczeakał w sieni.

— Psiakrew! — zaklął pan Pliszka przez zaciśnięte zęby.

— Co?... — zawołał prędko kapitan, odwracając się do niego.

— Powiedziałem: psiakrew, panie kapitanie.

— Co! a, psiakrew!

Pan kapitan popatrzył w okno, splunął i zaczął się myć.

— Gorzałki się napijesz? Hej! Magdusia, a dajno gorzałki!

Weszła zaraz Magdusia, baba, jak stóg siana, a ciężka, jak furgon artyleryjski, bo aż się podłoga ugiwała pod nią, odmierzyła z flaszki potężny kielich gorzałki i postawiła przed panem Pliszką...

Wypił, zasalutował i chciał całować w kapitański łokieć.

— Stać w szeregu! cicho! — krzyknął srogo pan kapitan.

Stał pan Pliszka, jak mu kazano, przez chwilę, przez krótką chwilę, bo nagle zasalutował, odwrócił się po żołniersku i wyszedł, nie mówiąc ani słowa, nie słuchając kapitańskiego wołania. Ot, coś go szarpnęło i wyrzuciło za drzwi, nie wiedział, co to było, ale był posłuszny i wyszedł śpiesznie, jakby znowu uciekał. Na Piotrkowskiej zwolnił kroku, bo zaboląa go noga. Uderzył się laską po szczudle, zniecierpliwiony był i zły.

— Po co oni pojechali? Przyszło mu znowu to samo pytanie na myśl. Całe dwa dni świąt miał przed sobą, dwa dni samotności.

— Trzeba używać święta! — postanowił sobie.

I używał, chodził po ulicach, wstępował do szynków, gapił się na ludzi, ale ani na chwilę nie mógł zapomnieć o sobie.

A miasto wrzało świąteczną radością, radością bez troski chwilowej i odpoczynienia.

Słońce zalewało Łódź potokami światła i ciepła! Tak się lśniły radośnie dachy, tak błyszcząły okna, tak spokojnie nurzały się w blaskach fabryki, taka głęboka cisza leżała wśród murów i maszyn, po składach, kantorach, dziedzińcach — tylko na głównych ulicach wrzał rój ludzki, cieszył się życiem i ciepłem. Tłumy ludzkie głębokimi falami pchały się, piętrzyły, przewalały z końca w koniec Łodzi i wciąż płynęły, płynęły.

Katarynki grały po szynkach, po bocznych ulicach, przy karuzelach i w budach z osobliwościami.

Pan Pliszka poddał się tej fali ludzkiej i płynął razem z nią: poruszał się, przystawał, ruszał naprzód z tą samą ogólną bezmyślnością stada ludzkiego, spracowanego stada, które nie wie, co robić ze sobą na wolnym powietrzu, które nie umie się bawić, nie umie radować, nie umie żyć.

Radość ich była smutna i cicha, gwar rozmów przyciszony i pełen trwogi, spojrzenia tępe i zalęknione, ruchy powolne i automatyczne, przystosowane do ruchów maszyn, z którymi zawsze żyli; twarze jakieś szare, martwe, pochylone, karki zgięte, ramiona obwisłe, ciała spłaszczone i chude, dostosowane do ciasnoty sal fabrycznych, do kształtów maszyn, do murów, do potrzeb fabryki.

Cały ten tłum dusz — nie, nie dusz, tłum dopełniaczy maszyn, tłum mizernych najprostszych kółek i trybików, tłum niezłożonych mechanizmów fabrycznych tłoczył się po ulicach, pił w szynkach i bawił się na karuzelach, w menażeriach, w panoptikach, tańczył po ciasnych salach, siedział pod domami i nie wiedział, co robić ze sobą, co robić z tą świątecznością — onieśmielony światłem, przestrzeniami wolnymi, ciszą i powstrzymywany w ruchach

wewnętrznych nieświadomą zależnością od tych potworów fabryk, stojących dookoła czerwonym, potężnym wałem ciał kamiennych, uśpionych tylko na chwilę, a czuwających; znikłych w odpoczynku, a stróżujących tysiącami okien, setkami kominów, które zdawały się pochylać w blaskach słonecznych i zaglądać w ulice, w place, w zaułki, w pola, w domy — jakby pilnowały swoich niewolników i trzymały ich grozą swojego czuwania.

I pan Pliszka czuł to wszystko, nie rozumiał, ale czuł, i dlatego pozwolił się porwać jakiejś gromadzie i płynął z nią aż za miasto, w pola, jakby na inny brzeg wyrzuciła go ta fala miasta, rozplynęła się, a on pozostał nad ławicą pól, pełnych zieleni, kwiatów, ciszy upajającej, świergotu ptaków.

Fala się rozprysnęła po tym zielonym brzegu, a on pozostał tylko z Kruczkim, który ogłupiałym wzrokiem patrzył na skowronki, wzbijające się w górę, i na rozkołysane zboża...

Chłodny i wilgotny wiatr wiał nad polami.

Pan Pliszka patrzył długo, patrzył pogardliwie na ten zielony, rozkwiecony, rozszumiały szmat ziemi, a potem z uśmiechem politowania spostrzegł ludzi, siedzących po miedzach, że im tylko głowy widać było ze zbóż.

— Głupie chamy! Kruczek, do nogi! Kruczek! Krzyczał, bo pies jakby nagle oszalał, rzucił się w zboża, gonił za jaskółkami, szczeptał na chmury, obwąchiwał tarniny kwitnące, tarzał się po brózdach, to leciał bez pamięci po tym szumiącym zielonym morzu, to znowu przystawał niespodziewanie i dziwnym, pomieszany wzrokiem patrzył na żyta, jakby biegnące ku niemu, aż odskakiwał i ze skowytem przywierał do ziemi, rozpląszczał się i patrzył, jak zboża ruszały się, szły... pochylały się nad nim i dzwoniły zielonymi, lśniącymi źdźbłami!... i odchodziły w drugą stronę...

— Także mi parada, nawet usiąść nie ma gdzie — szepnął pan Pliszka, zirytowany na wszystko, a szczególnie na Kruczka, odwrócił się z pogardą od pól i powracał do miasta jak tylko mógł najspieszniej, powracał do domu. A gdy Kruczek przyszedł, był już gęsty mrok, pan Pliszka wybuchnął i zbił go srodze.

— To ja sam tu będę siedział, co! Ty, chamie, ty, parobku głupi, to i tobie także wieś pachnie, co! Krzyczał strasznie; ale, że pies się nie bronił, tylko jakby jęczał z bólu i tak patrzył żałośnie, tak żałośnie skomlał i lizał jego ręce, że pan Pliszka ochłonął prędko, porwał Kruczka na ręce i rozplakał się pewnie pierwszy raz w życiu.

— Cicho, Kruczek! Widzisz... twój pan!... widzisz... sam... sam... Nie, nie mógł już mówić więcej pan Pliszka...

Ale cały długi wieczór modlił się żarliwie.

Niewesoły miał pierwszy dzień Świąt Zielonych pan Pliszka, nie.

Na drugi dzień już nie mógł dać sobie rady, tak mu pusto i źle było w domu, tak samotnie na ulicach, tak głupio w szynkach i tak tęskno, tak strasznie tęskno za czymś, że już na godziny prawie obliczał czas, dzielący go od powrotu tych »głupich chamów«.

Po południu, że już wytrzymać nie mógł, poszedł do fabryki. Włóczył się po salach pustych i cichych, pogrążonych we śnie... Maszyny spały, obwisłe nieczynne pasy i koła wisiały bezwładnie, pogrążone w głębokiej, dziwnej zadumie; potworne, dziwaczne korpusy maszyn, stalowe łby i ręce — szarzały tajemniczo w świetle słońca; stopy kolorowych towarów leżały, spiętrzone po salach. Kurytarze były ciche, kotłownie nieme i wygasłe — ale wszędzie, na każdym kroku, w każdym załomie maszyn czuć było straszną siłę, powstrzymaną tylko, skupioną, jakby przyczajoną na chwilę... Jakieś drżenie, ledwie wyczuwalne, jakieś szelesty, jakieś głębokie ciche głosy chodziły po salach, przepływały wskrós maszyn

i murów. Czasem nit jakiś trzaskał, czasem pas się zsunął niżej, jakaś śruba zaskrzypiała, jakaś blacha drgnęła, jakiś tryb zgrzytnął, jakiś warsztat się poruszył, jakieś szyby zabrzęczały cicho — a potem znowu panowała cisza, straszna cisza spracowanych maszyn, odpoczywających metali...

Pan Pliszka bał się już chodzić po salach, trwoga chwyciła go za gardło, a ten majestat odpoczywających maszyn ubezwładniał go i hipnotyzował. Skurczył się pod jakimś oknem i siedział nieruchomy, martwy, ponury, odmawiał bezwiednie pacierze i lękliwie spoglądał po sali, po sufitach i oknach, bo się bał patrzeć na maszyny, czuł, że one patrzą na niego, że widzą, iż jest tutaj, te dziwne błyski polerowanej pracą stali, te błyski spojrzeń prawie, przenikały go zimnem i trwogą, a te spojrzenia były wszędzie, wydobywały się ze zwojów sztab i belek, i blach, i kół, i ram, i trybów — i przepełniały sale dziwnym światłem, przerażającym duszę ludzką światłem innego świata, światłem potęgi złej i nieubłaganej.

Ale mimo wszystko było tutaj panu Pliszce lepiej, niżli w domu, bo tutaj nie czuł siebie, nie czuł ciężaru własnej duszy, nie tęsknił, przywarł, jak pies, do nóg odpoczywających potworów i, chociaż w trwodze, czuł się przy nich spokojnym, bo nie był pozostawionym samemu sobie.



Dopiero późnym wieczorem przywłókł się pan Pliszka do domu.

Pani Radzikowa już powróciła, przywitała pana Pliszkę z radością, częstowała różnymi smakołykami, przywiezionymi ze wsi, i opowiadała z entuzjazmem, jak tam u brata księdza jest pięknie, jak to jabłunki są już w kwiatach; jakie już mają młode kartofle,

jakie masło tanie, a dobre; jak młodym gęsiom dają siekane jajka, żeby prędzej rosły, jak młode prosięta piją czyste, niezbiernie mleko; z zachwytem najszczerzym pokazywała kieżą sutannę i wielkie buty z cholewami, dał to Antosiowi, trochę to za duże na chłopca, ale Bóg mu i za to zapłacić; dał i futro dla niej, wprawdzie wierzch zatłuszczony i podarty, a futro dawno mole zjadły... ale zawsze... zawsze pocziwy on, szlachetny i dobry człowiek!... I płakała z rozczulenia, płakała z radości, że są jeszcze ludzie dobrzy, bo cóż, że ona biedna, że krwawą pracą utrzymuje siebie i syna, ale ma brata księdza, który i pieniądze ma, i konie piękne, i poważanie u ludzi takich bogatych, u dziedziców, że, gdy przyjechali na obiad wczoraj, to nie śmiała zasiąść, wołała z Antosiem jeść w kuchni, bo dosyć miała i tak uciechy, że brat z nimi siedzi, jak równy z równymi!

I opowiadała, opowiadała, upojona wycieczką, opalona na wietrze, pełna słońca, pełna życia, wiary, nadziei, którą przywiozła stamtąd... z pól, z łąk, z lasów.

A potem opowiadał Antoś i miał serce pełne radości, a oczy pełne łez, zachwytu i szczerości.

— O, jak tylko dorosnę, to zabiorę mamę i pojedziemy na wieś, tam będziemy żyć, bo tam jest tylko dobrze! tam! — wołał rozentuzjasmowany i, podnosząc oczy, opowiadał jedno i to samo, aż go matka musiała wypędzać spać, bo byłby opowiadał noc całą.

A pan Pliszka słuchał uważnie, ale nie rzekł ani słowa... Bo tam, na wsi, jest tylko dobrze, tam! — powtarzał w duszy słowa Antosia i dziwnie się uśmiechał, dziwnie.

A późnym wieczorem, bo już przed samą północą, powrócili robotnicy! Powrócili, jak burza wiosenna, pełni wesela i uciechy, i napełnili izdebki gwarem radości. Szczęście biło im z opalonych

twarży. Pokładli się zaraz, ale gadali długo, wspominali, śmieli się. Adam miał spuchniętą twarz, nic to jednak, to tylko w karczmie na zabawie trochę się pobił, musiał przecież się »pobarować«... Hej! hej! jeszcze siły ma, jeszcze go ta Łódź nie zżarła! Niech tylko powróci do ojców, posiedzi ze dwie niedziele, to zobaczą...

— Spalibyście! Pyskują i pyskują, a człowiek usnąć nie może — burknął na nich pan Pliszka i ostro zatrzasnął drzwi. Co go to obchodziło?

— Sprali mu pysk, a to bydlę jeszcze się cieszy. — Chamy! chamy! parobasy! Zobaczyli krowie ogony i cieszą się — myślał pan Pliszka z taką wściekłością, że chciało mu się sprać Kruczka, ale nie sprął — siedział do świtu na łóżku i odmawiał różaniec żarliwie i z uporem odpędzał od siebie tęsknotę, ból, niepokój, mękę, jaką mu sprawiło to przypomnienie wsi.

— Żeby to najjaśniejsze spaliły! Człowiek pracuje, jak wół, a jeszcze spokoju nie ma! — Zaklął rano, ale sam nie wiedział, pod jakim adresem.

Tylko jakby się mścił na windzie, bo tak przystawał ostro, że uderzała z jękiem o progi pięter.

Nie chciał ich pytać o nic. Ale gdy spotkał raz i drugi, nie wytrzymał i rzucił szorstko i lękliwie:

— Cóż, trafiliście do domu?

Spojrzeli zdumieni — jakżeby można nie trafić do domu?

— Prawda, przecież to zaraz ze szosy na lewo, między topolami!...

— Topole — oho! — już je dawno dziedzić wyciąć kazali!...

— Nie ma topoli — jęknęło mu serce i mówił śpieszniej...

— ...a potem koło kapliczki cmentarz —

— Kapliczki? — jeszcze bydlę pasał, jak ją rozebrali!...

— ...a potem przez groblę koło karczmy — i już wieś!...

— A juści! ino, że ani grobli, ani karczmy już nie ma...

Nie pytał się już więcej.

— Topole, kapliczka, karczma, grobla... niema, dlaczego nie ma?...

— Nie ma... są, pamięta dobrze, widzi teraz. Nie...

I cały tydzień, cały długi tydzień nie mówił z nimi, nie pytał, a tylko żył przypominaniem sobie topoli, karczmy, grobli, kapliczki.

Dopiero w sobotę po robocie przysiadł się do nich i zapytał:

— Dobrze wam było?

— O Jezu, ino do świętego Jana robił będę, a potem to niechta morówka weźmie to miasteczko Łódź i te fabryki — wykrzyknął Józef.

Pan Pliszka uśmiechnął się z politowaniem.

— Komornik na wsi to większy pan na codzień, niżli człowiek fabryczny w niedzielę...

— Głupstwa pleciecie, Adamie! — powiedział pan Pliszka, ale mimo to, przyniósł wódki, częstował ich i zmuszał do opowiadania o każdej drodze, o każdym drzewie, o polach, o lasach — o wszystkim... I tak się zapalał, tak się interesował tym życiem wsi, że Adam mu rzekł w końcu:

— A bo to pan Pliszka nie może rzucić fabryki! Kupicie sobie gruntu między swoimi i gospodarzem będziecie, a nie takim parobkiem przy fabryce, jak my wszystkie.

Pan Pliszka zirytował się tym projektem tak silnie, że nawymyślał im od głupich chamów i poszedł spać.

Obudził się w nocy, usiadł na łóżku i myślał.

— Wrócić albo co! A może tam kto z moich żyje jeszcze?

Nie spał już tej nocy pan Pliszka, nie spał i nocy następnych... A dni przechodziły nieubłaganą koleją i przepadały nieubłaganie.

...były wiosenne, rozśpiewane, przesłonecznione, czarowne.

Pan Pliszka płakał w męce.

...były zadeszczone, szare, smutne, długie jak żal...

Pan Pliszka płakał z tęsknoty.

...były zimne, zmęczone i smutne, jak maszyny spracowane.

Pan Pliszka! Ach, pan Pliszka się modlił...

...A noce były, jak krzyki tęsknoty.

...A wieczory były, jak ciężkie marzenia konających.

...A poranki przychodziły ciche, łzawe, zropaczone — a pan Pliszka już nie płakał, już się nie modlił, tylko patrzył w świat — tam!

Ale pan Pliszka odejść nie mógł, bał się fabryki!...

Tak, pan Pliszka bał się fabryki.

Nie mógł się na nic zdecydować, nie śmiał, a przy tym trzymał go jeszcze dziwny lęk.

— Cóżbym tam robił? — Zapytywał siebie po tysiąc razy, i coraz częściej widziano go zapatrzonym w pole i niebo, ale i coraz częściej nocami siadał przed domem i patrzył na fabrykę, na ciemne kontury murów, co, jak zmora dusząca, przywarły do ziemi, objęły sobą i ssały nieubłaganie; coraz częściej pan Pliszka czuł w sobie ruch tych sal nieskończonych, ten zgiełk maszyn, te wiry sił i coraz słabszym się czuł, coraz niedołęźniejszym, coraz pokorniejszym wzrokiem patrzył na żelazne profile... coraz pokorniejszym... aż pewnej niedzieli, po całych tygodniach tej męki niewypowiedzianej, gwizdnął na psa i poszedł za miasto, daleko, daleko, w pola czyste... tam, gdzie już nie było fabryk, a tylko dachy słomianych domów wychylały się ze zbóż wykoszonych, gdzie drzewa nie konały, zatrute odpływami fabryk, gdzie zboża, jak woda, falowały w blaskach słońca, tam, gdzie łąny, niby barchan zielony, nakrapiany żółtymi ognichami, rozlewały się jak morze, gdzie

wiatr pieszczotliwy, miękki gził się swawolnie i targał zielone brody wierzb pochylonych i rozdmuchiwał przekornie czuprynę płowego żyta — tam, na wieś prawdziwą... Pan Pliszka się cofnął, uderzył go niemile wiatr, powrócił do jakiegoś podmiejskiego szynku, wypił kieliszek wódki, posiedział i poszedł znowu w pole...

Nie krzyczał już pan Pliszka na Kruczka, nie zabraniał mu szaleć, nie czuł już pogardy do ludzi, łażących po miedzach i drózkach... przeniknęła go głęboka cisza majowego popołudnia.

Usiadł nad jakimś rowem pełnym wody, po której skakały żaby, pełnym żółtych kwiatów, pełnym traw i krzaków olszyn, pełnym robaków, pełzających po liściach i ziemi, pełnym dziwnego, cudownego życia!...

Pan Pliszka zdjął czapkę, było mu bardzo gorąco.

Skowronki, jakby pijane wiosną, śpiewały nad nim, a tam, w puszczech żytnich, ćwierkały kuropatwy, zwoływały się, woda tak dziwnie, tak słodko szumiała. Słońce przypiekało, aż żaby wychylały swoje okrągłe oczy spod wody i nukały głucho, monotonnie... sennie... a ze wszystkich stron płynął szum, chrzęst; płynęła słodka muzyka chrząszczyków, przepiórek, płynęły ciepłe, upajające zapachy macierzanki, zapachy ziemi rozgrzanej, zapachy złotego słońca...

Panu Pliszce zaczęło się w głowie kręcić.

Ale siedział i patrzył, i słuchał, i czuł, i brał coraz potężniej w siebie emanacje tej wiosny i tych pól.

— Jezus mój najśłodszy! — szepnął bezwiednie i zaczął szukać po kieszeniach chustki.

— Jezus mój, Jezus! — powtarzał i szukał wciąż chustki, a lży ciężkie, jak ziarna pełne, całym różańcem spływały mu po twarzy; nie

wiedział o tym, nie wiedział już nic, tęsknota szeroka, jak te pola, objęła mu serce i szarpała boleśnie, nie do wytrzymania!

— Panie! panie!... co to wam?

Wzdrygnął się, Józef siedział obok niego z harmonijką...

— A tobie, chamie, co do tego! — krzyknął i chciał się porwać i iść; nie miał sił, pozostał.

A Józef odsunął się nieco i, zapatrzony w obłoki, co, jak białe gołębie, krążyły po błękitach, grał zapamiętale.

A dusza pana Pliszki uległa już zupełnie.

Wieczór nadchodził, dzwony kościelne biły ponieszporne hymny, głos leciał po zbożach i trawach, że aż drgały źdźbła i ptaki milkły. Ziemia okrywała się rosą, przysłaniała się ciszą i mrokiem... cichła. Słońce kładło się na lasy, zboża się pochyliły, jakby w zadumaniu... szmer wody przycichł, wiatr uwiązał w lasach, wieczór nadchodził!...

— Noga mnie tak bolała, że wytrzymać nie mogłem — tłumaczył pan Pliszka, gdy powracali do domu.

— Pójdę, dosyć mam tego, pójdę! — powiedział sobie stanowczo...

Ale rano, w fabryce nie śmiał już tego powtórzyć, czuł wyraźnie dzisiaj, że fabryka go nie puści, że te bydłeta żelazne patrzą na niego groźnie, że te mury...

Nie, nie puści...

A tymczasem nocami, w marzeniu już był tam, u swoich, już chodził po chatach panów braci, wita się, raduje, odnajduje wszystkich, i jest mu tak dobrze, tak strasznie dobrze.

O, dosyć mu tej męki, dosyć.

— Jutro pójdę, żeby nie wiem co, pójdę — powiedział.

I przyszło w końcu to jutro, pan Pliszka czekał wieczoru, nie miał odwagi odchodzić w dzień.

Nie zwierzył się z tym planem nikomu.

I w nocy, gdy już w izbach wszyscy spali, wstał po cichu z łóżka, spakował w tłumok rzeczy i czekał tylko świtu, bo pociąg odchodził rano.

Kruczek niespokojnie obwąchiwał tłumok i patrzył mu w oczy.

— W świat pójdziemy, do swoich, w świat! — powiedział mu cicho.

Pan Pliszka siedział w oknie, pomiędzy rozkwitłymi fuksjami, czekał świtu, a patrzył na fabrykę, która olbrzymią, czarną plamą leżała w szarej, smutnej nocy.

Deszcz mżył drobny i ciepły.

— Jutro już tam będę! — myślał pan Pliszka, i serce zrywało mu się z szalonej radości.

Cień fabryki jakby zolbrzymiał i jakby pękł i rozlewał się szeroko — na świat cały.

Pana Pliszkę noga zaczęła boleć dokuczliwie.

Przymknął oczy, bo kominy fabryki wychyliły się z ciemności i były tak blisko, tuż nad nim, jakby się pochylały... jakby chciały go chwycić.

— Winda!

Drgnął gwałtownie, ten krzyk rozległ się w nim, a jemu wyraźnie się zdawało, że to z fabryki głos dochodzi.

— Nie dam się, nie. Wyskoczył przez okno, zarzucił tłumok na plecy i ruszył drogą.

Ale musiał przechodzić wzdłuż całej fabryki.

— Winda!

— Jezus Maryja! Przycisnął się do parkanu i z przerażeniem patrzył na czarne, straszne okna fabryczne.

Wydało mu się, że to okna czuwają, że tam w ich głębi widzi całą ciżbę poskręcanych, potwornych maszyn, że wszystkie się skłębiły i patrzą na niego.

Cisza była śmiertelna, deszcz spływał sznurami drobnych paciorków i szeleścił ledwie dosłyszalnie wśród liści.

Biełało już nieco, wyraźnie, coraz wyraźniej spostrzegał fabryki; wszędzie stały, ze wszystkich stron wyrastały, czaiły się w zmroczkach, a zagradzały drogę... Szara, deszczowa kurzawa oblewała je jeszcze, i mroki przysłaniały, ale one rosły w tym świtanie ponurym, potężniały, podnosiły szyję coraz wyżej... coraz groźniej!

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!

Ruszył galopem prawie, przebiegł z zamkniętymi oczami obok fabryki i odetchnął aż w polach, pod lasem, który mu zagroził drogę, a że czuł się strasznie zmęczonym, usiadł na jakimś zagonie i odpoczywał.

Był już kawał drogi od domu, ale fabrykę widział dobrze.

Było już coraz jaśniej.

Zerwał się, gdzieś daleko, na drugim końcu miasta zadrgał świst fabryczny.

Pan Pliszka porwał się i wszedł śpiesznie w las.

A świsty szły za nim, jak psy, i gryzły go w samo serce... o, jeden... drugi... dziesiąty, co chwila, co sekunda, co mgnienie wołały przenikliwe głosy fabryk!

Obejrzał się, w deszczowych mgłach już się jarzyły elektryczne słońca, wykwiwały nad miastem...

— Jezusie Najśłodszy! Jezusie! — bełkotał przerażony.

Przyśpieszył kroku, chciał uciec, za wszelką cenę chciał uciec, ale te głosy biegły za nim, huczały w lesie, przedzierały się przez

gęstwę drzew, przez mgły, przez oddalenie i znajdowały go i biły w jego duszę, przenikały ją bólem, strachem, skowytem dzikim buntu i rozpaczy.

Naraz i potężny głos jego fabryki rozdarł bolesnym dźwiękiem powietrze, ach, tak znał ten głos, tak znał!

Stanął, przestał oddychać, przestał wiedzieć i pamiętać... a fabryka wołała go potężnym głosem gniewu:

— Wróć! wróć! wróć!

W pół godziny później stał znowu na swojej windzie.

— Winda blich!

— Winda suszarnia!

— Winda apretura!

Huczała komenda w tej głębokiej studni, a pan Pliszka cichy, cichszy, niż zwykle, i bardziej pokorny, jeździł, jak zwykle, równo, spokojnie, automatycznie.

Czasami tylko, gdy myślał o tych dniach buntów, płakał — ale płakał cicho, bał się, aby maszyny nie słyszały tej skargi.

— POSŁOWIE —

Władysław Stanisław Reymont. Nazwaliśmy go kiedyś w naszym Muzeum pierwszym noblistą Niepodległej Polski. Zgodnie z tym znaczącym faktem. Niepodległej. Wszak Maria Skłodowska-Curie otrzymała dwukrotnie to wielkie wyróżnienie w czasach zaborów (1903 i 1911), podobnie Henryk Sienkiewicz (1905). Autor słynnej epopei *Chłopi* otrzymał nagrodę już w wolnej ojczyźnie. Szwedzka Akademia Nauk wyróżniając polskiego prozaika (13 listopada 1924) odłożyła na kilka lat nagrodzenie Tomasza Manna. Podobno rozważano też w 1924 roku kandydaturę innego polskiego prozaika, Stefana Żeromskiego, nie powrócono jednak już nigdy do tego pomysłu. Wiele lat później w zainteresowaniu kapituły tej prestiżowej nagrody pojawili się inni polscy pisarze: Czesław Miłosz (nagrodzony w 1980), Lech Wałęsa (nagroda pokojowa w 1983), Wisława Szymborska (1996), Olga Tokarczuk (2018). Nie nagrodzono nigdy Mari Dąbrowskiej, Zbigniewa Herberta, Jarosława Iwaszkiewicza, Stanisława Lema, Jana Parandowskiego, Tadeusza Różewicza, Leopolda Staffa, Kazimierza Wierzyńskiego – którzy zdaniem wielu krytyków mogliby do Nagrody Nobla pretendować, a nawet byli zgłaszani...

Wymieniając w tym zestawieniu Lecha Wałęsę, nie pisarza a polityka, chcemy podkreślić jego wielką rolę w kształtowaniu światowej

opinii publicznej o Polsce, Polakach, o polskiej literaturze również.

Możemy też zaliczyć do polskich laureatów Józefa Rozblatta (pokojowa nagroda w 1995) oraz wielu Polaków narodowości żydowskiej wyróżnianych do II wojny światowej.

Muzeum Niepodległości oraz niżej podpisany od wielu lat uczestniczy w różnych akcjach upowszechniających dorobek Władysława S. Reymonta. W 2014 roku zaproponowaliśmy z Krzysztofem Bąkałą przewodniczącemu ówczesnego Komitetu obchodów 90 rocznicy przyznania autorowi *Ziemi obiecanej* nagrody Nobla i w roku następnym rocznicy śmierci, cykl wydarzeń wystawienniczych oraz projektów edukacyjnych. Tadeusz Samborski – przewodniczący tego komitetu, podobnie jak podobnego zorganizowanego w roku 2000 potrafił zgromadzić wokół siebie wielu intelektualistów i twórczych sponsorów. Nie sposób było odmówić tej wybitnej postaci polskiego życia artystycznego i politycznego udziału w kolejnym komitecie, organizującym tym razem 100. rocznicę Nobla (2024) i 100. rocznicę śmierci (2025).

Podczas posiedzenia Rady Naczelnej PSL (16 grudnia 2023) zaproponował poseł Tadeusz Samborski uchwałę upamiętniającą Reymonta. Czytamy w niej między innymi:

„Obowiązkiem współczesnych ludowców jest ciągle przypominanie, ciągle przywracanie i utrwalanie w świadomości i pamięci narodowej wybitnych Polaków. Takim jest Władysław Stanisław Reymont, pierwszy noblista Niepodległej Polski, członek Polskiego Stronnictwa Ludowego, którego z Wincentym Witosem łączyły więzy autentycznej przyjaźni motywowanej najważniejszą troską o lud polski i dobro Rzeczypospolitej”. Prezentacji projektu tego aktu prawnego towarzyszyły wypowiedziane ważne słowa:

– *Chłopi* Reymonta są swoistym hymnem stworzonym na część polskiego ludu wiejskiego i Ziemi Ojczyściej jako Matki Żywicielki całego narodu.

Przekonywał też T. Samborski do swoich koncepcji słowami:

– Przypominanie i upamiętnienie w wielu imprezach to nasz ludowy, patriotyczny obowiązek. Obchody winny się odbywać w całej Polsce, a także poza jej granicami. Muzea i instytucje kultury, w całym kraju – a szczególnie na Mazowszu, z którego się wywodził wielki pisarz – powinny się włączyć do obchodów jubileuszowych.

Propozycje te są bardzo aktualne, a nawet pilne potrzebne, bowiem lektura chłopskiej epepei znika z programów szkolnych zapowiadanych na lata 2024/25. W podstawie programowej znajdują się jedynie fragmentu *Chłopów*.

Dlatego między innym Muzeum Niepodległości zaproponowało na listopad 2024 akcję „Mazowieckie Czytanie Reymonta”. Chcemy rozpropagować nie tylko *Chłopów* czy *Ziemię obiecaną*. Zapraszamy do lektury opowiadań, listów a nawet wierszy naszego noblisty.

Zaczynamy publikować nieznanie szerzej opowiadania W. S. Reymonta. Tom *Na zagonie* jest oparty o wydanie Gebethnera i Wolfa z 1923 roku. Reymont miał jeszcze możliwość dokonania korektur autorskich. Później poszczególne opowiadania wydawano w różnych zestawieniach, w różnych układach, z różnymi opracowaniami redakcyjnymi. Nasze polega jedynie na skorygowaniu pisowni zgodnej z reformą jędrzejewiczowską, nie dokonywano zmian w zapisach języka chłopskiego, ludowego, w przysłowiaach.

Przed nami jedno z takich późniejszych wydań, w których znalazły się niektóre utwory z tomu *Na zagonie* uzupełnione innymi

krótkimi tekstami. W *Nowelach wybranych* wydanych przez Państwowy Instytut Wydawniczy w 1972 roku znajdujemy posłowie Aliny Brodzkiej:

„Mocna musiała być namiętność pisarska, ambicja, upór młodego Reymonta, jeśli rozliczne trudności – niechęć rodziny, nędza, szyderstwa zwierzchników, oddalenie od ognisk życia kulturalnego, luki w wykształceniu – nie odwiodły go od ambitnych planów twórczości. W jego losach, mimo wielu podobieństw z biografią rówieśników: Kasprowicza, Orkana, uderza jakiś wyjątkowy niepokój, zachłanna ciekawość świata, pasja poszukiwań i osobistych doświadczeń. One to kazały młodemu chłopcu dążyć ze wszystkich sił do wyrwania się z ciasnych ścian domu wiejskiego organisty, człowieka dbałego o edukację i przyszłość swoich dzieci, lecz oschłego, surowego w obejściu, zatopionego w planach o dorobku i pozycji. Nieposkromiony głód wrażeń, na pół świadomy bunt przeciw ubóstwu myślowemu otoczenia, niechęć wobec perspektyw zakreślonych prawie wyłącznie dążeniem do dostatku, wszystko to pchnęło ambitnego chłopca do poszukiwania (...) jakiejś własnej odrębnej drogi”.

Czytajmy młodego Reymonta. Może kiedyś zaczniemy na nowo czytać i odkrywać Jana Kasprowicza, Władysława Orkana, oraz Jana Bolesława Ożoga, Mieczysława Paszkiewicza, Stanisława Piętaka, Stefana Szajdaka.

Tadeusz Skoczek

Koordinacja pracy redakcyjnej

Janina Tomczyk

Administracja

Dorota Dobrońska

Promocja

Dorota Panowek

Projekt graficzny serii

Natalia Roszkowska

ISBN 978-83-67398-58-9

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości

(identyfikator wydawnictwa naukowego 42 700)

Al. Solidarności 62; 00-522 Warszawa

wydawnictwo@muzn.pl

Realizacja poligraficzna

Fundacja im. Władysława Orkana

Nakład 200 egz.

1924-2024 • STULECIE • NAGRODY • NOBLA •

